1/2022

Nowa Europa Wschodnia

www.new.org.pl Dwumiesięcznik styczeń–luty 1 (78) / 2022 ISSN 1899-5543 Indeks 245534 Cena 19,90 zł (w tym 8% VAT)

Rosja. Między wojną a pokojem
Felgenhauer / Makaryczew / Miedwiediew

Pozorowana zmiana w Kirgistanie
Ludwika Włodek

GOGOL WIECZNIE ŻYWY
Jurij Murawicki

Donbas. Śmierć wchodzi tylnymi drzwiami
Jędrzej Morawiecki

Podziemne życie Memoriału
Irina Flige

ISSN 1899-5543

eprasa.pl f748ab3a69

REKLAMA



Prenumerata dostępna na stronie www.kew.org.pl/ksiegarnia

eprasa.pl f748ab3a69

Nowa Europa Wschodnia

eprasa.pl f748ab3a69

eprasa.pl f748ab3a69

Pod prąd

Od kilku miesięcy światowe agencje analityczne i media donoszą o możliwym ataku Rosji na Ukrainę. Również dla redakcji „Nowej Europy Wschodniej" to jeden z najważniejszych tematów dotyczących Wschodu. W publikowanych przez nas analizach, wywiadach i reportażach staramy się patrzeć na terytorium poradzieckie szerzej niż media codzienne. Wybieramy ujęcie problemowe, nie newsowe. Jednak tym razem uznaliśmy, że kolejna interwencja zbrojna Moskwy w Ukrainie (nie zapominajmy bowiem, że wojna trwa nad Dnieprem nieprzerwanie od siedmiu lat) wpłynie nie tylko na Ukrainę, ale także inne kraje byłego ZSRR, w tym samą Rosję. Temat możliwej wojny omawiają na łamach bieżącego numeru: Paweł Felgenhauer (rosyjski analityk wojskowy i publicysta), prof. Siergiej Miedwiediew (wykładowca akademicki i publicysta), prof. Andriej Makaryczew (politolog i publicysta). Jak rosyjskie zagrożenie oceniają sami Ukraińcy i jaką postawę przyjmują wobec niego, pisze Piotr Pogorzelski (były korespondent Polskiego Radia w Kijowie, pisarz, stały współpracownik NEW). Ze wszystkich tych głosów najbardziej interesujący wydał nam się głos prof. Miedwiediewa. Stawia on bowiem tezy „pod prąd". Jako Rosjanin i analityk obserwuje tamtejsze życie polityczne. Jest świadom autorytarnych i korporacyjnych mechanizmów rządzących jego krajem, korupcji i nepotyzmu. A jednak – co dziś tak trudne – zdobywa się na optymizm! Wierzy, że może za kilkadziesiąt lat Rosja zacznie zmieniać się z kraju autorytarnego w demokratyczny.

Pisząc o Rosji, często zastanawiamy się nad wizją tego kraju rozpowszechnioną w polskim społeczeństwie i mediach. W tym kontekście za bardzo ciekawą uważamy rozmowę z Tomaszem Kułakowskim, byłym korespondentem Polsat News w Moskwie. Tomek, nasz współpracownik i przyjaciel, mówi: „wróciłem stamtąd wypalony". Opowiada, ile Polska rzeczywiście znaczy dla Rosji i w jakim stopniu korespondenci pracujący w Moskwie kształtują opinię Polaków na temat kraju nad Wołgą. W numerze dużo miejsca poświęciliśmy także Ukrainie. Publikujemy niezwykle przejmujący reportaż z Donbasu autorstwa Jędrzeja Morawieckiego. Ponadto: analiza ostatnich wydarzeń w Kazachstanie dokonana przez znawczynię tego kraju Ludwikę Włodek oraz rozmowa z Iriną Flige z petersburskiego oddziału Memoriału. Zapraszamy do lektury.

Redakcja

eprasa.pl f748ab3a69

Spis treści

Rozmowa numeru

Rozmowa z Klausem Bachmannem **Korzyści płynące z gróźb** 7

Publicystyka i analizy

Rozmowa z Andriejem Makaryczewem **Gra w ultimatum** 17
Rozmowa z Pawłem Felgenhauerem **Nowa doktryna Breżniewa** 24
Ludwika Włodek **Kazaski krajobraz po bitwie** 30
Piotr Pogorzelski **Spokój w Kijowie** 44
Krzysztof Nieczypor **Zuchwały oportunista** 50

Jak nasi sąsiedzi widzą świat? Ankieta
Kacper Wańczyk **Czym interesują się Rosjanie?** 58
Olga Rusina **Opinie, które nie zależą od pieniędzy** 63
Kamil Kłysiński **Światopogląd(y) Białorusinów. Dwa społeczeństwa w jednym państwie** 68

Rozmowa z Siergiejem Miedwiediewem **Nie tylko telewizor, Putin i „Krymnasz”** 75
Albert Jawłowski **Ukraina–Rosja. Notatki z frontu wojny symboli** 81
Radosław Korzycki **Stany kwestii LGBT+** 92

Reporterzy na Wschodzie

Rozmowa z Tomaszem Kułakowskim **Człowiek Wschodu, a może bardziej Północy?** 98

Kultura

Anna Łazar **Melancholia nowego świata.** 113
Rozmowa z Jurijem Murawickim **Sami z siebie się śmiejecie!** 123

Reportaż

Jędrzej Morawiecki **Tylnymi drzwiami do piekła.** 134

eprasa.pl f748ab3a69

Historia

Rozmowa z Iriną Flige **Memoriał. To prawdziwa wojna** 148

Konteksty

Rozmowa z Piotrem Oleksym **Wybieranie rodzynek z ciasta**..... 154

Recenzje

Sonia Knapczyk **Kultura bata**..... 162
O książce Borysa Kierżencewa *Zniewolona Rosja. Historia poddaństwa*
Wojciech Konończuk **Anatomia wojny**..... 164
O książce Tomáša Forró *Apartament w hotelu Wojna. Reportaż z Donbasu*
Anna Maślanka **To nie jest kraj dla uczciwych ludzi**..... 167
O książce Michala Sýkory *Człowiek pana ministra*
Anna Maślanka **Piwo, pociągi i śmierć** 169
O książce Jaroslava Rudiša *Ostatnia podróż Winterberga*
Magdalena Moskal **Ludowa historia Estonii**..... 171
O książce Andrusa Kivirähka *Listopadowe porzeczki*
Łukasz Grzesiczak **Sputnik nad Słowacją**..... 173
O książce Łukasza Lewkowicza *Federacja Rosyjska w polityce wewnętrznej i zagranicznej Republiki Słowackiej (1993–2020)*

eprasa.pl f748ab3a69

Nowa Europa Wschodnia

Dwumiesięcznik

Wydanie zostało dofinansowane
przez MIASTO WROCŁAW

Wrocław miasto spotkań

www.wroclaw.pl

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania. Redakcja ceni swobodę wypowiedzi i różnorodność opinii, dlatego teksty publikowane w „Nowej Europie Wschodniej" nie muszą być zgodne z poglądami Wydawcy ani Redakcji. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych bez zgody Wydawcy jest zabronione. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść zamieszczanych materiałów promocyjnych.

REDAKCJA
Łukasz Grzesiczak, Sonia Knapczyk, Anna Łazar, Małgorzata Nocuń (redaktorka naczelna), Urszula Pieczek, Ewa Polak, Krzysztof Popek, Sławomir Popowski, Zbigniew Rokita, Wojciech Wojtasiewicz, Kamila Zimnicka (korekta)

WSPÓŁPRACUJĄ: Piotr Andrusieczko, Kuba Benedyczak, Jan Brodowski, Kamil Całus, Maciej Falkowski, Wojciech Górecki, Iwona Kaliszewska, Piotr Kępiński, Wojciech Konończuk, Kamil Kłysiński, Tomasz Kułakowski, Grzegorz Nurek, Piotr Oleksy, Piotr Pogorzelski, Witalij Portnikow, Jadwiga Rogoża, Ziemowit Szczerek, Andrzej Szeptycki, Marcin Wojciechowski

PRENUMERATA
prenumerata@new.org.pl
Informacja o prenumeracie:
www.new.org.pl

WINIETA I PROJEKT GRAFICZNY
Piotr Grzyb

SKŁAD, ŁAMANIE I OKŁADKA
Małgorzata Chyc | AT Wydawnictwo

ADRES REDAKCJI I WYDAWCY
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego
we Wrocławiu
Zamek Wojnowice
ul. Zamkowa 2, 55-330 Wojnowice
tel. +48 71 341 71 97
office@kew.org.pl, www.kew.org.pl

„Nowa Europa Wschodnia"
ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
redakcja@new.org.pl, www.new.org.pl

Partnerem wydania jest Fundacja Znak

Fundacja Znak

ISSN: 1899-5543
ISSN: 2084-3992 (online)
Cena 19,90 zł (w tym 8% VAT)
Nakład 2000 egz.

eprasa.pl f748ab3a69

Korzyści płynące z gróźb

Z profesorem Klausem Bachmannem, dziennikarzem, historykiem, politologiem, rozmawiają Łukasz Grzesiczak i Urszula Pieczek

NOWA EUROPA WSCHODNIA: Jak nowy niemiecki rząd ustosunkowuje się do europejskiej polityki wschodniej? Innymi słowy: co zmieni nowy układ sił w Bundestagu w relacjach Unia Europejska–Rosja i dawny blok wschodni?

KLAUS BACHMANN: Nie będzie zmiany w stosunku do tego, co znamy, z jednego powodu – poza antyrosyjskimi Zielonymi, wszystkie pozostałe partie w niemieckim parlamencie są albo prorosyjskie, albo mają prorosyjskie skrzydło. Zarówno w Chadecji (CDU), jak i w Socjaldemokratycznej Partii Niemiec (SPD) oraz w Wolnej Demokratycznej Partii (FDP) są politycy, którzy swój stosunek do dzisiejszej Rosji wywodzą z sentymentu do carskiej Rosji lub z resentymentów wobec Związku Radzieckiego. W przypadku na przykład SPD prorosyjskość jest pewną kontynuacją polityki odprężenia zainicjowanej przez Willy'ego Brandta. Z kolei Lewica (Die Linke) jest całkowicie prorosyjska ze względu na to, że kiedyś była proradziecka – pozytywny stosunek do ZSRR przenosi na dzisiejszą Rosję. Podobnie sprawa się ma po przeciwnej stronie spektrum politycznego, czyli w skrajnie prawicowej Alternatywie dla Niemiec (AfD), w ich przypadku – jest to partia nowa – trudno powiedzieć, czy oni prorosyjskość wywodzą z ZSRR, czy Rosji carskiej.

Odpowiadając na Państwa pytanie – niemiecki parlament nie jest zdominowany przez Zielonych, powiedziałbym, że ten rząd zdominowali liberałowie, którzy po części mają pozytywny stosunek do Rosji ze względu na to, że uczestniczyli też bardzo aktywnie w polityce odprężenia, a po części mogą mieć jakieś dawniejsze sentymenty.

Tłumaczy Profesor, skąd bierze się to prorosyjskie nastawienie większości elit politycznych w Niemczech. A nas zastanawia: jak Pan to ocenia? Czy prorosyjskie nastawienie elit niemieckich jest błędne? Czy w którymś momencie ta przychylność wobec Rosji może się skończyć? Czy jakieś wydarzenie mogłoby być pretekstem do zmiany takiego nastawienia?

eprasa.pl f748ab3a69

W skrócie pytają Państwo o to: kiedy Niemcy przestaną tacy być?

Nie wyobrażam sobie sytuacji, która mogłaby zmienić ten stan rzeczy z dwóch powodów. Po pierwsze, to ma swoje uzasadnienie po prostu w społeczeństwie, które jest elektoratem wymienionych przeze mnie partii. Według badań opinii publicznej z ostatnich kilkunastu lat sympatia wobec Rosji deklarowana jest przez co najmniej połowę obywateli – prorosyjskość i antyrosyjskość nie prowadzą do głębokich podziałów społecznych, ponieważ nikt specjalnie o tym nie dyskutuje. I tu przechodzimy do drugiego powodu. Czuję, że w tle Państwa pytania leży wątpliwość – czy jeśli Rosja napadnie na Ukrainę, stosunek Niemców do Rosji się zmieni? Moja odpowiedź brzmi: nie, on się nie zmieni. Na przełomie 2013 i 2014 roku też się nie zmienił. I wówczas – nawet dla mnie było to zaskakujące – w obliczu sytuacji jednoznacznej, w której można jasno zdefiniować agresora i ofiarę, opinia publiczna w Niemczech podzieliła się na dwa obozy (prorosyjski i antyrosyjski).

Ten podział przebiega nie tylko w Bundestagu, ale też jest regionalny. Dlaczego paradoksalnie regiony dawnego NRD są bardziej prorosyjskie?

Może syndrom sztokholmski? Wynika to pewnie z respektu przed dawnym okupantem, choć sądzę, że nikt nie ująłby tego wprost. Z kolei, kiedy przyjrzymy się „pamięci zbiorowej" (choć nie uważam, że coś takiego może istnieć, ale przyjmijmy taki termin), w RFN jest podobnie: Rosja postrzegana jest po prostu jako silniejszy kraj. I teraz zapytacie Państwo: jak jest w takim razie z Polską?

Ciśnie się na usta.

W „pamięci zbiorowej" Polska przegrała w 1939 roku, ponieważ, po pierwsze, hitlerowskie Niemcy dokonały inwazji, a po drugie – jeśli patrzymy na rachunek powojenny – nie jestem pewien, czy znajdą się Niemcy, którzy czuliby się przegranymi w stosunku do Polski. Dużo na ten temat rozmawiałem z osobami wysiedlonymi, które przed wojną mieszkały w Polsce czy na terenach leżących dziś w polskich granicach administracyjnych – one miały gigantyczny respekt przed Rosją, bo z jednej strony to wróg, a z drugiej silniejszy antagonista, natomiast Polacy występują jako ci, którzy odwalili brudną robotę. W tej pamięci zbiorowej Rosjanie, ZSRR, nas, Niemców pokonał, a to wzbudza respekt. Polska, Polacy, nas nie pokonali, oni nas wygonili pod ochroną Armii Czerwonej. Dlatego ta część Niemców, która to przeżyła, ma ogromny respekt przed Rosją, a nie ma go przed Polską. Ale trzeba pamiętać, że dotyczy to pokolenia, które niemal już wymarło. Przenika

eprasa.pl f748ab3a69

to oczywiście kulturę, w tym masową, ale około jednej czwartej obecnych mieszkańców Niemiec to ludzie pochodzący z innych krajów. W Polsce byśmy o nich mówili, że to w ogóle nie są Niemcy, choć mają obywatelstwo już w drugim pokoleniu. Nie znam badań na ten temat, ale u takiego niemieckiego Turka, Wietnamczyka albo Nigeryjczyka sentymenty historyczne pewnie odgrywają mniejszą rolę – on ma respekt przed Rosją, bo to duże państwo atomowe.

Z tego, co Profesor mówi, wynika, że poniekąd rację ma Prawo i Sprawiedliwość, strasząc Rosją i twierdząc, że w obliczu ewentualnego konfliktu nie możemy liczyć na Niemców.

Jeśli patrzymy na stosunek społeczeństw i elit wobec Rosji w poszczególnych krajach europejskich i wyciągamy z tego wniosek, kto przyjdzie Polsce z pomocą w przypadku agresji Rosji, to widzimy, że w Polsce możemy chyba tylko liczyć na pomoc ze strony państw bałtyckich i państw nordyckich (po części neutralnych), które są podobnie antyrosyjskie co Polska. Ale ta logika zakłada, że to, co decyduje o pomocy dla Warszawy, to antyrosyjskie nastawienie. Równie dobrze mogą o tym decydować interesy ekonomiczne i geopolityczne i wtedy liczba naszych potencjalnych przyjaciół nieco wzrośnie – jeśli jesteśmy dla nich ważnym partnerem handlowym, terenem do inwestycji zagranicznych i wartościowymi sojusznikami w innych sprawach. Zawsze to mówiłem: przynależność do NATO mówi nam, jak będziemy się bronić, przynależność do Unii Europejskiej mówi nam, kto i dlaczego nam w tym pomoże.

To jeszcze raz dopytamy, by mieć pewność: wśród niemieckich elit politycznych niemożliwy jest ostry kurs w stosunku do Rosji?

Wreszcie pytanie, na które mogę odpowiedzieć krótko – tak. Ale uzupełnię: za każdym razem, kiedy nastąpi przesilenie obojętnie z jakiego powodu – czy to była Gruzja, czy to jest Syria, czy to będzie znów Ukraina – w Niemczech odbędzie się wielka debata, w której jedni zaczną mówić o prawach człowieka, o prawach narodów do samostanowienia, a drudzy wystosują argumentację nacechowaną respektem przed wielką Rosją, gdyż będą uważać, że Rosja też ma prawo zadbać o własne bezpieczeństwo. Żadne wydarzenie nie jest w stanie przechylić szali na konkretną stronę.

Wróćmy na chwilę do Zielonych. Jakie jest ich stanowisko wobec Nord Stream 2? Co zamierzają zrobić w sprawie gazociągu?

Wydaje mi się, że nic z tym nie zrobią. To sprawa zawieszona. W umo-

eprasa.pl f748ab3a69



Leszek Zych/REPORTER

To chyba jest jasne dla wszystkich, że nowe kraje, które graniczą z Rosją, nie przystąpią do Unii Europejskiej i do NATO. Nie widzę niezbędnej jednomyślności, by taki krok wykonać zarówno w Unii Europejskiej, jak i w NATO. Wydaje mi się, że na Kremlu wiedzą też, że to nierealistyczne. Konflikt dotyczy właściwie jednego – Putin chce mieć taką deklarację na piśmie, a Unia nie może takiej deklaracji złożyć.

wie koalicyjnej nowego rządu figuruje zapis, że infrastruktura energetyczna powinna podlegać prawu europejskiemu. Gdyby się stuprocentowo trzymać tych wytycznych, oznaczałoby to, że Nord Stream 2 nie będzie się nie opłacał. Nie jestem w stanie tego uzasadnić w szczegółach, nie stanowi to przedmiotu moich badań. Nowa umowa koalicyjna obecnie pozwala zatem zostawić sprawę gazociągu i patrzeć, jakie będą decyzje na szczeblu europejskim. Proszę nie zapominać jeszcze o podwyżkach cen, które sprawią, że zarówno klienci prywatni, jak i instytucjonalni będą inwestować w inne źródła energii, więc koniec końców może się okazać, że popyt na gaz będzie niewielki.

Powiedział Profesor na początku naszej rozmowy, że nie zajdzie znacząca zmiana w niemieckiej polityce wobec Wschodu. Jak rozumiemy, będzie to pewna kontynuacja. Od razu nasuwa się pytanie – kontynuacja czego?

Relacje ze Wschodem nie są w ogóle przedmiotem nowej umowy koalicyjnej, zostają obowiązujące już teraz sankcje. Nie wiem, co się wydarzy, jeśli Rosja rzeczywiście zaatakuje Ukrainę – pewnie dojdzie do zaostrzenia sankcji. Jak już mówiłem, Niemcy idealizują Rosję na przykład pod względem militarnym, z kolei Rosjanie czują respekt przed niemiecką gospodarką.

Jeśli chodzi jednak o poziom europejski, to należy zwrócić uwagę, że Unia jest obwarowana przepisami. A jeśli chodzi o jej politykę zagraniczną, to musi być zgoda wielu państw, by wdrożyć dany przepis. Widzieliśmy już, do czego to prowadzi w momencie, kiedy Cypr zaczął blokować sankcje wobec Rosji. Takich państw jest więcej: Włochy, Węgry, być może Słowacja…

Żartem mogę powiedzieć, że liczę tu na Putina, on bywa bardzo przekonujący. Nigdy bym nie przypuszczał, że Niemcy zgodzą się na sankcje, ale jego polityka wobec Ukrainy okazała się tu bardzo przekonująca. Ale sankcje to też miecz obosieczny. Po pierwsze, uderza też w tych, którzy je stosują. A po drugie – pozwolę sobie na dygresję – pamiętam dyskusję o sankcjach z moim kolegą z Moskwy, który jest dość bliski Kremlowi. Na pytanie o to, czy sankcje ich bolą, odpowiedział, że w zasadzie one nikogo nie bolą, ale są nieprzyjemne, bo to znaczy, że Rosja nie jest równorzędnym partnerem dla Niemiec czy dla Stanów Zjednoczonych. To właśnie na tym Rosji zależy najbardziej – by postrzegano ją jako wielkie mocarstwo i równorzędnego partnera – moim zdaniem to próba wyrównania jakiegoś rodzaju kompleksu niższości. Rosjanie chcą, by na przykład Amerykanie uznali ich za „kogoś", a nie żeby powtórzyła się sytuacja, w której Barack Obama, mówi, że Rosja to

eprasa.pl f748ab3a69

regionalna siła [*„Russia is a regional power showing weakness over Ukraine"*, wypowiedź Obamy z 25 marca 2014 roku – przyp. red.].

Wydaje się, że najsilniejsze kraje Unii, do których bez wątpienia należą Niemcy, nie będą mogły zrzucać problemów z Rosją tylko na karb animozji z Amerykanami i staną wreszcie przed konkretnym problemem – czy rozszerzać Unię Europejską? Przecież Rosja jest temu przeciwna.

To chyba jest jasne dla wszystkich, że nowe kraje, które graniczą z Rosją, nie przystąpią do Unii Europejskiej i do NATO. Nie widzę niezbędnej jednomyślności, by taki krok wykonać zarówno w Unii Europejskiej, jak i w NATO. Wydaje mi się, że na Kremlu wiedzą też, że to nierealistyczne. Konflikt dotyczy właściwie jednego – Putin chce mieć taką deklarację na piśmie, a Unia nie może takiej deklaracji złożyć. Bo to by oznaczało, że przychyla się do obozu, który jednoznacznie twierdzi, że Rosja ma swoje interesy i powinniśmy je uznać, nie zważając na interesy mniejszych krajów. Innymi słowy, musielibyśmy stwierdzić, że to nie jest decyzja na przykład Gruzji, że chce wstąpić do NATO, ale to sprawa, o której rozmawiamy wyłącznie z Moskwą. I może przekornie powiem, że oczekiwanie takiej deklaracji świadczy dobrze o Putinie, bo oznacza to, ni mniej, ni więcej, że myślami wybiega on dalej, niż ma trwać jego kadencja. Jasne jest, że dopóki Putin rządzi na Kremlu, nie dojdzie do poszerzenia wschodniej flanki Unii Europejskiej. Deklaracja pozostaje nieformalna – nikt głośno o tym nie powie, ale wszyscy to wiedzą. Putin oczekuje pisemnego zaświadczenia, które ubezpieczałoby kierunek jego polityki nawet w momencie, kiedy jego kadencja minie.

Rozmawiamy pod koniec 2021 roku, kiedy co chwila słyszymy doniesienia, że Rosja znów zaatakuje Ukrainę. Czy ten scenariusz, Pana zdaniem, jest realny?

Myślę, że Rosja tego nie zrobi, choć nie mam dobrych argumentów, żeby uzasadnić tę odpowiedź. Z jednej strony rozumiem, co Kreml zyskuje grożeniem wojną, z drugiej jednak strony nie widzę, jakie korzyści – na przykład ekonomiczne, polityczne czy militarne – może ta inwazja Rosji przynieść poza – nazwijmy to – prestiżem, próbą uzyskania szacunku w oczach Stanów Zjednoczonych. Postrzegam to jako *lose-lose situation* – sytuację, z której każda ze stron wychodzi z gorszym wynikiem, niż weszła do negocjacji. Na inwazji traci Ukraina, traci Europa, której nie udało się wojnie zapobiec, i koniec końców traci Rosja, ponieważ anektuje teren (tym samym bierze za niego całkowitą odpowiedzialność – włącz-

eprasa.pl f748ab3a69

nie z emeryturami, pomocą socjalną, utrzymaniem infrastruktury), który po takim ataku będzie nieprzydatny gospodarczo, ponieważ niczego nigdzie już nie będzie można stamtąd eksportować. I jest jeszcze jedna sprawa – po zajęciu tego regionu, który w dużej mierze był prorosyjski, Ukraina będzie co prawda mniejsza, ale jeszcze bardziej proeuropejska. Tu też Putin okazał się bardzo przekonujący: przed 2014 rokiem ukraińska opinia publiczna była rozdzierana między tendencjami prorosyjskimi i prozachodnimi. Teraz Ukraina jest jednoznacznie prozachodnia i antyrosyjska. Reasumując: korzyści z grożenia wojną są większe niż zysk z takiego ataku.

Ukraina też traci na obecnej sytuacji. Jest szansa na zakończenie kryzysu we wschodniej Ukrainie?

Ciężko mi dostrzec jakieś rozwiązanie tej sytuacji. Z podziwem obserwuję to, jak stabilny jest ukraiński system oligarchiczny, czego nie zmienił nawet rok 2014. Zresztą już wtedy napisałem tekst, że prawdopodobnie nic się nie zmieni, bo system ukraiński jest nawet bardziej stabilny niż rosyjski.

To może zabrzmieć kontrowersyjnie i być może jest wypowiedziane za wcześnie, ale państwa zazwyczaj zyskują, jeśli rezygnują z prób uzyskania kontroli nad terenem, nad którym i tak nie panują. Sukces niemieckiej polityki wziął się z tego, że Willy Brandt uznał granicę na Odrze i Nysie w sytuacji, w której i tak dawnego wschodu odzyskać nie mógł. Mam stare atlasy, z których uczyłem się jeszcze w szkole. Ustalona granica między RFN a Francją jest zaznaczona inną linią niż ta „tymczasowa" między RFN i NRD, a jeszcze inną zaznaczono granicę między NRD i Polską. To była fikcja, która nie przynosiła żadnej korzyści, a tylko ograniczała niemieckie pole manewru w dyplomacji. Nie było sensu dalej tkwić w fikcji, że ten obszar należy do nas, a jest tylko tymczasowo we władaniu Polaków czy Rosjan, ale powtarzano to nieustannie w przemówieniach.

W przeszłości próbowałem przekonać moich przyjaciół Serbów, by potraktowali utratę Kosowa jako szansę. Tłumaczyłem im, że dostali wolną rękę do układania sobie na nowo relacji z innymi państwami, także tymi niezdecydowanymi, po której stronie sporu się opowiedzieć. To dało im szansę na ułożenie stosunków z samym Kosowem, ale aby stało się to możliwe, sami muszą uznać je za państwo.

Powrócę do przykładu RFN. W latach pięćdziesiątych XX wieku były kraje, które uznały NRD, a z którymi RFN zerwało stosunki dyplomatyczne. To się zmieniło, kiedy duże i wówczas wpływowe państwo, jakim była Jugosławia, zaczęło negocjować uznanie NRD. W RFN zadano sobie pytanie, czy doktryna mówiąca o tym, że RFN

eprasa.pl f748ab3a69

jest jedynym państwem niemieckim, jest do utrzymania. Nie była, a decyzja Brandta dała Niemcom (wtedy RFN) duże pole manewru w polityce zagranicznej. Myślę, że Ukraina też by wiele zyskała, gdyby zrezygnowała z Krymu i Donbasu.

Czy to jest realny scenariusz?

Kiedy Rosjanie zajęli Donbas, życzyłem im, by go sobie zatrzymali i się nim udławili. Wiem, że Brandt mógł sobie pozwolić na taką decyzję, kiedy duża część Niemców, którzy pochodzili z tych wschodnich terenów, była już na emeryturze i nie miała większego wpływu na politykę. Z Ukrainą nie da się przeprowadzić takiej operacji od razu, trzeba odczekać jakieś trzydzieści lat.

Ten scenariusz zakłada też, że Rosja nie sięgnie po dalsze terytorium Ukrainy...

Nie wydaje się realne, by miała po nie sięgnąć. Pamiętam, że Ukraina to był kiedyś bardzo prorosyjski kraj, gdzie występowała duża fascynacja kulturą rosyjską, a umiarkowani nacjonaliści ukraińscy zaczęli demonstracyjnie mówić po rosyjsku, kiedy nie podobał się im rząd w Kijowie. Mam znajomych we Lwowie, zatem w miejscu, gdzie nikt się takich postaw raczej nie spodziewa, którzy podpisali petycję przeciwko dyskryminacji języka rosyjskiego. Tego wszystkiego już w Ukrainie nie ma, zniknęło razem z Donbasem i Krymem. Ale nawet zakładając, że to nikogo na Kremlu nie obchodzi – co im daje kolejna aneksja, tym razem znacznie bardziej antyrosyjskiego terenu niż Krym, gdzie były zawsze duże sentymenty prorosyjskie? Sądzę, że taki teren nie zostałby zaanektowany, on służyłby jako swoista kaucja, która ma zapobiec wstąpieniu Ukrainy do NATO i Unii Europejskiej, podobnie jak w Gruzji i Donbasie.

Wydaje się, że w naszej rozmowie przeważa pesymizm. W polskiej debacie obecny jest pogląd, że Polska wskutek działań rządu Prawa i Sprawiedliwości straciła swoją pozycję we Wspólnocie i tym samym przestała odgrywać istotną rolę w kształtowaniu europejskiej polityki wschodniej. Nasze miejsce zajęli Litwini, a w kontekście bezpieczeństwa atlantyckiego – Rumuni. Taka koncepcja uwzględnia optymistyczne założenie, że wraz z ewentualną zmianą władzy w Polsce uda się nam odbudować dawną pozycję. Wydaje się, że Profesor jest pesymistyczny także w tej sprawie...

Moja diagnoza jest jeszcze bardziej pesymistyczna. Według mnie Polska nigdy podobnej roli nie pełniła. Nie wiążę utraty podmiotowości w polityce zagranicznej z przejęciem przez PiS władzy i z reformami wewnętrznymi, które budzą tyle kontrowersji. W mo-

eprasa.pl f748ab3a69

jej ocenie szczytowy moment, kiedy nasz kraj miał wpływ na politykę Unii wobec na przykład Ukrainy, przypadł na luty 2014 roku. Wtedy Radosław Sikorski, Frank-Walter Steinmeier i Laurent Fabius pojechali do Kijowa i udało im się – jak dzisiaj wiemy – na krótką metę załagodzić konflikt wewnętrzny w Ukrainie. W moim odczuciu niesamowite było to, że w gronie rozjemców znalazł się polski minister spraw zagranicznych.

W tym czasie rola Warszawy w kwestii Ukrainy była istotna – mogła zaoferować Unii Europejskiej znajomość Ukrainy i ludzi, którzy tam rządzą. Wtedy niemieccy czy francuscy eksperci i dyplomaci nie mieli pojęcia, kto w Ukrainie sprawuje faktycznie władzę za kulisami. Niemcy czy Francuzi widzą, że kraj ma jakiś ustrój, władzę, prezydenta i zakładają, że to tam zapadają decyzje, u nich bowiem tak to właśnie wygląda. A przecież znaczna część systemu partyjnego w Ukrainie, jeśli nie cały, była fikcją. Nieważne, czy nazywali się liberałami, socjaldemokratami, chadekami czy zielonymi, wszyscy byli zależni od pieniędzy jakiegoś oligarchy. Jeśli kontaktowałeś się z jakimś ukraińskim think tankiem, szybko odkrywałeś, że to jest po prostu firma lobbingowa na rzecz tego lub innego oligarchy. Kupowani deputowani przechodzili z frakcji do frakcji w zależności od tego, kto dał więcej. Prawdziwe decyzje zapadały gdzie indziej.

Polacy zdawali sobie z tego sprawę?

To była rzecz, którą polscy eksperci, dziennikarze i politycy rozumieli o wiele lepiej niż ich koledzy z Europy Zachodniej. Wiedzieli, jak funkcjonuje ukraińska oligarchia i jak ją rozgrywać. Dopóki obserwowaliśmy konflikt wewnętrzny między różnymi obozami politycznymi w Ukrainie, to stanowiło pewną wartość. Poza tym opinii publicznej w Niemczech trudno jest wytłumaczyć, dlaczego w jakimś pokoju hotelowym niemiecki urzędnik spotkał się z facetem, który w Stanach Zjednoczonych jest ścigany listem gończym. W momencie, kiedy kryzys w Ukrainie przerodził się w konflikt militarny, który mocno zdestabilizował ukraińską walutę i gospodarkę, Polska już nie miała tam czego szukać. By finansowo stabilizować taki kraj jak Ukraina, trzeba bowiem mieć duże nadwyżki budżetowe, wpływy w Międzynarodowym Funduszu Walutowym i Europejskim Banku Odbudowy i Rozwoju. Wojskowo Ukrainę stabilizować mogą zaś tylko Amerykanie – i to oni, w dużej mierze, to zrobili.

Po jednej stronie mieliśmy więc Amerykanów, ze względu na konflikt militarny, po drugiej – Niemców, aby ustabilizować gospodarkę, do czego Ukraina potrzebuje bardzo dużych pieniędzy. Tym razem potencjalny wkład polskiej dyplomacji był zbędny, bo już nie było potrzeby pojednania

eprasa.pl f748ab3a69

zwaśnionych stron – jedna z nich uciekła do Rosji.

Rola Polski w kształtowaniu unijnej polityki wschodniej zakończyła się w 2014 roku, zatem przed dojściem do władzy PiS. Oczywiście Polsce nie pomógł fakt, że polska dyplomacja już niemal nie istnieje. MSZ to jest biuro podróży, w wielu ambasadach nie ma ambasadorów, a obecny tam personel – jeśli nie dostaje instrukcji z Warszawy – nie mówi nic. Do centrali wysyła się informacje, które mają potwierdzać to, co się tam myśli. Przypuszczam, że polska dyplomacja w Unii Europejskiej wykonuje dziś pracę polegającą w 70 procentach na tym, by bronić reformy sądowniczej i innych kontrowersyjnych kroków, zamiast uprawiać prawdziwą politykę zagraniczną czy lobbować we Wspólnocie za zmianą stosunku do Rosji czy Ukrainy. Taki stan rzeczy oczywiście nie poprawia sytuacji, ale nie od tego wszystko się zaczęło. Mówiąc w konwencji pewnego znanego filmu hollywoodzkiego: to nie PiS zmniejszyło Polskę i zrobiło z niej krasnoludka na arenie międzynarodowej, lecz zrobił to Putin. PiS się tylko z tym pogodziło, w Polsce powtarza, jakim gigantem ten krasnoludek jest i że wszyscy mu zazdroszczą, a za granicą każe mu głośno krzyczeć, aby zwracać na siebie uwagę, bo inaczej nikt go nie dostrzega.

Klaus Bachmann jest profesorem nauk społecznych, politologiem, historykiem. Specjalizuje się w problematyce z zakresu integracji europejskiej, sprawiedliwości w czasach transformacji (lustracja, rozliczenie przeszłości, międzynarodowe trybunały karne, komisje prawdy i pojednania), historii najnowszej Europy Środkowo-Wschodniej, a także ruchów totalitarnych. W latach 1988–2001 pracował jako korespondent mediów zagranicznych w Polsce, Białorusi, Ukrainie i na Litwie, w latach 2001–2004 w Brukseli. Publikuje w „Gazecie Wyborczej", tygodniku „Polityka" i miesięczniku „Odra".

eprasa.pl f748ab3a69

Gra w ultimatum

Z profesorem Andriejem Makaryczewem rozmawia Filip Rudnik

FILIP RUDNIK: Czy Łukaszenka czytał Agambena – filozofa zajmującego się między innymi problematyką wojny i stanu wyjątkowego?
ANDRIEJ MAKARYCZEW: Nie sądzę.

Pytam, bo cały kryzys na granicy, patrząc na niego z perspektywy biopolityki, jest żywcem wyjęty z jego prac.

Myślę, że te wydarzenia stanowią bardziej lekcję dla Agambena bądź innego wielkiego myśliciela, mam na myśli Foucaulta, aniżeli coś, co Łukaszenka wdrożył po wnikliwej lekturze tych filozofów. Okazało się bowiem, że cały dyskurs o granicach i ciałach może ulec instrumentalizacji.

Dyskusja o negatywnej stronie procesów migracyjnych rozpoczęła się w trakcie kryzysu z 2015 roku – wówczas liczba artykułów o migracji jako zagrożeniu dla bezpieczeństwa gwałtownie wzrosła. Zrozumiano, że granice to coś innego niż tylko geograficzne oddzielenie jednej jurysdykcji od drugiej. To coś, co jest wciąż negocjowane, warunkowane nie tylko przez państwa, ale również przez same ludzkie ciała. Stanowi zjawisko powstałe ze związku różnych porządków, procedur bezpieczeństwa, instytucji czy stereotypów.

I tutaj znów pojawia się Agamben. Tworząc kryzys na granicy, Łukaszenka podał w wątpliwość sensowność unijnych granic.

Tak, białoruski reżim umieścił migrantów w czymś, co przypomina koncept „obozu" z Agambena – bliżej nieokreślonego obszaru, w którym przebywające ludzkie ciała są wykluczone z jakiejkolwiek wspólnoty. Egzystencja przypominała koncepcję *homo sacer*. Kogoś, kogo życie nie ma znaczenia w sensie podmiotowym.

Dlatego można było ich wykorzystać, a potem – kiedy stali się bezużyteczni – wyrzucić na powrót z kraju.

Tak, jednak zagrożenie – za pośrednictwem sztucznie wykreowanego przez Łukaszenkę kryzysu – zostało ponownie unaocznione. Akademicka debata na ten temat stanowi kontynuację tej rozpoczętej na kanwie kryzysu z 2015 roku. Wówczas stało się jasne, że narodowa suwerenność będzie zmagać się z nowym wyzwaniem – czymś, co nie jest widoczne w sposób oczywisty i wcześniej nie stanowiło elementu dyskusji o bezpieczeństwie. W literaturze biopolityki nazywa się to „złą cyrkulacją": cyrkulacją ludzi, którzy nie są mile widziani. Nie są bo-

eprasa.pl f748ab3a69

wiem postrzegani jako potencjalny wkład dla gospodarki danego kraju.

Stanowi to pewną nowość w porównaniu z dyskursem o globalizacji – tam bowiem mobilność jest dobra, to coś jednoznacznie pozytywnego. Łączy się z marzeniem o świecie bez granic, co od razu narzuca pewną perspektywę. Teraz widzimy odwrócenie tego trendu. Jeśli chcesz otwarcia granic – dostaniesz migrantów. Idąc dalej, ta „cyrkulacja" wbrew granicom i niekontrolowana mobilność stały się bardziej problemem aniżeli czymś pozytywnym dla rozwoju państw.

Kryzys na unijnej granicy z Białorusią nie jest jednak niczym nowym – podobne incydenty miały miejsce pomiędzy Marokiem a Hiszpanią. Należy wspomnieć o tym, jak Rosjanie celowo asystowali w przepuszczaniu migrantów do Norwegii i Finlandii. Czy w przypadku białoruskim można dostrzec coś, co wyróżnia ten kryzys od pozostałych?

Wyróżniłbym dwie, trzy rzeczy. We wspomnianych wydarzeniach na pograniczu rosyjsko-norweskim wiadomym było to, że to Rosjanie stoją za procederem – jednocześnie jednak Kreml temu zaprzeczał. Liczba przekroczeń była mała, wszystko przypominało raczej serię incydentów niż operację na pełną skalę. Bezpieczeństwo Norwegii czy Finlandii nie było specjalnie zagrożone.

Przypadek białoruski odróżnia się więc skalą. A także tym, że kryzys od razu uległ oczywistemu upolitycznieniu – wiadomym było to, że to Łukaszenka stworzył ten proceder i przyświecał mu konkretny cel. Sekwencja zdarzeń tłumaczyła się sama. Wszystko wydarzyło się po sierpniowych protestach w Białorusi, kiedy to białoruski dyktator zrozumiał, że już nie może liczyć na jakiekolwiek zrozumienie ze strony państw Unii Europejskiej. Postanowił więc wziąć odwet. Kryzys na granicy stanowi jego symboliczną zemstę na tych krajach, które – zamiast zachowywania dobrosąsiedzkich relacji – postanowiły wspierać opozycję i wspomagać destabilizację Białorusi. W jego mniemaniu oczywiście. To była awantura czysto polityczna.

Kolejnym wyróżnikiem jest sama geografia szlaku migracyjnego. To, jak ludzie byli transportowani do Białorusi. Nie jest bowiem naturalne, aby z Bliskiego Wschodu podejmować próby dotarcia do Europy *via* Mińsk. Wiemy także o „drodze bałkańskiej" czy innych szlakach, te kierunki są wytłumaczalne. Łukaszenka zaś, organizując ten proceder – który został szybko opisany przez dziennikarzy – stał za całą operacją. To już wychodzi poza biopolitykę, można w tym upatrywać odsłony koncepcji społeczeństwa jako spektaklu. W tym wypadku w negatywnym sensie. To było wielkie widowisko, w którym Łukaszenka trzymał batutę dyrygenta, audytorium zaś tworzyli europejscy decydenci.

Wspomniał Pan o tym, że proceder stanowił czysto „symboliczną zemstę" za wspieranie białoruskiej

eprasa.pl f748ab3a69

opozycji. Wielu komentatorów upatrywało jednak w kryzysie racjonalnej kalkulacji politycznej Łukaszenki – jakoby dyktator wierzył, że presja doprowadzi do ustępstw ze strony Europy.

Nie widzę dużego sensu w racjonalizowaniu poczynań czy to Łukaszenki, czy Putina. Nie sądzę, że ci ludzie oddawali się lekturze – nawet nie Agambena – ale nawet teoretyków stosunków międzynarodowych. To jest wyłącznie moja interpretacja, ale wydaje mi się, że działają oni, bazując tylko na swojej intuicji. Nie powinniśmy zatem doszukiwać się wytłumaczeń dla ich postępowań na podstawie tego, co my pojmujemy pod postacią racjonalności. Starając się znaleźć jakąś normę czy analogię, można zejść na manowce.

Ich kroki są głównie intuicyjne – stoi za nimi zwykła chęć wzięcia odwetu. Po rosyjsku nazywamy to *dać sdaczi*, a więc odwinąć się. Nie sądzę, że ich obchodzi to, czy ich kroki są bezproduktywne bądź prowadzą do jeszcze większej eskalacji. Pragną natomiast być postrzegani jako istotni gracze – w jakimkolwiek znaczeniu. Nawet jako *troublemakers*. W sumie to taka reputacja im się podoba. Najważniejsze pozostaje to, że cały świat ich akceptuje jako takich i tym samym zaprasza do rozmów.

A więc można rozmawiać z dyktatorami?

Tak. Mińsk i Moskwa o tym wiedzą. Wiedzą doskonale, że ich strategią jest stwarzanie zagrożenia – szczególnie w przypadku Kremla. Widać to chociażby w języku ultimatów, które coraz częściej wystosowuje wobec Zachodu: „Jeśli nie zrobicie tego i tego, to spodziewajcie się odpowiedzi – zobaczymy, czy się wam ona spodoba". Oczywiście, na czym ta odpowiedź ma polegać, pozostaje niewiadomą.

Te zagrywki są obecnie również stosowane przez Łukaszenkę. Oczywiście, jest to nieskuteczne na wielu płaszczyznach. Białoruś została wykluczona z obrad Partnerstwa Wschodniego, Mińsk nie jest już w stanie balansować pomiędzy Rosją a Unią Europejską – zależy już wyłącznie od Moskwy i jej pieniędzy. Ze strategicznego punktu widzenia jest to zły prognostyk dla przetrwania reżimu. Mimo to Łukaszenka podbija stawkę w grze obliczonej na eskalację.

Jednocześnie nie należy zapominać o tym, że cały kryzys w pewien sposób oddziaływał na sąsiednie kraje – doprowadził do politycznego wzmożenia w Polsce, na Litwie i w Łotwie. Być może nie poskutkowało to rządowym kryzysem, ale destabilizacja była widoczna. Czy możemy w takim razie spodziewać się powtórki?

To na pewno nie jest ostatni epizod tej sagi. Łukaszenka wespół z Putinem będą dalej próbować – pośrednio bądź bezpośrednio – ingerować w wewnętrzne spory polityczne tych krajów, polaryzować opinię publiczną i destabilizować instytucje demokracji liberalnej. Być może z wyko-

eprasa.pl f748ab3a69



Archiwum prywatne

W rosyjskim środowisku eksperckim można dostrzec, że już co drugi analityk jest stuprocentowo pewny, że Putin cierpi na prawdziwą obsesję na temat idei imperialistycznych. Taka opinia nie jest już niczym marginalnym, pojawia się coraz częściej. Niektórzy wręcz twierdzą, że ta fascynacja może przesłaniać mu prawidłowy ogląd sytuacji – i to, czy może podejmować racjonalne bądź właściwe decyzje. Stąd metafora o odizolowanym „wodzu w bunkrze".

rzystaniem migrantów, a być może znajdą nowy sposób.

Jednocześnie wydaje mi się, że Łukaszenka nauczył się tego, że potencjalne pole dla jego działań jest ograniczone – co widać było w dość stanowczej reakcji krajów graniczących z Białorusią. W świecie rosyjskich analityków słychać głosy, że polityka Unii Europejskiej w tej kwestii stanowi mocny sygnał dla Mińska i Moskwy, że istnieją pewne granice dla ich gier. Otwartą kwestią pozostaje to, czy systemy autorytarne potrafią uczyć się na własnych błędach.

Tej maszyny – na płaszczyźnie retorycznej – chyba nie sposób już zatrzymać. Łukaszenka w krytyce Zachodu dochodzi do porównywania niemieckich decydentów z nazistami, białoruska propaganda forsuje narrację o polskim ludobójstwie na granicy.

eprasa.pl f748ab3a69

Tymczasem Putin niszczy ostańce rosyjskiego społeczeństwa obywatelskiego – chociażby likwidując stowarzyszenie Memoriał. Odbija się to przecież na poczynaniach w polityce zagranicznej.

W przypadku obu krajów mamy do czynienia już nie z systemowym naciskiem na opozycję, ale faktyczną anihilacją jakichkolwiek głosów sprzeciwu. Sprawa Memoriału to tylko najświeższa ilustracja tego procesu.

To zresztą działania wybiegające w przyszłość. Rozpoczynając ryzykowną grę ze wspólnotą transatlantycką, Putin potrzebuje jednomyślnego wsparcia w kraju, jedności wśród Rosjan. Widzi to w ten konkretny sposób – im bardziej ryzykowne są jego utarczki z Zachodem, tym więcej sił wewnątrz kraju może go poddać krytyce. A tego stara się uniknąć za wszelką cenę. Stąd kompletne oczyszczenie politycznego pola z każdego głosu dezaprobaty. Putin przygotowuje rosyjskie społeczeństwo i cały system polityczny do swego rodzaju mobilizacji na czas wojny. W takim okresie każda alternatywna opinia – nawet nie wroga i krytyczna, a po prostu inna – może być odczytywana jako zagrożenie z punktu widzenia bezpieczeństwa informacyjnego.

W tym kontekście kryzys na granicy został wykorzystany przez Moskwę jako kolejny z sygnałów wymierzonych w stronę Zachodu: „jeśli nie zaczniecie brać nas na poważnie, to będziecie się zmagać z kolejnymi zagrożeniami". I mogą być one podobne do poprzednich, ale jednocześnie Kreml zapewnia o swojej inwencji na tym polu, możliwe jest wypracowanie nowych form agresji. Rosjanie domagają się tego co zawsze – dopuszczenia ich do stołu rozmów, najlepiej w towarzystwie wyłącznie innych wielkich potęg. Innego formatu dialogu Rosja nie rozumie. Do momentu urzeczywistnienia tych żądań, Kreml będzie testować Zachód.

Z tym, że okrucieństwo, a także prostactwo – zarówno w kontekście kryzysu granicznego, jak i retoryki – jest tutaj uderzające i dość wyjątkowe, nawet jak na standardy Putina czy Łukaszenki. Może to bierze się z braku innych opcji? Muszą stosować siłę, bo nikt nie traktuje ich poważnie?

To jedno z wytłumaczeń. Drugie jest takie, że rosyjska – a teraz i białoruska – strategia wygląda w następujący sposób: tworzy się problem z niczego (wcześniej on nie istniał), a zaraz potem zwraca się do społeczności międzynarodowej: „Koledzy, spróbujmy wspólnie wypracować rozwiązanie". To już strategia, nie tylko taktyka. Stworzenie konfliktu, aby potem zainicjować platformę do międzynarodowego dialogu. Zamiast bycia karanym za sianie zamętu, Kreml uczestniczy w negocjacjach mających na celu rozwiązanie problemów, które sam stworzył. Tak jak w przypadku Donbasu i Ługańska, mamy format normandzki i porozumienia mińskie – Rosjanie wchodzą w skład tych platform. Rosyjskie władze lubią tę funkcję: „Pomyślmy nad tym, jak rozwiązać potencjalne zagrożenie" – proponu-

eprasa.pl f748ab3a69

ją. Białoruś odgrywa w nim rolę młodszego partnera.

Wracając jednak do braku opcji, Mińsk faktycznie za wiele ich już nie ma. Łukaszenka obecnie walczy o przeżycie. Jego polityczna podmiotowość została podważona przez Zachód, w rękach ma o wiele słabsze karty niż przedtem. Tymczasem Putin, z charakterystyczną dla niego obsesją na temat polityki zagranicznej, karmi swoje fantazje.

No właśnie – na ile ta fascynacja jest prawdziwa, a na ile wyolbrzymiona przez komentatorów?

W rosyjskim środowisku eksperckim można dostrzec, że już co drugi analityk jest stuprocentowo pewny, że Putin cierpi na prawdziwą obsesję na temat idei imperialistycznych. Taka opinia nie jest już niczym marginalnym, pojawia się coraz częściej. Niektórzy wręcz twierdzą, że ta fascynacja może przesłaniać mu prawidłowy ogląd sytuacji – i to, czy może podejmować racjonalne bądź właściwe decyzje. Stąd ta metafora o odizolowanym „wodzu w bunkrze", dodatkowo wzmocniona podczas pandemii, kiedy Putin praktycznie nie pojawiał się publicznie. Rosyjski prezydent nie zajmuje się sprawami wewnętrznymi, to go nudzi. Dlatego poświęca się w całości grze na globalnej szachownicy.

W tej partii szachów szczególnie istotna może okazać się Białoruś – a raczej jej potencjalne „połknięcie" przez wschodniego sąsiada. Wiadomo, dyskusje na ten temat toczą się od wielu lat, a sam proces jest niezadowalająco powolny dla rosyjskiej strony. Tak jak jednak wspomnieliśmy, teraz Łukaszenka musi „grać" z Putinem w jednej lidze. Czy możemy spodziewać się drugiego Krymu?

Na pewno inkorporowanie Białorusi mogło być zaprezentowane w ten sposób na potrzeby wewnętrzne. Związek Radziecki+, być może bez tych krajów, które już do niego nie pasują – ale z pewnością byłby to krok ku jego wskrzeszeniu. Rosjanie mogą to zrobić na wiele sposobów, nazywają to jednak dość miękko: „reintegracją Białorusi".

Biorąc pod uwagę ostatnią serię eskalacyjnych wypowiedzi – chociażby wymierzone w Zachód ultimatum wzywające do zatrzymania rozszerzania NATO czy rozmowy na linii Putin–Biden – myślę, że rosyjskie władze są zainteresowane przejęciem Białorusi jak najmniejszym kosztem. Można tego dokonać przez lokowanie rosyjskich żołnierzy, systemów balistycznych czy wojskowych samolotów na terenie tego kraju. Tak podpowiada logika ultimatum, Zachód bowiem zapewne nie posłucha wezwań do wycofania wojsk NATO ze swojej wschodniej flanki. W odpowiedzi Rosjanie umieszczą żołnierzy w Białorusi. Ewentualne decyzje na poziomie politycznym, w rodzaju wdrażania „map drogowych", mogą przyjść później.

Łukaszenka już zresztą zapowiedział, że w razie wprowadzenia przez

eprasa.pl f748ab3a69

NATO broni jądrowej do Polski, zezwoli on na rozmieszczenie analogicznych rosyjskich instalacji w Białorusi.

No właśnie – i to nie są dobre wieści ani dla NATO, ani dla krajów sąsiadujących z Białorusią. Szczególnie dla Ukrainy. W przypadku pośredniego bądź bezpośredniego wtargnięcia na ukraińskie terytorium, Kijów będzie zmagać się nie tylko z agresją na wschodniej granicy – do której Ukraińcy są przygotowani – ale również od północy.

A więc zarówno „reintegracja Białorusi" oraz agresja na Ukrainę to dwie z opcji, które można wdrożyć w celu urzeczywistnienia imperialnych planów Kremla. Białoruś stanowi jeden z celów rosyjskich władz, więc będą starać się przyspieszyć proces integracji. Nie sądzę jednak, aby Rosjanie zdecydowali się na deeskalację sporu z Zachodem bez jakichkolwiek ustępstw. Oni wiedzą, że tak naprawdę mogą pozwolić sobie na wiele – przemieszczać wojska, zmuszać Łukaszenkę do dalszych prowokacji – a tak czy inaczej, negocjacje pomiędzy Kremlem a Zachodem będą miały miejsce. Należy też pamiętać, że są jeszcze inne warianty do rozważenia, te bardziej ekstremalne: uznanie Doniecka, Ługańska, być może nawet Naddniestrza. Rosjanie mogą wystosować ultimatum do Gruzinów, domagając się zamknięcia laboratorium niedaleko Tbilisi – według nich to tam produkuje się broń chemiczną, a to przecież mniej niż 200 kilometrów od rosyjskiej granicy. Mogą więc grać językiem ultimatum. I zapewne będą to robić.

Pytaniem otwartym jest to, na ile ten język będzie skuteczny – dużo zależy od odpowiedzi Amerykanów i całego NATO. Ten stanowczy ton nie był stosowany od dawna, nawet deklaratywny szantaż za czasów późnego Związku Radzieckiego nie był tak wymowny. W przypadku gdy ich język „zagra" z Amerykanami, to dlaczego miałoby się to nie udać z pomniejszymi graczami: Gruzją, Estonią, Polską? Wymowa będzie taka sama. Nie zrobicie tego i tego – przygotujcie się więc na niemiłą niespodziankę. Możecie być pewni, że nasza odpowiedź będzie wymyślna.

Andriej Makaryczew jest profesorem na estońskim Uniwersytecie w Tartu. Zajmuje się teorią stosunków międzynarodowych w relacjach Unia Europejska–Rosja, a także zagadnieniami biopolityki na przestrzeni poradzieckiej.

eprasa.pl f748ab3a69

Nowa doktryna Breżniewa

Z Pawłem Felgenhauerem, rosyjskim analitykiem wojskowym i publicystą, rozmawia Wojciech Wojtasiewicz

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: Od kilku miesięcy w przestrzeni medialnej pojawiają się informacje o nowej wojnie w Ukrainie. Na ile prawdopodobny jest atak Rosji na ten kraj?

PAWEŁ FELGENHAUER: Groźba wojny wzrasta. Na wschodzie Europy można prowadzić działania wojenne zimą lub latem. Jesienią i wiosną przeszkadza błoto. Obecnie istnieją dobre warunki do przeprowadzenia kampanii zimowej. Moja żona przebywa w Biełgorodzie, mieście położonym niedaleko granicy rosyjsko-ukraińskiej. Jest tam sporo śniegu, ziemia zamarzła i można prowadzić działania militarne. Generalnie w Ukrainie i w Rosji dróg jest mało, są w złym stanie technicznym. Ciężko toczyć wojnę, korzystając tylko z utwardzonych dróg, a przy zamarzniętym gruncie istnieje taka możliwość. W regionie Donbasu również nie ma wielu dróg, są wąskie i dziurawe. Zimą będzie można manewrować, omijać siły wroga, budować „zimowe drogi". W ten sam sposób Armia Czerwona walczyła z hitlerowskimi Niemcami. Niemcy w końcu 1941 roku, w okresie zimowym, przeprowadzili nieudany atak na Moskwę. O tej porze roku można też łatwiej przeprawiać się przez rzeki i strumienie, używać nie tylko czołgów, lecz również wysyłać kolumny ciężarówek z zaopatrzeniem dla armii przez wiejskie drogi i pola.

Jeśli dojdzie do wojny, Kreml postara się ją przeprowadzić szybko na zasadzie blitzkriegu, po to, aby w Rosji nie zaistniał ruch antywojenny, a Zachód nie zdążył podjąć odpowiednich działań. Atak potrwa najwyżej kilka tygodni. Może rozpocząć się pod koniec stycznia i skończyć na początku marca. Ostatni konflikt w Donbasie rozpoczął się zimą, w styczniu 2015 roku. W połowie lutego podpisano drugie porozumienia mińskie i kampania wojenna została zakończona.

Są jeszcze inne oznaki zbliżającej się wojny. W ostatnich tygodniach retoryka w rosyjskiej telewizji i prokremlowskiej prasie stała się niezwykle agresywna wobec Ukrainy. Można ją określić mianem wojennej propagandy. Społeczeństwu tłumaczy się, że Ukraińcy są źli i że trzeba z nimi zrobić porządek. Dziennikarze i publicyści posługują się też językiem o charakterze antyzachodnim. To wszystko wskazuje na zbliżającą się wojnę. Jednak na sto procent nie mogę stwierdzić, że na pewno dojdzie do konfliktu.

Jakie korzyści może odnieść Rosja z nowej wojny w Ukrainie?

eprasa.pl f748ab3a69

Sprawa nie dotyczy tylko Ukrainy, a całej Europy. Według mnie prezydent Rosji i rosyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych uznali, że są niezadowoleni ze *status quo* i oczekują poważnych zmian. Moskwa potrzebuje gwarancji bezpieczeństwa, czegoś na kształt doktryny Breżniewa, czyli ograniczonej suwerenności swoich sąsiadów oraz faktycznego wycofania się Stanów Zjednoczonych z Europy. Z czasem operacja wojenna może być trudniejsza do przeprowadzenia, szczególnie jeśli Ukraina kupi na Zachodzie i w innych częściach świata uzbrojenie. Dlatego czas ma tutaj znaczenie. Nie chodzi o okupację całej Ukrainy, lecz jej dużej części.

A jakiej konkretnie?

Południowej i wschodniej, aż do granicy z Mołdawią. Dla Rosji jest ważne, żeby zapewnić sobie swobodny dostęp do Naddniestrza oraz odciąć Ukrainę od Morza Czarnego i Morza Azowskiego. Rosja będzie chciała opanować takie miasta jak Chersoń, Odessa, Mariupol i Charków. Będzie to krótka wojna, której celem stanie się przejęcie kontroli nad strategicznymi miastami i regionami.

Czy Rosja zechce wykorzystać terytorium Białorusi do ataku na Ukrainę?

Nie sądzę. Terytorium na granicy białorusko-ukraińskiej jest bagienno-błotniste, nawet zimą. W związku z tym nie ma tam warunków do prowadzenia działań wojennych. Z Białorusi można poprowadzić atak tylko na Polskę. A Putin myśli o napaści jedynie na Ukrainę. Ten obszar jest nieodpowiedni do przeprowadzenia szybkiej wojny z użyciem czołgów.

Jakie konkretne działania poczyniły rosyjskie władze w ramach przygotowań do wojny?

Rosja rozbudowała regularną armię do takiego stopnia (jeśli chodzi o jej liczebność), jaki nie był odnotowywany od czasów cara Mikołaja I oraz wojny krymskiej. Stworzono potężne wojsko, dzięki któremu można prowadzić wojnę na dużą skalę praktycznie bez konieczności ogłaszania poboru. Ten skok ilościowy i jakościowy miał miejsce w przeciągu kilku ostatnich lat. Liczba batalionów została zwiększona z około sześćdziesięciu do około stu pięćdziesięciu. To bardzo dużo. NATO rozlokowało tylko po jednym batalionie wojsk w Polsce oraz na Litwie, Łotwie i w Estonii. Rosja ma obecnie ogromną przewagę w liczbie czołgów, które wchodzą w skład grup batalionów taktycznych czy piechoty morskiej. Grupa batalionowa liczy 700–800 osób i kilka czołgów oraz haubic. Ponadto w jej skład wchodzą saperzy i działa przeciwlotnicze. Grupy batalionowe mogą funkcjonować samodzielnie, mogą również prowadzić działania wojskowe razem, co wpływa na ich efektywność. To zdecydowana różnica, jeśli porównamy współczesną armię do carskiej, gdzie były pułki i dywizje. Oddziały, które rozlokowało NATO, między innymi w Suwałkach, liczą po 1200 żołnierzy. Określane są mianem grup bojowych. To *de facto* to samo, tylko są licz-

eprasa.pl f748ab3a69

niejsze niż grupy rosyjskie. Na froncie wschodnioeuropejskim Rosja ma zdecydowaną przewagę.

Ukraina również ma pewne możliwości bojowe. Można zmobilizować rezerwistów, którzy mają doświadczenie wojny w Donbasie. Jednak doświadczenie to jest specyficzne. Tamta wojna nie miała charakteru mobilnego. A ta „prawdopodobna", o której rozmawiamy, taka właśnie będzie. Została zaplanowana jakieś dziesięć lat temu. Publicznie mówił o niej szef Sztabu Generalnego rosyjskiej armii, generał Walerij Gierasimow. Twierdził, że w latach dwudziestych XXI wieku wzrośnie ryzyko wojny, a w połowie tej dekady odnotujemy kilka sporych konfliktów lokalnych lub jeden o skali globalnej. Rosja przygotowała się do tego wydarzenia, wydając około biliona dolarów na zakup uzbrojenia i rozbudowę regularnej armii. Wojskowi przekonali Władimira Putina, że Zachód przygotowuje jego zabójstwo. Dlatego w Polsce i w Rumunii zainstalowano rakiety, które następnie mogły zostać przetransportowane do Ukrainy, a ich głównym celem miała być likwidacja prezydenta Rosji. Od dawna rosyjski (a wcześniej, w latach osiemdziesiątych, radziecki) sztab generalny ma przekonanie, że Zachód czyha na życie rosyjskich przywódców. Z tego powodu mieliśmy do czynienia z europejskim kryzysem rakietowym. Sądzi się, że Stany Zjednoczone zaatakują Rosję po to, by fizycznie zlikwidować jej wojskowo-polityczne kierownictwo. Dlatego Władimir Putin powtarza, że mamy do czynienia z „kwestią życia i śmierci". Istniejące zagrożenie należy wyeliminować.

Ale nie chodzi tylko o Ukrainę. W optyce Moskwy Ukraina to ziemie rosyjskie, które są obecnie okupowane przez Amerykanów i rządzone przez ich miejscowych wspólników, faszystów-banderowców. Kreml uważa, że wszędzie czai się niebezpieczeństwo. W związku z tym znajdujemy się w sytuacji przedwojennej, która będzie tylko narastać. Rosja zgromadziła sporą ilość wojska przy granicy z Ukrainą już wiosną ubiegłego roku. W kwietniu do Władimira Putina zadzwonił prezydent USA Joe Biden, potem w czerwcu spotkali się osobiście. Rosjanie odpuścili. Jednak to nie było rozwiązanie problemów, tylko odłożenie ich na później. W związku z tym spodziewana wojna może zostać odsunięta w czasie nawet o rok.

Co dotychczas zrobił ukraiński prezydent i rząd, żeby przygotować Ukrainę do wojny?

Ukraińcy, tak jak mogli, przygotowali się do wojny. Byłem w 2017 roku w Kijowie i spotkałem się z brytyjskim pułkownikiem z Royal Hussars, czyli pułku czołgów, jednego z najbardziej elitarnych w Wielkiej Brytanii. Uczestniczyliśmy w konferencji Rady Najwyższej Ukrainy i Zgromadzenia Parlamentarnego NATO. Zostałem poproszony o wystąpienie. Narysowałem mu mapę przedstawiającą przyszłą wojnę. Na jej podstawie Ukraińcy przygotowują się do konfliktu. Od tego czasu kontynuowane jest rozmieszczanie

eprasa.pl f748ab3a69

sił oraz tworzenie rezerw. Z drugiej strony podejmowane są na pewno inne kroki.

A co może zrobić Zachód, żeby zapobiec nowej wojnie w Ukrainie?

Zachód robi wszystko to, co można i należy robić. Lato minęło i we wrześniu stało się jasne, że wojny w 2021 roku nie będzie. Jednak zaczął się nowy rok i znowu wzrosło ryzyko konfliktu. Siły zbrojne mogą zostać przerzucone na front wschodni. Jest plan NATO „4×30" polegający na tym, że w ciągu trzydziestu dni trzydzieści batalionów, trzydzieści eskadr lotniczych i trzydzieści okrętów bojowych powinno być zdolnych do przemieszczenia się na teren Polski, krajów bałtyckich i Rumunii. A Rosja może przerzucić na front wschodni sto batalionów w okresie krótszym niż trzydzieści dni. Te ruchy rosyjskich wojsk, czyli przerzuty czołgów, brygad i dywizji, należy rozpocząć jak najszybciej. Wojska mogą być również przerzucane z USA i Europy Zachodniej. W związku z tym Moskwa musi szybko podjąć decyzję o wojnie i rozpocząć transport wojsk. Natomiast NATO potrzebuje pięciu dni od momentu otrzymania rozkazu na rozpoczęcie przemieszczania wojsk z baz wojennych. Nie chodzi o znalezienie się w miejscu docelowym. Wojna to przede wszystkim logistyka, transport sporej liczby ludzi i sprzętu wojskowego często w miejsca, które nie są specjalnie przygotowane do prowadzenia działań wojennych. Występują problemy z pokonaniem granic, miejscowymi siłami policyjnymi, które odpowiadają za regulowanie ruchu drogowego – ich zadaniem jest zapewnienie bezproblemowego przejazdu przez drogi publiczne kolumnom wojskowym. W Polsce i w krajach bałtyckich drogi i mosty zostały zbudowane według radzieckich specyfikacji, a zachodnie czołgi są o wiele cięższe (do 65 ton) niż radzieckie i rosyjskie (do 45 ton).

Jeśli dobrze rozumiem, uważa Pan, że w zbliżającej się wojnie będą uczestniczyć również armie państw członkowskich NATO?

Istnieje taka możliwość. Jest prawdopodobieństwo eskalacji.

Czy jednak jest szansa, żeby Zachód zapobiegł temu konfliktowi? Pod koniec ubiegłego roku Joe Biden rozmawiał z Władimirem Putinem na temat sytuacji w Ukrainie.

Trudno powiedzieć. Szansa oczywiście jest. Jednak w Rosji działania wojenne są realizowane według planu, a nie na zasadzie improwizacji, bo to źle się kończy. Można tu chociażby przywołać przykład pierwszej wojny czeczeńskiej, wtedy Moskwa improwizowała i skończyło się to dla niej fatalnie. Rzecz jasna, bywają od czasu do czasu pewne zmiany, jednak co do zasady wszystko odbywa się według planu. Władimir Putin uważa, że w przyszłości przewaga nuklearna Rosji stanie się jeszcze większa, chociaż już teraz nasz kraj zajmuje pierwsze miejsce na świecie, jeśli chodzi o ilość broni jądrowej. „W związku z tym Zachód powinien

eprasa.pl f748ab3a69

być posłuszny Rosji. Powinien spełniać rosyjskie warunki" – uważają nasze elity polityczne. Amerykanie za czasów prezydentury Baracka Obamy nie zbroili się, a wręcz przeciwnie – rozbrajali się. Rosja wykorzystała ten czas i ma obecnie przewagę militarną, w związku z czym stawia aroganckie ultimatum, które nie wiedzieć czemu nie wywołuje odpowiedniego lęku na Zachodzie.

Na jakie ustępstwa musiałby się zgodzić Zachód, żeby Rosja odstąpiła od nowego konfliktu?

Rosja powiedziała to wprost: oddać kontrolę nad Ukrainą i innymi krajami, które wchodziły w skład Związku Radzieckiego, w tym może i nad krajami bałtyckimi. Rosja chciałaby mieć też prawo do decydowania o tym, jakie wojska mogą stacjonować w Polsce oraz w innych krajach, które dawniej były stronami Układu Warszawskiego.

Czy takie żądania strony rosyjskiej są możliwe do spełnienia przez Zachód?

Oczywiście, że nie. Nawet gdyby kraje członkowskie NATO podpisały takie porozumienie, to nie będzie ono obowiązywało bez ratyfikacji przez parlamenty krajowe. W przypadku USA w senacie trzeba dwóch trzecich głosów, żeby zatwierdzić umowę międzynarodową. Jest to nierealne.

Zatem jeśli jest to nierealne, dlaczego Zachód i Rosja chcą kontynuować rozmowy? Po co było spotkanie dyplomatów rosyjskich i amerykańskich w Genewie, posiedzenie Rady Rosja–NATO oraz rozmowy pod auspicjami OBWE?

Obydwie strony chcą pokazać, że zrobiły wszystko, co było możliwe, żeby osiągnąć porozumienie. A jeśli środki dyplomatyczne zawiodły, trzeba skorzystać z innych narzędzi. Wojna jest kontynuacją polityki, lecz innymi środkami. To twierdzenie Carla von Clausewitza, które jest bardzo popularne wśród rosyjskich generałów.

Czy ewentualna wojna w Ukrainie może stanowić zagrożenie dla Polski?

Zagrożenie eskalacji i przeobrażenia wojny w Ukrainie z konfliktu regionalnego w ogólnoeuropejski istnieje. Nad Dnieprem są obecni zachodni doradcy i specjaliści. W razie wybuchu wojny Ukrainie zostanie dostarczana amunicja i sprzęt wojskowy. Mogą zostać wykorzystane samoloty z Zachodu, które nie będą uczestniczyć w napaści na Rosję, a ich celem będzie raczej ustanowienie stref bezpieczeństwa w Ukrainie. Może dojść do niewielkich potyczek na Morzu Bałtyckim lub Morzu Czarnym pomiędzy statkami i samolotami. To wszystko może doprowadzić do jeszcze większej eskalacji. Na razie Zachód nie planuje wysyłać wojsk lądowych do Ukrainy, jednak samoloty mogą zostać użyte do zabezpieczenia lotnisk. W 2008 roku w czasie wojny pięciodniowej Zachód wspomagał Gruzję drogą powietrzną i morską. Za-

eprasa.pl f748ab3a69

tem w razie konfliktu w kraju nad Dnieprem NATO również będzie zabezpieczać tego typu dostawy. Eskalacja może mieć miejsce w przypadku przedłużenia się wojny w Ukrainie oraz sporych strat po stronie rosyjskiej. Moskwa będzie oskarżała Zachód o niejawne uczestnictwo w wojnie i pomoc Ukrainie, w związku z czym będzie musiała odpowiedzieć na tego typu działania.

Chciałem też zapytać o kwestię uchodźców z Ukrainy w razie wojny. Czy Europie grozi kolejny kryzys migracyjny?

To może być problem dla Polski i całej Unii Europejskiej. Bruksela będzie musiała poradzić sobie z rozlokowaniem uciekających przed wojną Ukraińców. To może być przyczynek do konfliktu o skali ogólnoeuropejskiej.

Paweł Felgenhauer jest rosyjskim analitykiem wojskowym i publicystą. Stale współpracuje m.in. z rosyjską „Nową Gazetą".

eprasa.pl f748ab3a69

Kazaski krajobraz po bitwie

Ludwika Włodek

Tylko prawdziwe reformy mogłyby trwale uspokoić sytuację w Kazachstanie. Na te jednak chyba się nie zanosi.

Z trwających kilka dni zamieszek Kazachstan wychodzi z nowym, choć pełnym starych polityków rządem i z nieobecnym w przestrzeni publicznej Nursułtanem Nazarbajewem. Już samo to wydaje się wielką zmianą, bo przez ostatnich trzydzieści lat to właśnie Nazarbajewa mieszkańcy Kazachstanu oglądali i słuchali najczęściej. Czyżby to oznaczało, że jego następca Kasym-Żomart Tokajew wreszcie wybił się na niepodległość? Niekoniecznie. Wcześniej uzależniony od Nazarbajewa, teraz będzie zakładnikiem Rosji w stopniu większym niż kiedykolwiek wcześniej, a także – być może – swoich niespełnionych obietnic.

Blisko dwie setki zabitych (a być może znacznie więcej), kilkanaście tysięcy zatrzymanych osób, zniszczone budynki, w tym siedziba władz miasta Ałmaty (czyli dawna siedziba KC Komunistycznej Partii Kazachstanu, a później pałac prezydencki) – taki jest bilans ostatnich kilkunastu dni.

Gniew ludu

Początek łańcuchowi wydarzeń 2 stycznia dały z pewnością spontaniczne i autentyczne protesty rozeźlonych podwyżkami obywateli. Wybuchły na zachodzie kraju, w Żanaozenie i innych większych miastach obwodów mangystauskiego, atyrauskiego i aktobińskiego. Położona nad Morzem Kaspijskim zachodnia część Kazachstanu to obszar ropo- i gazonośny. Tutejsza ludność ma słuszne przekonanie, że to z jej pracy (głównie w przemyśle wydobywczym) żyje cały kraj. I jednocześnie poczucie, że nie jest za ten trud należycie wynagradzana. Nie chodzi tylko o wysokość pensji, bo te w sektorze wydobywczym są akurat dość wysokie, ale o jakość życia. A ta na zachodzie jest niska. Rządzące Kazachstanem elity większość narodowego bogactwa dzielą bowiem między zarządzane przez siebie i swoich bliskich spółki, a to, co zostaje, inwestują w upiększanie stolicy kolejnymi szklanymi wieżowcami czy innymi bijącymi rekordy w księdze Guinnessa budowlami.

eprasa.pl f748ab3a69

Natomiast służba zdrowa, opieka społeczna czy ochrona środowiska, czyli dziedziny, które mają bezpośredni wpływ na to, jak żyje się zwykłym ludziom, od lat pozostają niedofinansowane. Dotkliwie obnażyła to pandemia COVID-19. Noworoczne podwyżki cen gazu, już kolejne w ostatnim półroczu, były tylko iskrą, od której zapłonął tlący się w ludziach od dawna żar niezadowolenia, poczucia pokrzywdzenia i bycia wykorzystywanym. Pierwsi na ulice wyszli mieszkańcy Żanaozenu, miasta, w którym dziesięć lat wcześniej krwawo stłumiono poprzednie protesty towarzyszące strajkowi pracowników sektora gazowego.

Tym razem protesty mieszkańców zachodnich obwodów masowo poparli rodacy w całym kraju. Już 4 stycznia zbierali się ludzie w centrum dawnej stolicy Ałmaty, a także w Szymkencie, Karagandzie, Tałdykorganie i innych miejscowościach. Sytuacja wyraźnie wymknęła się władzy spod kontroli. Ludzie na ulicach krzyczeli już nie tylko „popieramy Żanaozen". Domagali się także dymisji rządu, a przede wszystkim wycofania się z polityki byłego prezydenta Nursułtana Nazarbajewa. Policja próbowała zatrzymywać przybywających na mityngi, wciągać ich do zaparkowanych w pobliżu miejsc spotkań radiowozów, ale protestujących było tak dużo, że centralne place i bulwary i tak się nimi zapełniały.

Pojawia się przemoc

Przełomowy był 5 stycznia. Jeszcze rano prezydent Kasym-Żomart Tokajew ogłosił dymisję rządu i obiecał, że ceny gazu, a także innych kluczowych produktów, przez 180 dni będą utrzymywane przez państwo na stałym poziomie. Oznajmił też, że przejął od Nazarbajewa kierowanie Radą Bezpieczeństwa. Do tej pory to właśnie szefowanie temu organowi dawało byłemu prezydentowi kontrolę nad następcą.

Noworoczne podwyżki cen gazu były tylko iskrą, od której zapłonął tlący się w ludziach od dawna żar niezadowolenia, poczucia pokrzywdzenia i bycia wykorzystywanym.

Jednocześnie jednak na ulicach kazaskich miast pojawiła się przemoc. Najpierw drobna: rozbijano szyby, włamywano się do sklepów, zapłonęły pierwsze samochody. Takie zjawiska towarzyszą prawie wszystkim demonstracjom, wszędzie na świecie, a zwłaszcza w krajach, gdzie ludzie od lat mają do czynienia z arogancką i skorumpowaną władzą, która konsekwentnie ignoruje ich potrzeby. Wydarzenia w Kazachstanie jednak eskalowały. W Ałmaty tłum rzucił się na siedzibę władz miasta, która wkrótce została splądrowana i podpalona. Wielu pokojowo nastawionych demonstrantów po fakcie opowiedziało mediom, że doszło do tego wbrew nawoływaniom zgromadzonej na

eprasa.pl f748ab3a69

placu Republiki większości. Nieznani sprawcy zajęli też i splądrowali ałmackie lotnisko. W innych miejscowościach dochodziło do napadów na budynki użyteczności publicznej, karetki, przystanki autobusowe, a nawet radiowozy. Widziano chuliganów z bronią, także palną.

Prezydent Tokajew oświadczył, że Kazachstan stał się przedmiotem obcej agresji i wezwał na pomoc wojska państw Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym. Do wieczora policja zupełnie nie reagowała na to, co działo się na obrzeżach protestów. Jednak w nocy, gdy już było wiadomo, że do Kazachstanu zmierzają żołnierze z Rosji, Białorusi i innych państw-członków Układu, zaczęła się jatka. W Ałmaty w nocy z 5 na 6 stycznia strzelanina trwała nieprzerwanie wiele godzin, przedłużyła się na cały następny dzień. Tak samo było w innych miejscowościach. Rankiem 6 stycznia do Kazachstanu przybyli pierwsi żołnierze z wezwanego na pomoc kontyngentu – rosyjskie wojska powietrznodesantowe.

Tego samego dnia aresztowano Karima Masimowa, zwolnionego już dzień wcześniej z funkcji przewodniczącego Komitetu Narodowego Bezpieczeństwa (byłego KGB) wieloletniego premiera Kazachstanu, człowieka bliskiego Nazarbajewowi. Został oskarżony o zdradę.

7 stycznia Tokajew wygłosił orędzie do narodu. Mówił o bandytach i terrorystach, którzy napadli na Kazachstan, oświadczył, że dał rozkaz strzelania do nich bez ostrzeżenia. Narzekał, że świat radzi mu pokojowo rozwiązać konflikt drogą negocjacji, nie mając pojęcia, że Kazachstan stał się przedmiotem obcej agresji.

Teorię o konflikcie wewnątrz kazaskiej grupy trzymającej władzę i jego wpływie na eskalację protestów popierają niezależni obserwatorzy tamtejszej sceny politycznej.

Jednak dowodów na obcą agresję władza nie potrafiła dostarczyć. Tę narrację skompromitował nieco filmik pokazany 9 stycznia, na którym wyraźnie poddany przemocy fizycznej człowiek opowiadał, że jest obywatelem Kirgistanu i jako bezrobotny dał się skusić na propozycję przyjazdu do Kazachstanu i udziału w zamieszkach. Miał za to dostać 90 tysięcy tenge, czyli około 200 dolarów. Mówił, że kupili mu bilet, przywieźli z lotniska do mieszkania w Ałmaty, gdzie razem z nim ulokowano innych bezrobotnych, z Tadżykistanu i Uzbekistanu. Następnego dnia miał iść na demonstrację, ale się przestraszył. Szybkie aresztowanie zakończyło jego przygodę.

W bohaterze filmiku szybko jednak rozpoznano znanego kirgiskiego muzyka, który przyjechał do Ałmaty nie po to, by brać udział w zamieszkach, a dać koncert. Wstawiły się za nim kirgiskie władze, mężczyzna został zwolniony z aresztu i osobistym samochodem konsula odstawiony do Biszkeku.

eprasa.pl f748ab3a69

Kazachstan
Podróżując bocznymi drogami

Justyna Afek



Zimą pada tyle śniegu, że nie wszystkie drogi i chodniki bywają na czas odśnieżone.

eprasa.pl f748ab3a69



eprasa.pl f748ab3a69



Nowruz, czyli świętowanie Nowego Roku. Obchodzony jest bardzo hucznie. Na zdjęciu występy jednej z licznych w Kazachstanie narodowości.

eprasa.pl f748ab3a69



Przydrożni sprzedawcy owoców i warzyw. Znawcy arbuzów rozróżniają arbuzy chłopców i arbuzy dziewczynki. Podobno arbuzy dziewczynki są słodsze.

eprasa.pl f748ab3a69



epresa.pl/748ab3a69





W okresie wypasu bydła Kazachowie nadal mieszkają w jurtach.



Kurt – popularny wśród nomadów rodzaj sera przygotowywany z kwaśnego mleka suszonego na słońcu.

Kolejnych opłaconych i zwiezionych z zagranicy agresorów kazaska władza już nie śmiała pokazać społeczeństwu. W czasie kilku następnych dni zmieniła się nieco także jej narracja. Teraz już więcej niż o zagranicznej agresji mówiono o wewnętrznej zdradzie i próbie dokonania przewrotu.

Konflikt w łonie władzy

Wydaje się, że ten wariant jest znacznie bliższy prawdy. Wskazuje na nią dziwna łagodność służb porządkowych na początku i nagłe zaostrzenie kursu, kiedy już było wiadomo, że Tokajew ma poparcie Kremla.

Na korzyść tego wariantu świadczy także przedłużająca się nieobecność nie tylko samego Nazarbajewa, ale także jego rodziny. Córka prezydenta Dariga nie przyszła w poniedziałek 10 stycznia na posiedzenie parlamentu, którego jest członkinią. Oficjalnie ma covid. Młodsza, Alja, napisała tylko na Instagramie kondolencje dla ofiar zamieszek i podziękowania za wsparcie moralne dla swojego ojca, ale zaraz potem zlikwidowała konto na tym portalu. Być może dlatego, że ludzie zauważyli, że w szczegółach można się doczytać, jakoby publikowała swoje posty z Emiratów Arabskich. Do Dubaju miał też się udać młodszy brat Nazarbajewa Bołat.

Teorię o konflikcie wewnątrz kazaskiej grupy trzymającej władzę i jego wpływie na eskalację protestów popierają też niezależni obserwatorzy tamtejszej sceny politycznej.

– Wewnętrzne konflikty mogą destabilizować kraj bardziej niż jakakolwiek demokratyczna opozycja, którą władza przez lata traktowała jako główne zagrożenie – uważa politolog Dossym Satpajew. – Jak się okazuje, w złym miejscu szukali wroga i walczyli nie z tymi, z którymi powinni. W szczególności, jeśli faktycznie potwierdzi się, że rezultatem tych wewnętrznych kłótni było wykorzystanie przez jedną ze stron konfliktu kryminalistów i religijnych radykałów.

Tokajew wzmacnia swoją pozycję. W miarę jak udaje mu się likwidować dotychczasowy system dwuwładzy, w którym ewidentnie odgrywał rolę młodszego partnera, staje się coraz bardziej pewny siebie. Zaostrza się także jego retoryka.

O wykorzystaniu tych środowisk do eskalacji przemocy w trakcie demonstracji mówił sam prezydent Tokajew i środowisko lojalnych wobec niego urzędników.

Obecnie wydaje się, że prezydent ma już sytuację pod kontrolą. Do tego stopnia, że ogłosił szybkie wycofanie się z Kazachstanu obcych wojsk, które kilka dni temu zawezwał na pomoc. Tokajew nie czuje się chyba jednak najmocniejszy, sko-

eprasa.pl f748ab3a69

ro wciąż trwają przesłuchania i areszty, na policję wzywani są od kilku dni dziennikarze, a strony niezależnych mediów nadal są blokowane, mimo że w kraju znów normalnie działa internet.

Wydaje się, że rywalizację z Nazarbajewem Tokajew wygrał. To samo przyznał w wywiadzie dla radia Azattyq kazaski obrońca praw człowieka Jewgienij Żowtis: „Tokajew jednoznacznie wzmacnia swoją pozycję. Obecna sytuacja pomaga mu konsolidować władzę. Zaczął wprowadzać zmiany kadrowe, na które wcześniej nie mógł sobie pozwolić. W miarę jak udaje mu się likwidować dotychczasowy system dwuwładzy, w którym ewidentnie odgrywał rolę młodszego partnera, staje się coraz bardziej pewny siebie. Zaostrza się także jego retoryka. To musi doprowadzić do jeszcze większej centralizacji. Oby nie oznaczało wzmocnienia autorytaryzmu, a pozwoliło stworzyć jakieś efektywne instrumenty dialogu ze społeczeństwem.

Bez prawdziwych zmian

To, czy osiągnięta ogromnym kosztem stabilizacja się utrzyma, będzie w dużej mierze zależało od tego, na ile Tokajew zamierza poważnie podejść do obietnic, które złożył w parlamencie przy okazji zaprzysiężenia nowego rządu.

Prezydent krytykował firmy kontrolowane przez córki Nazarbajewa. Zapowiedział też, że być może zostanie zlikwidowany, a na pewno zreformowany Samruk Kazyna – należący do skarbu państwa holding kontrolujący kluczowe dla Kazachstanu przedsiębiorstwa. Tokajew wyraził wątpliwość, czy w obecnym kształcie ta instytucja rzeczywiście wykonuje zadanie, do jakiego została powołana, czyli efektywne zarządzanie i pomnażanie bogactwa państwa. Fundusz od lat jest obsadzony przez członków klanu Nazarbajewa i jedno, co jest pewne, to, że efektywnie przyczynił się do bogacenia się lojalnych wobec byłego prezydenta urzędników i biznesmenów.

Tokajew wprost powiedział, że za rządów jego poprzednika wykształciła się warstwa bardzo bogatych biznesmenów. Zapowiedział, że nadszedł czas, by ci zaczęli się dzielić swoimi dochodami ze społeczeństwem. Obiecał utworzenie specjalnego funduszu, na który największe kazaskie firmy będą wpłacały pieniądze, które zostaną rozdystrybuowane na potrzeby obywateli.

Niestety recepty, jakie proponuje Tokajew, niezbyt dobrze wróżą. Jak widać, jego pomysł na poprawienie losu obywateli nadal jest ściśle uzależniony od powiązań pomiędzy państwem a biznesem, co nie sprzyja przejrzystości mechanizmów redystrybucji dochodu. Przez trzydzieści lat kazaskiej niepodległości wykształcił się oligarchiczny, koncesjonowany kapitalizm, w którym im bardziej ktoś był lojalny wobec władzy, tym więcej zarabiał. To władza, a nie procedury i rządy prawa, była następnie gwarantem jego stanu posiadania.

eprasa.pl f748ab3a69

Tokajew i jego rodzina przez lata byli częścią tego systemu (*notabene* ściśle powiązanego z identycznym systemem rosyjskim). I dziś wszystko wskazuje na to, że Tokajew nie zamierza go rozmontować, a jedynie przejąć nad nim kontrolę. A to nie gwarantuje, że państwowe pieniądze wreszcie zostaną przeznaczone na potrzeby obywateli, tylko nadal będą zasilać głównie zagraniczne konta rządzącej Kazachstanem elity. Może nieco przetasowanej w czasie ostatnich wydarzeń, ale wciąż tej samej.

Ludwika Włodek jest reporterką i socjolożką, adiunktką na Uniwersytecie Warszawskim. W Studium Europy Wschodniej kieruje specjalizacją „Azja Środkowa". Opublikowała następujące książki: biograficzną *Pra. Iwaszkiewiczowie. Opowieść o rodzinie* (2012, 2021), reportaż z Azji Środkowej *Wystarczy przejść przez rzekę* (2014), opowieść o regionie *Cztery sztandary, jeden adres. Historie ze Spisza* (2017), reportaż o Algierczykach we Francji *Gorsze dzieci Republiki* (2020). W marcu bieżącego roku nakładem wydawnictwa W.A.B. ukaże się jej książka *Buntowniczki z Afganistanu*.

eprasa.pl f748ab3a69

Spokój w Kijowie

Piotr Pogorzelski

Informacje o ruchach rosyjskich wojsk na granicy z Ukrainą wydają się wywoływać większe napięcie na Zachodzie niż nad Dnieprem. Dlatego życie polityczne w Kijowie trwa, jak gdyby nigdy nic: Wołodymyr Zełenski stara się konsolidować swoją władzę, a jego oponenci próbują mu w tym przeszkodzić.

W psychologii znany jest mechanizm habituacji, gdy przyzwyczajamy się do bodźca, który ciągle pojawia się w naszym otoczeniu. Tak właśnie jest z zagrożeniem wojną w Ukrainie. Siedząc w Warszawie, w telewizji czy w internecie oglądamy głównie zdjęcia z Zagłębia Donieckiego, rosyjskie czołgi i kompleksy rakietowe jeżdżące na platformach kolejowych. I mamy wrażenie, że w Ukrainie jedyne, co się odbywa, to właśnie przygotowania do wojny. Zapominamy, że ludzie w Ukrainie żyją tym (albo lepiej powiedzieć obok tego) od niemal ośmiu lat i wojna jest dla większości z nich na dalekim planie ich życia. Kijowska Fundacja Inicjatywy Demokratyczne zadała pod koniec roku pytanie o to, jakie wydarzenie polityczne było najważniejsze w 2021 roku. „Groźba rosyjskiej interwencji" znalazła się na siódmym miejscu. Wskazało ją 3 procent badanych. Na pierwszym miejscu uplasowała się pandemia (w Ukrainie wprowadzano o wiele ostrzejsze ograniczenia niż w Polsce), na drugim obchody trzydziestolecia odzyskania niepodległości, a na trzecim szczepienia (ich uruchomienie odbywało się z dużymi trudnościami, ale obecnie wszystko działa sprawnie). Groźbę ze strony Rosji wyprzedziła nawet dymisja przewodniczącego Rady Najwyższej Dmytra Razumkowa.

Rosyjskie wojska? Nic o tym nie wiem

Podobnie świat postrzegają politycy. Życie polityczne w kuluarach Rady Najwyższej, rządu i Biura Prezydenta, a także kijowskich restauracjach toczy się, jak gdyby nigdy nic. O zwiększonej obecności wojskowej przy granicach Ukrainy oraz na anektowanych terytoriach „Washington Post" napisał pod koniec października ubiegłego roku. Później pojawiły się kolejne (zapewne kontrolowane) przecieki do mediów, które miały dać znać Kremlowi, że strona amerykańska wie o jego działaniach. Następnie czytaliśmy i słuchaliśmy wypowiedzi przedstawicieli amerykańskiej administracji. Kijów przez dłuższy czas przekonywał, że nic nadzwyczajnego

eprasa.pl f748ab3a69

się nie dzieje. „Najbardziej prawdopodobne, że opublikowane w mediach i internecie fakty na temat gromadzenia rosyjskich sił zbrojnych to element specjalnych działań informacyjno-psychologicznych" – oświadczyło Ministerstwo Obrony Ukrainy.

Wtórował temu sekretarz Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ołeksij Daniłow: „Obserwujemy wszystkie procesy, to dezinformacja" – mówił.

Dopiero w połowie listopada 2021 roku nastąpiła zmiana stanowiska, prawdopodobnie po tym, jak władze otrzymały odpowiednie, bardziej przekonujące, informacje od strony amerykańskiej. Kyryło Budanow, stojący na czele głównego zarządu wywiadu Ministerstwa Obrony Ukrainy, mówił, że rosyjski atak na przełomie stycznia i lutego miałby obejmować naloty powietrzne, działania artyleryjskie i pancerne oraz powietrznodesantowe na wschodzie, desanty morskie w Odessie i Mariupolu oraz mniejsze wtargnięcie przez Białoruś.

Pod koniec 2020 roku Ukraińcy na pytanie o to, jakie wydarzenie polityczne było najważniejsze w 2021 roku, wskazali „Groźbę rosyjskiej interwencji" dopiero na siódmym miejscu.

Później nastąpiła zachodnia ofensywa dyplomatyczna, fala oświadczeń polityków amerykańskich, europejskich, a także ukraińskich. Finalnym akordem były wysunięte w połowie grudnia przez Moskwę pod adresem Zachodu żądania wyznaczenia *de facto* stref wpływów mniej więcej pokrywających się z tymi istniejącymi za czasów ZSRR. Prezydent Wołodymyr Zełenski wyraźnie starał się dać do zrozumienia, że trzyma rękę na pulsie i nie ma zamiaru ulec rosyjskim prowokacjom. Zaznaczał tylko, że najlepszą obroną byłoby przyjęcie Ukrainy do NATO. Z Kijowa regularnie słychać było też apel: „Nic o nas bez nas".

Ta sytuacja nie wpłynęła jednak znacznie na życie polityczne w Kijowie. Rok 2021 był przy tym czasem poważnych zmian na ukraińskiej scenie politycznej.

Rada ludowej sprawiedliwości

Wołodymyr Zełenski, wbrew zapowiedziom z kampanii wyborczej z 2019 roku, coraz częściej daje do zrozumienia, że będzie się ubiegał o drugą kadencję prezydencką. Jednocześnie na tym tle pojawiają się pewne problemy: jego poparcie społeczne spada. Nie jest to dramatyczny spadek, raczej naturalna kolej rzeczy w przypadku każdego prezydenta. Także Ukrainy.

Sondaż przeprowadzony wspólnie przez Inicjatywy Demokratyczne i Centrum Razumkowa mówi o tym, że 17,5 procent badanych chce głosować na obecnego szefa państwa, 11 procent na byłego prezydenta Petra Poroszenkę, 8 procent na byłą premier Julię Tymoszenko, 7,5 procent na prorosyjskiego polityka Jurija Bojkę.

eprasa.pl f748ab3a69

7 procent poparłoby wspomnianego wyżej Dmytra Razumkowa. Na marginesie: jego ojciec Ołeksandr zakładał instytucję znaną obecnie jako Centrum Razumkowa. Trudno jednak uwierzyć, aby wpływało to na wyniki badań prowadzonych przez to prestiżowe Centrum.

Problemy zaczynają się w drugiej turze. W ostatnim sondażu Wołodymyr Zełenski idzie z Petrem Poroszenką łeb w łeb. Każdy z nich notuje po 23 procent poparcia. Z tym, że poparcie dla obecnego prezydenta spadło z 28 do 23 procent, a byłego szefa państwa wzrosło z 17 do 23 procent.

W przypadku gdy kontrkandydatami będą Julia Tymoszenko albo Jurij Bojko, Wołodymyr Zełenski wygrywa w drugiej turze. Ale gdyby spotkał się z Dmytrem Razumkowem, przegrywa. Byłego przewodniczącego parlamentu poprze 30 procent badanych, a 22 procent zagłosuje na rządzącego prezydenta.

Już wcześniej sondaże były dla Zełenskiego alarmujące. Rok 2021 postanowił więc poświęcić na budowę swojego wizerunku. Kreował się na zdecydowanego szefa państwa. Magiczną bronią okazała się prezydencka Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony (odpowiednik polskiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego), która najczęściej była wykorzystywana jako przechowalnia dla polityków zajmujących dotychczas ważne stanowiska. Wszystko zmieniło się w wieczór 2 lutego 2021 roku, kiedy Rada zablokowała pracę propagandowych kanałów Wiktora Medwedczuka, otwartego lobbysty Kremla w Ukrainie. Media formalnie należą do Tarasa Kozaka. Ten deputowany Opozycyjnej Platformy Za Życie uznawany jest za „portfel" prorosyjskiego polityka. Z anten i kablówek zniknęły niemal natychmiast kanały 112, ZiK i NewsOne. Decyzja spotkała się ze zrozumieniem zarówno Unii Europejskiej, jak i Stanów Zjednoczonych, ponieważ telewizje te miały mało wspólnego z wolnością słowa, a zajmowały się propagowaniem kremlowskiej narracji dotyczącej Ukrainy. Mówiono o niej jako państwie upadłym, które niesie odpowiedzialność za wojnę na wschodzie kraju. W siódmym roku wojny trudno było to akceptować. Później sankcje objęły samego Wiktora Medwedczuka i jego żonę Oksanę Marczenko, występującą w „Tańcu z Gwiazdami", oddaną wierną Patriarchatu Moskiewskiego. Polityk został objęty też aresztem domowym. Sąd uznał, że jest podejrzany o zdradę stanu.

Ukraińscy politycy żyją własnym życiem. Wojna w Zagłębiu Donieckim stała się po prostu jednym z jego elementów.

Wołodymyr Zełenski poszedł za ciosem. Pojawiły się sankcje wobec najwyższych rangą kryminalistów, tak zwanych worów w zakonie, oraz przemytników. Rada Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony zaczęła pełnić funkcję ludowego miecza sprawiedliwości działającego na granicy prawa.

eprasa.pl f748ab3a69

W maju bieżącego roku zacznie działać ustawa o oligarchach i to właśnie kontrolowana przez Wołodymyra Zełenskiego Rada ma wyznaczać, kto nim jest, a kto nie. Jeśli ktoś bierze udział w życiu politycznym, ma wpływ na media i monopolistyczną pozycję na jakimś rynku oraz majątek wartości 83 milionów dolarów, musi składać dodatkowe deklaracje finansowe i informować o swoich spotkaniach z przedstawicielami władz, w tym z parlamentarzystami. Choć wydaje się, że ma to małe znaczenie w kraju, gdzie każdy wie, kto jest oligarchą i z kim się spotyka, to i tak tego rodzaju „etykieta" będzie bolesna dla wielkiego biznesu. Pytanie, jak to nowe prawo zostanie wykorzystane przez władze. Czy tylko jako straszak? Czy też rzeczywiste narzędzie, które pozwoli zniszczyć oligarchiczny system panujący od lat w Ukrainie? Na razie wydaje się, że jednak to pierwsze.

A pan kim jest?

Jednym z celów ustawy jest zapewne walka z Rinatem Achmetowem, najbogatszym Ukraińcem, na którym od lat ciąży oskarżenie o próby wywierania wpływu na ukraińskich polityków czy wręcz „kupowanie" ich życzliwości. Po Kijowie krążą legendy o rozmowie Wołodymyra Zełenskiego z donieckim oligarchą:

„Mówię to panu jako prezydent Ukrainy" – miał powiedzieć szef państwa.

„A ja to panu mówię jako Rinat Achmetow" – miał odpowiedzieć biznesmen.

Jego wpływ na kraj jest bowiem ogromny, nie tylko ze względu na posiadane media (holding Ukraina), ale też kontrolę nad sektorem energetycznym. W każdym momencie może podwyższyć stawki, które za energię elektryczną płacą Ukraińcy, czy wręcz przypomnieć im lata dziewięćdziesiąte minionego stulecia, gdy dochodziło do odcinania światła z powodu braku dostaw prądu. A to na pewno odbije się na poparciu dla obecnej władzy. Zełenski wręcz zasugerował pod koniec listopada ubiegłego roku, że otoczenie oligarchy może próbować przygotować zamach stanu.

Na razie Rinat Achmetow nie ucieka się do takich działań, ale w jego kanałach telewizyjnych można usłyszeć krytykę pod adresem Wołodymyra Zełenskiego:

„Doktorze, czy jesteśmy frajerami?" – pyta Dmytro Gordon, znany na terytorium poradzieckim dziennikarz.

„Tak, jesteśmy realnymi frajerami" – odpowiada doktor Jewhen Komarowski, lekarz znany z ekranów telewizji i YouTube'a w całym byłym ZSRR.

Obydwaj w 2019 roku poparli obecnego prezydenta, a teraz nie szczędzą mu słów krytyki, także na antenach Ukrainy. Do popularnych *talk-show* zapraszani są politycy mający sceptyczny stosunek do Wołodymyra Zełenskiego. Na przykład Dmytro Razumkow, były przewodniczący Rady Najwyższej, który był autorem kampanii wyborczej obecnego szefa państwa. Już od pewnego czasu próbował działać samodziel-

eprasa.pl f748ab3a69

nie, ale kwestią, która doprowadziła do jego rozwodu ze Sługą Narodu, była właśnie ustawa o oligarchach. Postanowił wysłać ją do Komisji Weneckiej z prośbą o ekspertyzę. Nie dziwi zatem, że kanały holdingu Rinata Achmetowa często go goszczą.

Co więcej, pierwszym poważnym krokiem w indywidualnym marszu Dmytra Razumkowa był brak poparcia dla sankcji nałożonych na Wiktora Medwedczuka w trakcie posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony. Tłumaczył wówczas, że chce trzymać się litery prawa, która mówi, że sankcji nie można nakładać na obywateli własnego państwa.

Obecnie Dmytro Razumkow dysponuje w Radzie Najwyższej grupą około dwudziestu lojalnych deputowanych, z których większość to politycy partii Sługa Narodu. Oznacza to, że prezydenckie ugrupowanie w ważnych dla siebie głosowaniach musi zabiegać o wsparcie spoza swojego klubu parlamentarnego.

Poroszenko *à la* Tymoszenko

Ubiegły rok rozpoczął się sankcjami nałożonymi na Wiktora Medwedczuka, a zakończył oskarżeniami pod adresem Petra Poroszenki. Jest on podejrzewany o zdradę stanu i wsparcie działalności organizacji terrorystycznych. Miało to następować poprzez kupno węgla z samozwańczych republik. W tej sprawie figuruje też Wiktor Medwedczuk. Niewątpliwie prorosyjski polityk zwiększył swoje wpływy za czasów prezydentury Poroszenki (między innymi znacznie rozbudował swoje media), ale mediatorem w kontaktach z Moskwą stał się po wyraźnej sugestii Angeli Merkel, byłej już kanclerz Niemiec. Sprawa byłego szefa państwa ma zatem odcień polityczny, co przyznała pośrednio prokurator generalna Iryna Wenediktowa, która nie podpisała zarzutów wobec Petra Poroszenki, zrzucając ten przykry obowiązek na swoich zastępców i biorąc akurat tego dnia urlop.

Zełenski daje do zrozumienia, że nie ma zamiaru ulec rosyjskim prowokacjom. Zaznaczał, że „najlepszą obroną byłoby przyjęcie Ukrainy do NATO". Z Kijowa regularnie słychać apel: „Nic o nas bez nas".

Afera może za bardzo przypominać rozprawę polityczną z byłą premier Julią Tymoszenko, która w 2011 roku została skazana na siedem lat więzienia za spowodowanie strat przedsiębiorstwa Naftohaz Ukraina. Nikt nie ma wątpliwości, że podpisane przez nią umowy gazowe były dla Kijowa wysoce niekorzystne, niemniej jednak cała sprawa posiadała wymiar polityczny i prezydent Wiktor Janukowycz musiał się z niej wielokrotnie tłumaczyć. Wątpliwe jest, aby Wołodymyr Zełenski chciał skorzystać z jego doświadczeń.

eprasa.pl f748ab3a69

Należy dodać, że w Ukrainie nadal w pełni nie zreformowano sądownictwa, a działalność organów walczących z korupcją jest torpedowana przez władze, które obawiają się, że utracą nad nimi kontrolę. Mało kto bierze pod uwagę, że kiedyś może się znaleźć w opozycji i być ofiarą ich upolitycznienia.

Na razie ukraińscy politycy żyją własnym życiem. Wojna w Zagłębiu Donieckim stała się po prostu jednym z jego elementów. Nikt nie obawia się już zdrady ze strony Wołodymyra Zełenskiego, tak jak w 2019 roku, kiedy to jakoby miał być gotów na kompromis za wszelką cenę w kontaktach z Władimirem Putinem. Co przy tym istotne: brak jest poważnych różnic w podejściu do potencjalnego rozwiązania konfliktu. Oczywiście poza prorosyjskimi politykami z Opozycyjnej Platformy Za Życie czy Partii Szarija wszyscy opowiadają się za twardym stanowiskiem w rozmowach z Moskwą i wspierają współpracę z Zachodem w zwiększaniu potencjału obronnego Ukrainy. Nie ma też mowy o rezygnacji z okupowanych terytoriów. Być może to jest właśnie kluczem, obok habituacji bodźca, aby zrozumieć, dlaczego to, co w nas wywołuje zaniepokojenie, w Ukrainie przyjmowane jest ze spokojem.

Piotr Pogorzelski jest dziennikarzem portalu Biełsat po Polsku i autorem podcastu *Po prostu Wschód*. Współpracuje z Radiem 357 i TVN24.

eprasa.pl f748ab3a69

Zuchwały oportunista

Krzysztof Nieczypor

Zdaniem prezydenta Zełenskiego Ukraina nie ma czasu na zbyt wyszukane formy dyplomacji i czekanie na pojawienie się odpowiedniej koniunktury międzynarodowej – geopolitycznego okna możliwości dla członkostwa w zachodnich strukturach integracyjnych. Decyzja ze strony Zachodu powinna zapaść tu i teraz.

Prezentowana przez Wołodymyra Zełenskiego na początku jego kariery politycznej niezbyt wyrafinowana wiedza o sprawach międzynarodowych (i polityce w ogóle) pozwala stwierdzić, że nowy prezydent Ukrainy wkraczał na scenę polityczną z „czystą kartą". Jedni dostrzegali w tym niebezpieczeństwo kierowania państwem przez ignoranta, co nieuchronnie miało doprowadzić kraj do katastrofy. Drudzy zaś zwracali uwagę na twórczy potencjał i otwartość nowego przywódcy, co z kolei miało pozwolić na skuteczniejszą realizację ukraińskich interesów na arenie międzynarodowej. Po upłynięciu połowy kadencji wielu z przeciwników byłego aktora zdołało się do niego przekonać, doceniając fakt szybkiego przyswajania zasad funkcjonujących w polityce. Wielu też rozczarowało się przekonaniem ukraińskiego przywódcy o swojej zdolności osiągania celów za sprawą podejmowania arbitralnych decyzji z pominięciem stworzenia koniecznych warunków dla ich osiągnięcia. Obie te opinie są reakcją na przyjęcie bardziej asertywnej i zdecydowanej postawy Zełenskiego w relacjach międzynarodowych. Wynika ona z jednej strony z determinacji ukraińskiego przywódcy do rozwiązania trudnych problemów, z jakimi mierzy się ukraińskie państwo, z drugiej zaś z chęci spełnienia oczekiwań ukraińskiego społeczeństwa, które odgrywają decydującą rolę w kształtowaniu poglądów prezydenta Ukrainy.

Gość ma dość

W grudniu 2018 roku Wołodymyr Zełenski był wyluzowany, uśmiechnięty i pewny siebie. Na takiego przynajmniej się stylizował w pierwszym dużym wywiadzie opublikowanym na tydzień przed ogłoszeniem startu w wyborach na prezydenta Ukrainy. Rozmowa inaugurująca jeszcze niezainaugurowaną kampanię wyborczą aktora i producenta filmowego stanowiła pierwszą publiczną odsłonę jego poglą-

eprasa.pl f748ab3a69

dów na tematy polityczne. Wśród poruszonych kwestii znalazło się pytanie odnośnie do jego stanowiska wobec wstąpienia Ukrainy do Sojuszu Północnoatlantyckiego i Unii Europejskiej. „Nigdy nie idę w gości, jeśli mnie nie zapraszają. Nie lubię czuć się poniżanym, traktowanym jak człowiek drugiej kategorii" – odpowiadał Zełenski, demonstrując swoją zdolność do przyszłej politycznej asertywności, podkreśloną casualowym ubiorem w postaci obcisłego golfu oraz spodni z zawiniętymi nogawkami eksponującymi modne sneakersy.

Dwa lata później, w styczniu 2021 roku prezydent Wołodymyr Zełenski (również ubrany w golf, lecz przykryty już elegancką marynarką doskonale komponującą się z jego zafrasowaniem skrywanym za nerwowym i wymuszonym uśmiechem) udzielił wywiadu redakcji amerykańskiego serwisu Axios. „Ukraina nie tylko werbalnie deklaruje, że chce być równoprawnym członkiem NATO – jest to jeden z najważniejszych punktów naszego bezpieczeństwa. W jaki sposób jeszcze powinniśmy wyrażać swoje dążenie do akcesji, skoro jest ono zapisane w ukraińskiej konstytucji? Dlatego mam bardzo proste pytanie: dlaczego Ukraina nadal nie jest w NATO?" – pytał Zełenski, już nie tylko przekonany o bezdyskusyjnej konieczności wstąpienia Ukrainy do Sojuszu, ale jeszcze dość roszczeniowo oczekując spełnienia tego oczekiwania przez dopiero co wybranego prezydenta USA Joego Bidena. „Ukraina nie może czuć się gościem w Unii Europejskiej. Powinniśmy być »swoimi«. Dawno na to zasłużyliśmy" – przekonywał z kolei ukraiński przywódca na spotkaniu z francuskimi dziennikarzami w kwietniu 2021 roku.

Ta radykalna zmiana – zarówno w wizerunku, jak i w wizji geopolitycznego położenia Ukrainy – dobrze oddaje ewolucję Zełenskiego jako człowieka i polityka. „Stałem się surowszy" – przyznał sam przywódca Ukrainy pytany o to, w jaki sposób zmieniła go wciąż jeszcze dość krótka, lecz nader intensywna kariera polityczna. Prowadzoną przez siebie politykę zagraniczną określił natomiast mianem „zuchwałej". W ten sposób tłumaczył na wrześniowym zjeździe swojej partii przyjęcie bardziej asertywnej, by nie powiedzieć roszczeniowej, postawy wyrażanej domaganiem się od zachodnich partnerów przyznania Ukrainie perspektywy członkowskiej w UE i NATO. Zdaniem prezydenta Zełenskiego Ukraina nie ma czasu na zbyt wyszukane formy dyplomacji i czekanie na pojawienie się odpowiedniej koniunktury międzynarodowej – geopolitycznego okna możliwości dla członkostwa w zachodnich strukturach integracyjnych. Decyzja ze strony Zachodu powinna zapaść tu i teraz.

Zełenski w połowie drogi

Ktoś jednak mógłby powiedzieć: stanowczość i zuchwałość to jedno, ale skuteczność to drugie. Ale o dziwo, ta druga cecha wcale nie jest pozbawiona pewnych

eprasa.pl f748ab3a69

przesłanek. Gdyby bowiem próbować rozliczyć prezydenta Ukrainy z realizacji jego obietnic wyborczych, to polityka międzynarodowa byłaby tym obszarem jego aktywności, w którym należałoby ogłosić bezapelacyjny i spektakularny wręcz sukces. Zełenski znajduje się w wyjątkowo elitarnym gronie polityków, którzy całkowicie wypełnili cele, do których realizacji się zobowiązali w czasie kampanii wyborczej. Ale od razu trzeba też przyznać, że istotnym ułatwieniem uzyskania tego statusu był nadzwyczaj ogólnikowy program wyborczy byłego aktora. W programie tym znajdowały się tylko dwie wzmianki, które można zakwalifikować jako założenia polityki zewnętrznej: dążenie do podpisania „umowy o otwartym niebie" i realizacja bliżej niesprecyzowanego „ruchu Ukrainy do NATO". Pierwszą obietnicę udało się zrealizować jesienią ubiegłego roku za sprawą podpisania umowy o wspólnej przestrzeni powietrznej z Unią Europejską. Za „ruch" w stronę NATO należy uznać podpisanie przez prezydenta w 2021 roku Strategii Bezpieczeństwa Narodowego i Strategii Polityki Zagranicznej, w których to dokumentach za cel uznano dążenie do członkostwa w Sojuszu Północnoatlantyckim. Ruch co prawda biurokratyczny, ale jest.

„Ukraina nie może czuć się gościem w Unii Europejskiej. Powinniśmy być »swoimi«. Dawno na to zasłużyliśmy" – uważa prezydent Zełenski.

Znacznie więcej problemów wzbudza rozliczenie Zełenskiego nie z zapisanych przez doradców i spin doktorów oficjalnych dokumentów programowych, lecz jego osobistych wypowiedzi. W tych bowiem nie przedstawił żadnej spójnej wizji swojego zaangażowania w politykę zagraniczną, zaś z nielicznych wystąpień publicznych i udzielonych wywiadów wyłaniał się obraz osoby o dość powierzchownej wiedzy na temat mechanizmów rządzących polityką międzynarodową. Co więcej, z wypowiedzi byłego aktora przebijał nie tylko brak pomysłu na rozwiązanie głównych dylematów polityki zagranicznej, jak na przykład wyboru drogi cywilizacyjnej Ukrainy, ale niejednokrotnie jakiejkolwiek opinii na ten temat. Często cechowała je wieloznaczność i ogólnikowość, a w niektórych przypadkach rozbrajająca wręcz naiwność. Przykład może stanowić odpowiedź na pytanie o pomysły na rozwiązanie konfliktu na wschodzie kraju. Zełenski wyraził w niej przekonanie o możliwości przeprowadzenia bezpośrednich rozmów z Władimirem Putinem, w wyniku których obie strony miałyby wymienić się swoimi żądaniami, a następnie „spotkać w połowie drogi".

Ta początkowo naiwna postawa Zełenskiego była w rzeczywistości odzwierciedleniem przekonań ukraińskiego społeczeństwa. Pod koniec 2018 roku, a zatem tuż przed rozpoczęciem prezydenckiej kampanii wyborczej, większość Ukraińców uznawała wojnę na wschodzie Ukrainy za najbardziej pilny problem do rozwiąza-

eprasa.pl f748ab3a69

nia. Odpowiedź tę wskazało 55 procent respondentów, plasując ją między innymi przed problemami niskiego wynagrodzenia, bezrobocia czy korupcji. Nic dziwnego więc, że Zełenski, który wedle relacji byłego szefa jego biura prezydenckiego pilnie i uważnie śledzi nastroje oraz opinie społeczne, uczynił tę sprawę głównym motywem kampanii wyborczej. Jednocześnie rezultaty badań sondażowych wskazywały, że prawie połowa Ukraińców postrzega Rosjan pozytywnie lub bardzo pozytywnie (48 procent wobec 32 procent odnoszących się negatywnie lub bardzo negatywnie). Skoro Ukraińcy oczekiwali jak najszybszego zakończenia konfliktu i jednocześnie w większości z sympatią odnosili się do swojego wroga, to trudno nie wysnuć z tego wniosku, że w tej sytuacji jedynym rozwiązaniem jest… po prostu przestać strzelać.

Kontrola społeczna

Po zwycięstwie w wyborach Zełenski próbował jak najszybciej spełnić te społeczne oczekiwania. Spieszył się tak bardzo, że sposoby, jakimi zamierzał to osiągnąć, wzbudziły zaniepokojenie aktywnej i patriotycznej części ukraińskiego społeczeństwa. Zamiary Zełenskiego rozwiązania konfliktu za sprawą ustępstw na rzecz Rosji zostały poddane ostrej krytyce społecznej. Tak było, gdy władze w Kijowie zgodziły się na powołanie Rady Konsultacyjnej ds. Donbasu z udziałem przedstawicieli republik separatystycznych, co doprowadziłoby do ich legitymizacji i upodmiotowienia. Dopiero pod naciskiem protestów Zełenski i jego ekipa wycofali się z tego pomysłu. Kolejne manifestacje pod budynkiem administracji prezydenta sprawiły, że zrezygnował on także z implementacji do ukraińskiego prawodawstwa „formuły Steinmeiera", która umożliwiałaby przeprowadzenie wyborów w Donbasie bez uprzedniego przekazania kontroli nad tym obszarem władzom w Kijowie. W wyborze odpowiedniego i społecznie akceptowanego sposobu rozwiązania konfliktu nie pomagały rezultaty badań opinii publicznych. Zaledwie niewielka część ukraińskiego społeczeństwa opowiadała się za radykalnymi rozwiązaniami: 14,4 procent wskazywało, że konflikt należy zakończyć zbrojnym przejęciem okupowanych terytoriów, a 15,8 procent zgadzało się, że za cenę pokoju należy pójść na wszystkie kompromisy. Zdecydowana większość (58,5 procent) opowiadała się natomiast za pójściem na „pewien" kompromis na rzecz zakończenia wojny. Na jaki kompromis? To właśnie musiał Zełenski wybadać już samodzielnie.

Społeczna kontrola poczynań Zełenskiego w sprawie Donbasu okazywała się kluczowa, by uchronić Ukrainę przed pułapkami przygotowanymi przez rosyjskich negocjatorów. Tym bardziej, że przystępując do rozmów, początkujący w polityce ukraiński prezydent naprawdę wierzył, że wojnę na wschodzie Ukrainy da się rozwiązać zwyczajną pogawędką z Putinem. Wynika to w dużej mierze z wyniesionego przez

eprasa.pl f748ab3a69

byłego producenta filmowego doświadczenia w show-biznesie, gdzie umowy zawiązuje się podczas bezpośrednich spotkań z kontrahentami. Ustala się pewne ustępstwa, a następnie wspólnie umawia na realizację uzgodnień. W tym względzie spotkał Zełenskiego duży zawód, gdyż po drugiej stronie stołu negocjacyjnego spotkał partnera, który politykę opiera na przechytrzeniu przeciwnika, oszukaniu go i zmanipulowaniu. Zrozumienie tych obiektywnych warunków uniemożliwiających porozumienie zajęło Zełenskiemu kilkanaście miesięcy. Jak się wydaje, punktem granicznym było szantażowanie Ukrainy przerwaniem uzgodnionego w lipcu 2020 roku zawieszenia broni i wstrzymywaniem procesu wymiany jeńców w zamian za ustępstwa wobec Rosji. Szafowanie życiem ukraińskich żołnierzy na froncie i w rosyjskich więzieniach stało się prawdopodobnie tym, co ostatecznie przekonało ukraińskiego przywódcę co do rzeczywistego charakteru i intencji gospodarza Kremla.

Również Rosjanie zdali sobie sprawę, z kim mają do czynienia. O ile początkowo rosyjskie władze wiązały z Zełenskim duże nadzieje, to z czasem przerodziły się one w rozczarowanie, a ostatecznie w jawną wrogość. Kreml oczekiwał, że Zełenski będzie słabym, pozbawionym kompetencji prezydentem, którego łatwo zmusić do realizacji celów Moskwy. Okazało się jednak, że współpraca z byłym komikiem nie jest wcale łatwa i radosna. Zełenski nie spełnił oczekiwań Rosji, ponieważ całkowicie skoncentrował się na zaspokajaniu pragnień własnych obywateli. Rosyjskie elity polityczne nie doceniły determinacji i wpływu społeczeństwa na procesy polityczne, tak jak to już wiele razy miało miejsce we współczesnej historii Ukrainy. W świadomości rosyjskich władz czynnik społeczny nie odgrywa istotnej roli w kształtowaniu procesów politycznych, a jego działanie jest interpretowane jako operacyjnie inspirowane przez wraże siły z Zachodu. Obecnie narracja kreowana wokół ukraińskiego lidera przez rosyjskie media niczym nie różni się od tej z czasów prezydentury Petra Poroszenki. Zełenski stał się godnym następcą swojego poprzednika jako „prezydent wojny" wysługujący się interesom zachodnich mocarstw.

Donbaski węzeł gordyjski

Ktoś mógłby zauważyć, że kierowanie się zdaniem opinii publicznej w kreowaniu polityki jest w pewnym sensie uosobieniem demokracji: poglądy większości stają się priorytetowym wyznacznikiem podejmowania decyzji przez władze. Pytaniem jednak pozostaje, czy to, czego chce większość, jest zawsze dobre i korzystne dla kraju? Sprawa tym bardziej się komplikuje, gdy opinia społeczna nie jest jednomyślna w swoich poglądach, tak jak w przypadku sposobu rozwiązania konfliktu w Donbasie. Według sondażu przeprowadzonego w październiku 2020 roku rozwiązanie konfliktu zgodnie z porozumieniami mińskimi popiera 38,8 procent oby-

eprasa.pl f748ab3a69

wateli, a sprzeciwia się temu porównywalna liczba ankietowanych – 43,9 procent. Jednocześnie zakończenie wojny na wschodzie kraju to najważniejszy czynnik przy ocenie działalności prezydenta (uważa tak 46 procent respondentów). Tym samym ukraiński przywódca, chcąc zachować wysokie poparcie i sprostać oczekiwaniom społecznym, powinien kontynuować prace na rzecz realizacji porozumień mińskich i jednocześnie dążyć do ich zerwania. Jedynym rozwiązaniem w tej sytuacji jest więc realizować mińskie porozumienia, nie realizując ich, czyli imitować dążenie do rozwiązania konfliktu na ich podstawie.

Trudną sytuację prezydenta pogłębia fakt, że Moskwa traktuje Donbas jako przyszłe narzędzie wpływu w relacjach z Ukrainą. Kreml oczekuje nadania wschodnim regionom autonomii w ramach ukraińskiego państwa, jednocześnie dążąc do całkowitego odcięcia tego regionu od reszty kraju. Mieszkańcy okupowanych terytoriów znajdują się w całkowitej izolacji – kulturalnej, informacyjnej i politycznej – od pozostałej części Ukrainy. Rabunkowa gospodarka separatystycznych władz powoduje, że okupowane części Donbasu, jeśli powrócą do Ukrainy, staną się ogromnym problemem społecznym i gospodarczym dla tego kraju. Zdają sobie z tego sprawę ukraińskie władze, które w projekcie ustawy o reintegracji Donbasu przewidują, że przejmowanie kontroli nad tym terytorium, jego odbudowa i zapewnienie porządku prawnego zajmie co najmniej ćwierć wieku. Jeśli były prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew w swoim artykule opublikowanym we wrześniu 2021 roku zadeklarował, że Rosjanie będą cierpliwie czekać na korzystną dla siebie zmianę ekipy rządzącej w Ukrainie, to Ukraińcy określili swoją cierpliwość przejęcia kontroli nad Donbasem w oficjalnym dokumencie prawnym na dwadzieścia pięć lat. Odwieczne pytanie „kto kogo?" stało się aktualne w relacjach ukraińsko-rosyjskich jak nigdy przedtem i nigdzie indziej.

Gdyby próbować rozliczyć prezydenta Ukrainy z realizacji obietnic wyborczych, to polityka międzynarodowa jest obszarem jego aktywności, w którym należałoby ogłosić spektakularny wręcz sukces.

Kompleks niecierpliwości

Cierpliwości brakuje natomiast Zełenskiemu w relacjach z Unią Europejską i USA. Przez ostatnie kilka miesięcy, przy okazji kolejnych spotkań i szczytów z zachodnimi partnerami wręcz obcesowo domagał się on nadania perspektywy członkostwa w Unii Europejskiej i NATO. Spotkania z prezydentem USA, przewodniczącą Komisji Europejskiej, przewodniczącym Rady Europejskiej, sekretarzem general-

eprasa.pl f748ab3a69

nym NATO, szczyt Unii Europejskiej i Ukrainy, szczyt NATO, szczyt Partnerstwa Wschodniego – przy okazji każdego z powyższych wydarzeń Zełenski wzywał publicznie do jak najszybszego określenia warunków i daty przystąpienia jego państwa do zachodnich organizacji integracyjnych. Ten nagły NATO- i euroentuzjazm to wynik determinacji, by zdążyć przed rosnącymi oczekiwaniami społeczeństwa, które wymusza na każdym polityku myślącym o fotelu prezydenta uwzględnienie silnego poparcia dla proeuropejskiej drogi Ukrainy. Zgodnie z ostatnimi badaniami opinii publicznej 75,7 procent Ukraińców popiera członkostwo w Unii, a 67,8 procent w NATO. Ten pośpiech stanie się bardziej zrozumiały, jeśli prawdą jest, że Zełenski poważnie rozważa ubieganie się o reelekcję, o czym od pewnego czasu spekuluje się w Kijowie.

Narracja rosyjskich mediów kreowana wokół ukraińskiego lidera niczym nie różni się od tej z czasów prezydentury Poroszenki. Zełenski stał się godnym następcą swojego poprzednika jako „prezydent wojny" wysługujący się interesom zachodnich mocarstw.

Ta „zuchwała" postawa ma też inny, poza deklaratywną wolą akcesji, wymiar. Ukraiński prezydent stara się w ten sposób przekonywać o swojej międzynarodowej aktywności oraz podkreślać, że wina za faktyczny brak postępów na drodze do integracji euroatlantyckiej leży nie po jego stronie, lecz Zachodu. Ta strategia komunikacyjna przemilcza kwestie związane z niezadowalającym tempem wprowadzania reform, przede wszystkim tych dotyczących sądownictwa, resortów siłowych i walki z korupcją. Fakt ten, w połączeniu z brakiem oczekiwanego przez Kijów przyznania perspektywy członkostwa, będzie skutkować coraz silniejszą krytyką Zachodu i rosnącym rozczarowaniem współpracą z nim wśród ukraińskich elit politycznych i społeczeństwa. Tę tendencję odzwierciedlają już badania opinii publicznej: o ile w 2015 roku trzecia część Ukraińców wskazywała, że oczekuje od Unii Europejskiej przede wszystkim wywierania presji na władze w Kijowie celem skuteczniejszego wprowadzania reform, o tyle pod koniec 2020 roku głównym oczekiwaniem wobec Brukseli stało się przyciąganie inwestycji i stworzenie nowych miejsc pracy w Ukrainie. To też tłumaczy zdeterminowanie ukraińskiej dyplomacji do renegocjowania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską i zmianę retoryki wyrażonej dążeniem do „równoprawnych relacji".

Warto w tym kontekście przypomnieć, że podobne postulaty formułowane były pod koniec pierwszej dekady XXI wieku. Podczas szczytu NATO w Bukareszcie w 2008 roku ukraińskie władze oczekiwały otrzymania zaproszenia do Sojuszu. Szczyt zakończył się jednak niemal tę samą konkluzją jak ubiegłoroczny, na którym stwierdzono, że drzwi do NATO są otwarte, ale plan dla członkostwa jeszcze

eprasa.pl f748ab3a69

nie nastał. Utworzenie Partnerstwa Wschodniego w 2009 roku było przyjęte przez Kijów jako umiarkowanie atrakcyjna namiastka członkostwa we Wspólnocie. Podobnie traktowane jest obecnie przekonywanie ukraińskich polityków przez unijnych urzędników, że obowiązująca umowa stowarzyszeniowa Unii z Ukrainą jest najbardziej ambitną i rozbudowaną w historii relacji Wspólnoty z państwami trzecimi. Tak jak ponad dziesięć lat temu, tak i teraz ani oferta Zachodu wobec Ukrainy, ani postępy Ukrainy we wdrażaniu reform nie satysfakcjonują żadnej ze stron. W 2010 roku na fali przekonania, że na Zachodzie „nas nie żdut" Ukraińcy wybrali w wyborach prezydenckich Wiktora Janukowycza. To, co wydarzyło się później, jest już historią, która niestety lubi się czasem powtarzać.

Krzysztof Nieczypor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie.

eprasa.pl f748ab3a69

Jak nasi sąsiedzi widzą świat?
Ankieta

Kacper Wańczyk, *Czym interesują się Rosjanie?*
Olga Rusina, *Opinie, które nie zależą od pieniędzy*
Kamil Kłysiński, *Światopogląd(y) Białorusinów. Dwa społeczeństwa w jednym państwie*

Czym interesują się Rosjanie?

Kacper Wańczyk

Ktokolwiek śledzi doniesienia ze świata, z pewnością wie, że Władimir Putin uwielbia wędkarstwo i galop z nagim torsem. A czym interesują się zwykli obywatele i obywatelki Rosji? Co czytają i wiedzą o świecie?

Według badań Fundacji Opinii Publicznej około 38 procent obywateli Rosji twierdzi, że interesują ich sprawy międzynarodowe.

– Nie uwierzę, że aż tylu z nas interesuje się polityką zagraniczną – mówi Anton Barbaszyn, dyrektor redakcji portalu Riddle. – Ludzie są zmęczeni słuchaniem o polityce zagranicznej, o tym, co dzieje się w USA czy w Ukrainie.

I rzeczywiście – ostatnie ankiety niezależnego ośrodka badania opinii publicznej Centrum Lewady pokazują, że połowy społeczeństwa albo w ogóle nie zajmuje polityka, albo śledzi ją w niewielkim stopniu. To najniższy poziom zainteresowania tą problematyką od października 1990 roku. Stan ten potwierdza także badanie firmy Segmento, którego wyniki w 2019 roku opublikowała RIA Novosti. Badanie opierało się na analizie ponad dwustu tysięcy indywidualnych „wejść" na strony internetowe. I pokazało, że Rosjan przede wszystkim zajmują problemy rodziny, relacji międzyludzkich, piłka nożna, wakacje, muzyka pop, gotowanie oraz kształcenie za granicą.

eprasa.pl f748ab3a69

Rodzina i fryzjer

– Początkowo internet był w Rosji sferą wolności, jednak wraz z jego upowszechnieniem i rosnącym zainteresowaniem państwa siecią, ta wolność się zmniejszała – mówi redaktor naczelny Riddle. – Ponadto ludzie odczuwają, że mają coraz mniejszy wpływ na to, co się dzieje.

Według badania Segmento kategoria „Rodzina i relacje międzyludzkie" jest najczęściej wybierana przez użytkowników sieci. Rosyjskie społeczeństwo wyszukuje informacje o opiece zdrowotnej w czasie ciąży, nieco rzadziej dotyczące sposobów oficjalnej rejestracji małżeństwa. Tematem równie interesującym dla użytkowników Runetu (czyli rosyjskiego segmentu internetu) było poszukiwanie rozwiązań problemów w życiu osobistym.

Kiedy obywatele Rosji szukają w sieci informacji na temat zdrowia, koncentrują się przede wszystkim na opisach chorób. Dane szpitali czy przychodni wyszukiwane były o jedenaście razy rzadziej niż opisy dolegliwości. Zdaniem autorów raportu Segmento świadczy to prawdopodobnie o tym, że internauci przed wizytą u specjalisty próbują sami dociec, co im dolega.

Pokoleniowa zmiana w Rosji wiąże się z przeniesieniem zainteresowania z Niemiec na Japonię i wydaje się znacząca z kulturowego punktu widzenia.

Rosyjski koncern internetowy Yandex (właściciel najpopularniejszej rosyjskiej przeglądarki internetowej) przeprowadził analogiczne badanie na początku izolacji spowodowanej koronawirusem w 2020 roku). Specjaliści przeanalizowali najczęściej „wrzucane" do sieci terminy. Okazało się, że w największej mierze ludzi nurtowało, kiedy można będzie pójść do fryzjera, zrobić zakupy w sklepach odzieżowych oraz wyjechać – czy to na daczę, czy za granicę. To było chyba charakterystyczne dla wszystkich społeczeństw.

Aby poprawić sobie nastrój w czasie izolacji, Rosjanie wyszukiwali zdjęcia: kobiet, kwiatów, kotków oraz tortów. Inni planowali remonty w mieszkaniach czy na działkach (poszerzenie kuchni, budowa szklarni, przebudowa garażu).

Współcześni Rosjanie nie śledzą więc z zapartym tchem przebiegu bieżącego Zgromadzenia Generalnego ONZ czy nawet konfliktu w Górskim Karabachu (w który ich kraj pośrednio jest zaangażowany). Bardziej interesuje ich własna rodzina, życie uczuciowe, zdrowie, działka i fryzjer.

Rosyjskie społeczeństwo pasjonuje się światem zewnętrznym na poziomie niepolitycznym. W 2019 roku fundacja Opinia Publiczna zapytała obywateli Rosji, dokąd chcieliby pojechać, gdyby nie musieli za to zapłacić. Większość pytanych chciałaby odwiedzić Włochy, Francję i Niemcy.

eprasa.pl f748ab3a69

Ciekawi, że analitycy fundacji podkreślają różnice w poszczególnych grupach wiekowych. Starsi respondenci wyrażali zainteresowanie Niemcami, młodsi i dobrze wykształceni najchętniej wyjechaliby do Japonii.

Aby poprawić nastrój w czasie izolacji, Rosjanie wyszukiwali zdjęcia: kobiet, kwiatów, kotków oraz tortów.

– Cóż – mówi Anton Barbaszyn. – Myślę, że jest to związane z fascynacją japońską kulturą popularną, może też kinem i filmami animowanymi. Jak podkreśla analityk, władze rosyjskie próbowały zaszczepić młodszym Rosjanom zainteresowanie Chinami, co miało pomóc w budowaniu lepszych relacji z Państwem Środka. Zamiary te jednak się nie powiodły.

Badania Japan Foundation, japońskiej organizacji promującej język i kulturę za granicą, potwierdzają wzrost zainteresowania Krajem Kwitnącej Wiśni. Według jej danych między 2015 a 2018 rokiem liczba uczących się japońskiego w Rosji wzrosła o 30 procent, osiągając poziom 11,7 tysiąca osób. W 2020 roku było to już 12 tysięcy. Oczywiście biorąc pod uwagę liczbę obywateli Rosji, może wydać się to niewiele. Pamiętajmy jednak, że japoński to język skomplikowany, a badanie Japan Foundation dotyczyło jedynie osób korzystających z pomocy licencjonowanych nauczycieli. Pominięto szkoły prywatne, korepetytorów czy zajęcia online. W Rosji zainteresowanie pobieraniem lekcji japońskiego jest największe w całym regionie. Na drugim miejscu plasuje się Polska – 4,5 tysiąca osób pobierających lekcje w 2018 roku.

Zainteresowanie anime (czyli filmami animowanymi) wśród najmłodszych Rosjan musi być wysokie, skoro także rosyjskie władze zwróciły uwagę na ten trend. W marcu 2021 roku przewodnicząca Komitetu ds. Szkolnictwa Sankt Petersburga Natalia Putilkowska stwierdziła, że młodzież publikującą w mediach społecznościowych kadry z „anime anime" powinno się przymusowo kierować do psychologa. Zdaniem urzędniczki oglądanie tego typu produkcji leży u przyczyn samobójstw nastolatków.

Pokoleniowa zmiana w Rosji wiąże się z przeniesieniem zainteresowania z Niemiec na Japonię i wydaje się znacząca z kulturowego punktu widzenia. Jeśli jednak popatrzeć na nią w kontekście historycznym, może się wydać mniej zaskakująca. Niemcy i Japonia to sojusznicy w czasie II wojny światowej. Ten okres historyczny zawsze Rosjan fascynował.

Raczej psychologia niż Płatonow

Spójrzmy, jak współcześni Rosjanie zapatrują się na lektury. Według Światowego Indeksu Kultury (World Culture Score Index) książki są dla nich bardzo ważne. Stanowią siódmą na świecie czytającą nację.

eprasa.pl f748ab3a69

Ciekawe zjawisko ujawniły badania Ogólnorosyjskiego Centrum Badania Opinii Publicznej z 2020 roku. Otóż okazuje się, że więcej Rosjan kupuje książki, niż je czyta: 88 procent respondentów zadeklarowało się jako „kupujący", ale jedynie 53 procent jako „czytelnicy". Prawdopodobnie wynika to z faktu, że książka przez trzy czwarte ankietowanych uważana jest za dobry prezent. Raport wskazuje, że statystyczny Rosjanin czyta rocznie około dwudziestu książek. Częściej po lektury sięgają emeryci lub osoby niekorzystające z internetu.

Szef rosyjskiego oddziału serwisu książek audio Storytel w rozmowie z serwisem internetowym Tyńkoff Żurnał wyznał, że w ostatnich latach znacząco rośnie sprzedaż literatury faktu, co stanowi część światowego trendu. Badania Centrum wykazały, że w 2020 roku literatura faktu była na drugim miejscu wśród sprzedawanych książek papierowych. Wyprzedzały ją tylko podręczniki.

O tej tendencji wspomina także Barbaszyn:

– Co ciekawe, publikowane i sprzedawane są książki pisarzy niezależnych, którzy nie pojawiają się w telewizji. Na przykład ostatnio Andriej Sołdatow[1] wydał książkę o prześladowaniach i losach radzieckiej i rosyjskiej emigracji politycznej. Bez problemu można ją kupić w księgarniach.

Jednak według rankingu internetowego sklepu Ozon.ru w ciągu ostatniej dekady Rosjanie najczęściej kupowali nie książki Sołdatowa czy reportaże śledcze Jeleny Kostiuczenko, dziennikarki „Nowoj Gaziety". Najpopularniejsza była pozycja *Chcę i będę*, autorstwa Michaiła Łabkowskiego, psychologa. Jak wskazuje tytuł, to klasyczna książka z podgatunku „samopomocy psychologicznej". Pozycja ta, jak pisze wydawca, mówi „o tym, że człowiek może i ma prawo być szczęśliwym i robić tylko to, co chce. [To] książka o zrozumieniu siebie, odnalezieniu harmonii i nauczeniu się radości życia".

Według badań Fundacji Opinii Publicznej około 38 procent obywateli Rosji twierdzi, że interesują ich sprawy międzynarodowe. Ale analitycy są wobec tych danych sceptyczni.

Na drugim miejscu listy Ozon.ru uplasowała się publikacja *Siedem nawyków skutecznego działania* Amerykanina Stephena R. Coveya, gatunkowo zbliżona do dzieła Łabkowskiego. Na trzecim miejscu w rankingu znalazła się *Tajemnicza twierdza. Przywiązanie w życiu dziecka* autorstwa psycholożki Ludmiły Pietranowskiej. Tekst poświęcony jest – jak można wnosić z tytułu – odpowiedniemu wychowaniu najmłodszych.

[1] Redaktor naczelny portalu Agentura.ru, specjalizującego się w problematyce służb specjalnych.

eprasa.pl f748ab3a69

Jeśli zaś chodzi o beletrystykę, rosyjscy wydawcy preferują autorów, którzy zdobyli już renomę na rynku. W 2019 roku wydano najwięcej książek Stephena Kinga. Drugie i trzecie miejsce zajęły autorki popularnych powieści detektywistycznych – Daria Doncowa i Aleksandra Marinina.

Na szczytach zainteresowań czytelniczych Rosjan nie ma więc Lwa Tołstoja czy Andrieja Płatonowa.

Z tego krótkiego przeglądu współczesnych zainteresowań czytelniczych rosyjskiego społeczeństwa wyłania się dwojaki obraz stanu psychicznego. Z jednej strony bardzo indywidualne, skierowane do wewnątrz podejście do rzeczywistości. Nie mamy kontroli nad rzeczywistością, trzeba więc zadbać o siebie i swoją rodzinę. Zbudować ładny domek na działce, gdzie będzie można pojechać w weekend i odpocząć.

Z drugiej – zainteresowanie całkowicie odmienną, tajemniczą kulturą. Nie jest może ona tak bardzo odległa geograficznie – duży popyt na naukę japońskiego odnotowano na rosyjskim Dalekim Wschodzie – ale nie ma zbyt wielu cech wspólnych z rosyjską codziennością.

Zdaje się, że obie te postawy mają charakter eskapistyczny.

Kacper Wańczyk jest byłym polskim dyplomatą. Pracował m.in. jako naczelnik Wydziału Ukrainy i Mołdawii w Departamencie Wschodnim MSZ, w Ambasadach RP w Mińsku i Kabulu, w misji EU EUBAM Libya. Wizytujący badacz grupy analitycznej „Białoruś w regionie" (Studium Europy Wschodniej UW).

eprasa.pl f748ab3a69

Opinie, które nie zależą od pieniędzy

Olga Rusina

Rozróżnienie informacji prawdziwej od fake newsa to umiejętność, która powinna być podstawowym elementem edukacji już od przedszkola. Zwłaszcza w Ukrainie, która szczególnie narażona jest na wojnę dezinformacyjną ze strony Rosji.

Podobnie jak młodzi ludzie na całym świecie, ich ukraińscy rówieśnicy czerpią wiadomości o wydarzeniach z kraju i świata przede wszystkim z internetu. Młodsi nastolatkowie czasami jeszcze oglądają telewizję, ale raczej tylko dlatego, że robią to ich rodzice lub dziadkowie; starsi co najwyżej czytają wiadomości na stronach internetowych określonych programów telewizyjnych. O prasie lub radiu nie wspominają i dodają, że nie uważają stacji telewizyjnych za wiarygodne, ponieważ mają one właścicieli, którzy mogą wpływać na nadawane treści. Często też wymieniają komunikator Telegram, który ma publiczne kanały pozwalające dostarczać wiadomości nieokreślonej liczbie odbiorców – chociaż nie zawsze wiadomo, kim jest osoba zamieszczająca tego typu publikacje lub z kim jest związana. Większość nastolatków korzysta też z Instagrama, na którym obserwują między innymi oficjalne strony mediów. Instagram i Telegram jako dwa podstawowe źródła informacji dla młodzieży pojawiają się też w badaniu fundacji Thomson Reuters z 2021 roku.

***

Sofija, 17 lat, studiuje w Akademii Kijowsko-Mohylańskiej w Kijowie, pochodzi z Kijowa

Najczęściej nowe informacje dostaję od przyjaciół. Jeśli wyszukuję coś samodzielnie, to wśród kanałów na Telegramie: Perepichka News, Kyiv Operative [publikują informacje lokalne dotyczące Kijowa – przyp. red.]. Wiadomości na określone tematy szukam na profilach w sieciach społecznościowych: Marsz Kobiet [strona inicjatywy feministycznej], Belgayinsta, Kijów/Charków Pride [tematy dotyczące wspólnoty LGBTQ+ – przyp. red.]. Ufam też niektórym portalom z wiadomościami lub oficjal-

eprasa.pl f748ab3a69

nym stronom stacji telewizyjnych, na przykład TSN [program jednej z największych ukraińskich stacji 1+1, powiązanej z oligarchą Ihorem Kołomojskim – przyp. red.].

Sniżana, 17 lat, studiuje na Uniwersytecie Tarasa Szewczenki w Kijowie, pochodzi z obwodu winnickiego

Z internetu dowiaduję się prawie wszystkiego, ponieważ to dzisiaj najwygodniejszy sposób wyszukiwania informacji, przy czym bardziej ufam ukraińskim portalom internetowym i mniej – sieciom społecznościowym, zwłaszcza wiadomościom na Facebooku. Jedynym wydaniem internetowym, które czytam w mediach społecznościowych, jest profil Swidomi [po polsku Świadomi – profil z wiadomościami z Ukrainy i świata. Skierowany jest wyłącznie do młodzieży, wykorzystuje media społecznościowe, nie ma osobnej strony internetowej, założony został przez studentkę dziennikarstwa ze Lwowa Anastasję Bakuliną – przyp. red.]. Nie umiem wyjaśnić dlaczego, ale im ufam. W domu zdarza mi się usłyszeć wiadomości ze świata w telewizji – jeśli coś mnie zainteresuje, wyszukuję to później w sieci. Kiedyś bardziej ufałam stacjom telewizyjnym, teraz jednak czytam tylko stronę TSN, w przypadku wiadomości ze świata – portale angielskojęzyczne, ponieważ w trakcie tłumaczenia ważne szczegóły mogą się zgubić albo zostać zmienione.

Podsumowując, mogę powiedzieć, że bardziej ufam małym stronom internetowym niż gigantom medialnym mającym właścicieli, którzy mogą wpływać na publikowane treści – Sniżana, 17 lat, studentka.

Podsumowując, mogę powiedzieć, że bardziej ufam małym stronom internetowym niż gigantom medialnym mającym właścicieli, którzy mogą wpływać na publikowane treści. Od czasu do czasu czytam wiadomości w kanałach na Telegramie, chociaż je również należy sprawdzać – ufam im tylko wtedy, gdy coś już słyszałam wcześniej na temat opisywanych wydarzeń.

Sofija, 18 lat, studiuje w Akademii Drukarstwa we Lwowie, pochodzi z obwodu czernihowskiego

Większość potrzebnych mi informacji wyszukuję w internecie, ponieważ niezależnych stacji telewizyjnych jest bardzo mało. Obserwuję strony mediów na Instagramie – są to BBC, Swidomi, Radio Wolna Europa. Na YouTubie oglądam filmiki blogera Serhija Sternenki, dziennikarki Janiny Sokołowej, showmana Serhija Prytuły oraz kanał Ragulivna [publikuje filmiki o aktualnych wydarzeniach, politykach czy osobach ze świata show-biznesu – przyp. red.]. Ufam ludziom, których opinia nie zależy od pieniędzy.

eprasa.pl f748ab3a69

Marta, 13 lat, Iwano-Frankiwsk

Dostaję informacje najczęściej z telewizji, są to stacje Ukraina [powiązana z oligarchą Rinatem Achmetowem – przyp. red.] lub 5. Kanał [powiązany z byłym prezydentem Petrem Poroszenką – przyp. red.].

Mama Marty mówi, że jest to wpływ dziadków, którzy właśnie te stacje telewizyjne oglądają. Na razie Marcie trudno jest powiedzieć, którym źródłom informacji ufa i dlaczego – przeważnie są to jednak źródła, które jej dziadkowie uważają za wiarygodne.

Dana, 16 lat, obwód wołyński

Wiadomości mnie niezbyt interesują – tylko te dotyczące szkolnictwa i oświaty, ponieważ mama jest nauczycielką. Korzystam ze strony Ministerstwa Nauki i Oświaty. Innych wiadomości dowiaduję się z portali lokalnych.

Denys, 18 lat, obwód doniecki

Z internetu dowiaduję się prawie wszystkiego, najczęściej z mediów internetowych. Mają – moim zdaniem – wielki walor, ponieważ dają mi możliwość sprawdzenia wielu źródeł informacji oraz wyrażania własnej opinii. Żeby się dowiedzieć o wydarzeniach w Ukrainie, czytam media ukraińskie: Radio Wolna Europa, stronę stacji telewizyjnej ICTV [związana z oligarchą Wiktorem Pinczukiem – przyp. red.], ponieważ pojawia się tam wielu ekspertów, którym ufam, na przykład Pawło Kazarin; czasami oglądam wiadomości TSN, stację Priamyj [powiązana z byłym prezydentem Petrem Poroszenką – przyp. red.] lub Espreso TV [stacja powiązana z Iwanem Żewago – synem byłego posła, oligarchy Kostiantyna Żewagi – przyp. red.]. Wiadomości ze świata dowiaduję się z BBC News.

Staram się nie ufać stacjom telewizyjnym – trzeba mieć świadomość tego, do kogo należą – Denys, 18 lat.

Trudno mi odpowiedzieć na pytanie odnośnie do wiarygodności mediów. Staram się nie ufać stacjom telewizyjnym – trzeba mieć świadomość tego, do kogo należą. Ufam raczej ekspertom, są to wspomniani Witalij Portnikow, Pawło Kazarin oraz Janina Sokołowa [wszyscy troje to raczej dziennikarze i publicyści niż eksperci – przyp. red.].

***

Maksym Skubenko z projektu fact-checkingowego Vox Check mówi, że jedną z głównych cech komunikacji wśród młodzieży jest to, że zaufają w pierwszej kolejności swoim rówieśnikom, później zaś – dorosłym i mediom tradycyjnym. Mówi:

eprasa.pl f748ab3a69

Dzisiaj rośnie ilość zarówno informacji, jak i dezinformacji. Im szerzej wykorzystujemy internet, tym częściej mamy z nią do czynienia. Według UNICEF w 2020 roku 76 procent młodych ludzi (w wieku 14–24 lata) przynajmniej raz w tygodniu stykało się z dezinformacją w internecie. To dwa razy więcej niż w latach 2018–2019. Ponadto troje na czworo dzieci nie może ocenić wiarygodności informacji, które napotykają w sieci. Dzieci i młodzież ufają sobie nawzajem, więc dzielą się nieprawdziwą informacją i rozsyłają ją dalej. Wraz z wiekiem odporność na podstawową dezinformację wzrasta, ale rośnie też liczba fake newsów skierowanych do starszych odbiorców – co równoważy wzrost tej odporności. Bańki informacyjne działają prawie we wszystkich sieciach społecznościowych, ponieważ tu nie chodzi o narzędzia, tylko o konsumpcję informacji. Możemy nie używać sieci społecznościowych, ale czytać tylko jedną stronę z wiadomościami lub oglądać jedną stację telewizyjną o określonym przekazie. To również jest bańka informacyjna. W sieciach społecznościowych wydaje się to łatwiejsze, ponieważ zawierają dużo informacji, które tworzą efekt potwierdzenia.



Rośnie ilość zarówno informacji, jak i dezinformacji. Im szerzej wykorzystujemy internet, tym częściej mamy z nią do czynienia. Według UNICEF w 2020 roku 76 procent młodych ludzi (w wieku 14–24 lata) przynajmniej raz w tygodniu stykało się z dezinformacją w internecie – Maksym Skubenko, Vox Check.

Pod koniec 2021 roku ukazało się badanie Maksyma Skubenki pod tytułem „Dorosłe dzieci. W jaki sposób młodzież może zmienić równowagę w siłach podczas wojny informacyjnej". Autor koncentrował się wtedy głównie na mediach społecznościowych jako całości oraz na tym, jak sposób przekazywania informacji różni się w stosunku do mediów tradycyjnych. Jednak każda sieć społecznościowa działa trochę inaczej – zresztą nawet ich użytkownicy różnią się wiekowo, młodzież rzadziej używa Facebooka, a częściej Instagrama. Ostatnio na popularności zyskuje TikTok, którego algorytmy są inne niż w przypadku Facebooka i Instagrama. Skubenko kontynuuje:

W sumie około 60 procent wszystkich użytkowników TikToka stanowią osoby w wieku od osiemnastu do trzydziestu pięciu lat. Podobnie jak w przypadku większości sieci społecznościowych, żeby zarejestrować się na TikToku, trzeba mieć ukończone co najmniej trzynaście lat, a wszystkie dzieci poniżej osiemnastego roku życia powinny mieć zgodę rodziców lub opiekunów. Oczywiste jest jednak, że kontrola nad tym jest niewielka. Jeszcze za wcześnie, aby mówić o przepływie odbiorców do TikToka, ponie-

eprasa.pl f748ab3a69

waż większość sieci społecznościowych jest używanych równolegle. TikTok nie wydaje się już jednak platformą wyłącznie dla dzieci. Media społecznościowe w taki czy inny sposób tworzą narzędzia do przyciągania różnych grup docelowych. Ale w Meta (czyli na Facebooku oraz Instagramie) nadal dostrzegamy bardziej klasyczne podejście, gdy użytkownicy przez większość czasu dostają informacje ze źródeł, którymi zarządzają (przez dodawanie znajomych i subskrypcje), dołączają do grup itp. Nowym podejściem, które dopiero ewoluuje, jest metaświat. Tu istnieje ryzyko efektu potwierdzenia – preferowania informacji, które potwierdzają nasze oczekiwania, i szumu informacyjnego. Jednak niewiele jest w tym bezpośredniej komunikacji z użytkownikiem.

Natomiast TikTok wykorzystuje „wpływ rówieśników" (*peer influence*). Na większości filmików użytkownicy nagrywają sami siebie, mówią coś do kamery, „zwracając się" do widzów. Ma to bardzo silny wpływ, zwłaszcza na nastolatków, dla których komunikacja osobista jest priorytetem.

Oprócz tego TikTok kieruje się algorytmami, które analizują to, co użytkownicy oglądają, publikują; co pomijają lub oglądają wiele razy. Dlatego, nawet gdy sama sieć społecznościowa nie będzie „podrzucać" dezinformacji, użytkownik obejrzy jeden filmik z fake newsami, powiedzmy, na temat szczepionek, i algorytm będzie nadal mu proponował tego typu treści.

Maksym Skubenko mówi też o możliwościach wykorzystania młodszej grupy wiekowej w wojnie informacyjnej, gdyż nastolatkowie zaczynają korzystać z internetu w coraz młodszym wieku:

Jest za wcześnie, by mówić o tym, jak Rosja wykorzystuje te osoby w wojnie informacyjnej – nie mamy na razie odpowiednich danych. Nie chodzi jednak o to, że Rosja może to zrobić, ale o to, że może targetować tę grupę wiekową. I już to robi. Treści propagandowe i dezinformacyjne są już wszędzie. Ich elementy udostępnia nawet YouTube Kids. Dlatego ważne jest, aby mówić o kompetencji informacyjnej jako o jednym z podstawowych elementów edukacji od samego przedszkola.

Olga Rusina jest ukraińską dziennikarką oraz pisarką. Ukończyła studia dziennikarskie na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Pracuje w kijowskiej stacji radiowej Hromadske Radio, w tygodniku mniejszości ukraińskiej w Polsce „Nasze Słowo", pisze książki dla dzieci dla lwowskiego wydawnictwa The Old Lion Publishing House.

eprasa.pl f748ab3a69

Światopogląd(y) Białorusinów
Dwa społeczeństwa w jednym państwie

Kamil Kłysiński

Przemiany w białoruskiej świadomości zostały w dużej mierze zlekceważone przez władze, które nie dostrzegły skali zagrożenia. Korzystający powszechnie z sieci Białorusini stawali się z każdym rokiem w coraz większym stopniu obywatelami i coraz mniej poddanymi pokornie wykonującymi wolę władz.

Bezprecedensowy kryzys, jaki ogarnął Białoruś po sfałszowanych wyborach prezydenckich, zorganizowanych 9 sierpnia 2020 roku, nie ograniczał się wyłącznie do sfery politycznej. Konfrontacja pomiędzy zwolennikami i oponentami Aleksandra Łukaszenki ujawniła ze szczególną mocą głęboką polaryzację nie tylko według kryterium preferencji wyborczych, ale również wyznawanych wartości i wyborów cywilizacyjnych, czyli wszystkich części składowych szeroko rozumianego światopoglądu. W rezultacie spiętrzenia tych fundamentalnych sprzeczności w ubiegłym roku ostatecznie skrystalizował się podział na dwa społeczeństwa. To tragiczne i trudne w najbliższej perspektywie do przezwyciężenia „pęknięcie społeczne" w ramach jednego państwa było możliwe między innymi ze względu na wykorzystywanie przez Białorusinów bardzo zróżnicowanych źródeł informacji o otaczającym ich świecie i sytuacji wewnętrznej w kraju.

Demokraci i lojalni poddani

Od momentu pierwszego zwycięstwa w wyborach prezydenckich Aleksandra Łukaszenki w 1994 roku (i raczej ostatniego, które można uznać za demokratyczne) było jasne, że jest w kraju grupa obywateli, która nie akceptuje populizmu ani autorytaryzmu charyzmatycznego przywódcy. Z każdym rokiem sprawowania władzy Łukaszenka powiększał grono swoich przeciwników, odrzucających jego niedemo-

eprasa.pl f748ab3a69

kratyczne zapędy oraz okazywane publicznie lekceważenie wobec białoruskich tradycji narodowych. Z czasem, licząc od końca lat dziewięćdziesiątych, środowisko oponentów reżimu ustabilizowało się na poziomie 20–30 procent obywateli. Byli to przedstawiciele różnych środowisk, zarówno mieszkańcy małych, jak i wielkich miast, emeryci, spauperyzowana inteligencja, a także prosperujący biznesmeni. Tak jak różnił ich status, zróżnicowana była również motywacja. Część obywateli, w tym przede wszystkim osoby starsze, swój krytyczny stosunek do władzy budowała na podstawie tradycji narodowej związanej z pamięcią o próbie proklamowania w 1918 roku Białoruskiej Republiki Ludowej, szacunkiem wobec kultury i języka białoruskiego, a także poparciem dla prawicowego Białoruskiego Frontu Ludowego. Inni, szczególnie ci bogatsi, bardziej mobilni i często młodsi, mieli już za sobą pierwsze doświadczenia, choćby krótkoterminowego pobytu za granicą, przy czym nie tylko w Polsce czy na Litwie, ale również w znacznie bogatszych krajach zachodniej Europy. Młodzież natomiast z racji właściwej dla okresu dojrzewania postawy buntu kontestowała przaśnego w swoim zachowaniu Łukaszenkę, inspirującego satyryków do prześmiewczych anegdot i parodii. Sceptyczne wobec reżimu grupy społeczne wiedzę czerpały z jeszcze wówczas licznych niezależnych gazet drukowanych, które nawet w przypadku zablokowania możliwości kolportażu w kioskach były sprzedawane na ulicy przez pozbawione strachu przed utratą pracy emerytki. Wiodące wówczas media, czyli radio i telewizja, były już w pełni pod kontrolą władz i jako takie, choć masowo oglądane, wzbudzały daleko idący sceptycyzm zdystansowanych wobec oficjalnej narracji obywateli. Jednocześnie większość Białorusinów, w szczególności mieszkańcy mniejszych miejscowości, znajdowała się pod przemożnym wpływem „szklanego ekranu", z którego w mniejszym lub większym natężeniu płynęła agresywna i napastliwa wobec prodemokratycznych środowisk oraz Zachodu propaganda. Pojawiały się kolejne wersje spisków organizowanych przez zachodnie służby przy wykorzystaniu krajowej „piątej kolumny", czego przykładem było oskarżenie opozycji wiosną 2006 roku przez ówczesnego szefa KGB generała Stiepana Sucharenkę o próbę zatrucia wody w stołecznej sieci wodociągowej za pomocą zdechłych szczurów. Karmieni tego rodzaju „rewelacjami" przeciętni zjadacze białoruskiego chleba akceptowali rządy Aleksandra Łukaszenki jako gwarancję bezpieczeństwa i stabilności.

Cyfrowy przełom w świadomości

Istotnym przełomem w kształtowaniu wiedzy Białorusinów stało się upowszechnienie internetu w pierwszej dekadzie XXI wieku. Białoruskie społeczeństwo, uznawane – nie bez racji – za silnie zsowietyzowane, wykazało się zaskakująco daleką

eprasa.pl f748ab3a69

otwartością na nowinki techniczne i stosunkowo szybko przyjęło sieć jako naturalną możliwość komunikacji ze światem, źródło wiedzy i informacji oraz cenne narzędzie biznesowe. Według oficjalnych danych białoruskiej statystyki już w 2010 roku liczba użytkowników internetu w przeliczeniu na sto mieszkańców wyniosła pięćdziesiąt siedem, podczas gdy w 2020 roku doszła już niemal do stu pięćdziesięciu (wliczane są nie tylko osoby fizyczne, ale również podmioty gospodarcze). W rezultacie w ubiegłym roku niemal 83 procent Białorusinów było podłączonych do sieci. Od samego początku przodującą grupą użytkowników była młodzież, zarówno ta w wieku szkolnym, jak i produkcyjnym. Dla tej grupy społecznej strony internetowe oraz sieci społecznościowe stały się głównym, jeśli nie jedynym źródłem informacji. Jednocześnie duża skala dostępności internetu sprawiła w ostatnich latach, że sieć stawała się głównym czynnikiem kształtującym świadomość również starszych obywateli, głównie przed pięćdziesiątym rokiem życia, zwłaszcza w średnich i dużych miastach, którzy nawet w przypadku braku własnego komputera mieli nieograniczony dostęp do internetu za pośrednictwem powszechnie użytkowanych smartfonów.

Dynamiczna ekspansja internetu doprowadziła do nadzwyczaj istotnej ewolucji w świadomości znacznej części Białorusinów, którzy dzięki niezależnym portalom internetowym stopniowo poszerzali zainteresowania oraz wiedzę o świecie zewnętrznym nawet bez wyjeżdżania poza granice kraju. Tym samym demonizowany przez lata w propagandowym przekazie władz Zachód już nie był li tylko źródłem antybiałoruskich spisków, ale stawał się bliższy oraz bardziej zrozumiały, ze wszystkimi wadami oraz zaletami. Rezultatem jest konsekwentny wzrost pozytywnego stosunku Białorusinów zarówno do ogólnie pojmowanego Zachodu, jak też poszczególnych krajów, w tym często atakowanych przez propagandę reżimu Polski i USA. Znajduje to potwierdzenie w wielu przeprowadzonych w ostatnich latach niezależnych sondażach, w których państwa zachodnie pozytywnie postrzega 50–60 procent badanych, co przybliża je do notowań Rosji, tradycyjnie postrzeganej jako kraj bliski kulturowo i językowo. Co ważne, Białorusini przez wszystkie lata niepodległości wykazują się dużą konsekwencją w typowej dla swojej mentalności postawie neutralnej lub przynajmniej w zachowywaniu dystansu wobec skrajności. Powszechnym poglądem pozostaje przekonanie o konieczności utrzymywania dobrych relacji zarówno z Zachodem, jak i ze Wschodem, czyli przede wszystkim Unią Europejską oraz Rosją. Dążenie do złotego środka nierzadko prowadzi do – kuriozalnej być może dla polskich czytelni-

W Białorusi ze „szklanego ekranu" w mniejszym lub większym natężeniu płynie agresywna i napastliwa wobec prodemokratycznych środowisk oraz Zachodu propaganda.

eprasa.pl f748ab3a69

ków – popularnej społecznie tezy o możliwości jednoczesnej integracji z Rosją oraz zacieśniania współpracy ze strukturami zachodnimi.

Co istotne, polemiczna wobec władz narracja internetowych mediów skłaniała do myślenia, zadawania pytań, a także mobilizowała do podejmowania działań obywatelskich. Warto przy tym zaznaczyć, że poza radykalnymi, uprawiającymi zmasowaną krytykę portalami internetowymi w rodzaju serwisu Karta97 dużą popularność zdobyły takie redakcje, jak: Tut.by, Naviny.by czy kontynuująca stare tradycje pierwszej białoruskiej gazety „Nasza Niwa". Zespoły tworzące te tytuły zapewniały szeroki ogląd wydarzeń krajowych i zagranicznych, wyznaczając jednocześnie wysokie standardy nowoczesnego dziennikarstwa. Upowszechnieniu internetu towarzyszył również intensywny rozwój sektora IT. W 2020 roku liczba specjalistów w tej branży sięgała już 150 tysięcy, a ich wkład w PKB wynosił ponad 7 procent. Tym samym w około 9,5-milionowym państwie pojawiła się nowa grupa społeczna o dużych wymaganiach konsumpcyjnych, wysokich dochodach i aspiracjach życiowych oraz sceptycznym podejściu do archaicznych z ich punktu widzenia władz. To grupa ludzi również intensywnie podróżujących (przynajmniej przed pandemią), w związku z czym mogli oni konfrontować swoje wrażenia z podróży z siermiężną krajową rzeczywistością. To oni, a wraz z nimi również część rosnącej rzeszy drobnych przedsiębiorców i samozatrudnionych w innych branżach, stali się awangardą nowoczesnego pojmowania świata w białoruskim społeczeństwie.

Istotnym przełomem w kształtowaniu wiedzy Białorusinów stało się upowszechnienie internetu w pierwszej dekadzie XXI wieku.

Media „starszego brata"

W rezultacie doszło nie tylko do gruntownego przeorania świadomości wielu białoruskich obywateli, ale również rewolucji w strukturze białoruskiego rynku medialnego. Według tegorocznych badań ośrodka monitoringu mediów Digital Skills Coalition wszechwładna i masowo oglądana jeszcze w latach dziewięćdziesiątych telewizja została zdegradowana na piątą pozycję pod względem popularności, a miejsce niekwestionowanego lidera wśród źródeł informacji zajęły właśnie internetowe portale informacyjne, na drugiej pozycji znalazły się sieci społecznościowe, następnie wskazywano informacje od przyjaciół i kolegów oraz popularne w ostatnich latach kanały z komunikatora Telegram. Warto przy tym zaznaczyć, że aż 90 procent respondentów nie dowierza mediom i jest skłonne do weryfikowania pozyskiwanych informacji, przede wszystkim w rozmowach z zaufanym kręgiem przyjaciół i zna-

eprasa.pl f748ab3a69

jomych. Tym samym szczególnej rangi w kształtowaniu postaw Białorusinów nabierają kontakty towarzyskie, co z jednej strony uodparnia społeczeństwo na manipulacje medialne (w szczególności na działania propagandowe reżimu), ale jednocześnie tworzy dużą podatność na uleganie plotkom. Daleko idący dystans wobec przekazu medialnego jest również odbiciem generalnego deficytu zaufania do państwa oraz jego instytucji, które według internetowych badań opinii, prowadzonych regularnie co kilka miesięcy od ubiegłego roku na zlecenie brytyjskiego think tanku Chatham House, oscyluje pomiędzy 20 a 30 procent, co jest zresztą kolejnym potwierdzeniem podzielanego przez większość białoruskich socjologów przypuszczenia, że obecnie sceptycznie do reżimu odnosi się około 70 procent obywateli.

Konsekwentnie rośnie pozytywny stosunek Białorusinów do ogólnie pojmowanego Zachodu i jego poszczególnych krajów, w tym również często atakowanych przez propagandę reżimu Polski i USA.

Szacowany aktualnie na 30 procent elektorat Aleksandra Łukaszenki zachował swego rodzaju odporność na opisane wyżej przemiany w dostępie do informacji. Choć byłoby poważnym nadużyciem opisanie wszystkich stronników reżimu jako „potrafiących się ledwo podpisać ciemnych kołchoźników", są to z pewnością, zamieszkujący raczej mniejsze miejscowości, ludzie o konserwatywnym podejściu do życia, ceniący sobie silną władzę, dającą bezpieczeństwo i porządek. Do świata zewnętrznego również podchodzą zachowawczo, szczególnie wobec zbyt odległego kulturowo i mentalnie Zachodu. Znacznie bliżej im do Rosji, gdzie mogą znaleźć te same wzorce kulturowe, porozmawiać w tym samym języku, stąd też z dużą dozą pewności można założyć, że głównym źródłem ich wiedzy są media rosyjskie, znacznie bardziej dynamiczne i atrakcyjniejsze od rodzimych białoruskich. Uleganie narracji medialnej „starszego brata" w jeszcze większym stopniu pogłębia ich krytycyzm wobec zachodniej kultury, pełnej permisywizmu i odrażającej z ich punktu widzenia tolerancji dla mniejszości seksualnych.

Jednocześnie nie należy zapominać, że znaczna część obywateli Białorusi (podobnie jak wielu innych państw) nie żyje na co dzień wielką polityką i wysiłki koncentruje na kwestiach związanych z życiem codziennym. Stąd też, nawet w najbardziej nasyconym polityką roku 2020, wśród dwudziestu najpopularniejszych zapytań białoruskich użytkowników wyszukiwarki Google największe zainteresowanie wzbudzał nie tylko skazany w lipcu bieżącego roku na czternaście lat więzienia kontrkandydat Łukaszenki Wiktar Babaryka czy rosyjski opozycjonista Aleksiej Nawalny, ale również koronawirus, kurs dolara, pogoda i popularny w państwach byłego ZSRR serwis społecznościowy Odnoklassniki. Prowadzone w ostatnich latach badania wskazy-

eprasa.pl f748ab3a69

wały również na duże znaczenie kwestii bytowych. Respondenci wskazywali często na brak możliwości samorealizacji, zarówno w sferze wypoczynku, jak i w zakresie rozwoju zawodowego. Oferowana przez reżim siermiężna rozrywka w stylu dancingu z lat dziewięćdziesiątych lub zabawy ludowej oraz oparte na radzieckiej tradycji pracy społecznej „subbotniki" były w drugiej dekadzie XXI wieku jedynie irytującym przeżytkiem, przynajmniej dla młodszych i lepiej wykształconych obywateli.

Światopogląd w czasach terroru

Przemiany w białoruskiej świadomości zostały w dużej mierze zlekceważone przez władze, które nie dostrzegły skali zagrożenia. Korzystający powszechnie z sieci Białorusini stawali się z każdym rokiem w coraz większym stopniu obywatelami i coraz mniej poddanymi, pokornie wykonującymi wolę władz. Katalizatorem coraz mocniej wyrażanych postaw obywatelskich stały się wybory prezydenckie 2020 roku – białoruskie społeczeństwo zaprezentowało nie tylko olbrzymie pokłady niezadowolenia z dwudziestosześcioletnich rządów Łukaszenki, ale również zdolność do samoorganizacji i mobilizacji do działania. Białoruski prezydent co prawda kilkukrotnie w swoich wystąpieniach publicznych ubolewał nad utratą „kontaktu władzy z młodzieżą", a podlegli mu analitycy konstatowali fakt zaistnienia „cyfrowego pokolenia", które nie chce „wydorośleć", jednocześnie jednak brakowało głębszej refleksji prowadzącej do modyfikacji polityki państwa.

Popularne w 2020 roku kanały w komunikatorze Telegram nadal są jednym z głównych źródeł informacji, choć część ich czytelników zrezygnowała z subskrypcji w obawie przed konsekwencjami karnymi za „popieranie ekstremizmu politycznego".

Zaskoczone masowym sprzeciwem w sierpniu 2020 roku władze odpowiedziały terrorem, który przełożył się również na sferę informacyjną. Zamknięte i zdelegalizowane zostały główne portale internetowe, ich redakcje uległy rozproszeniu lub wyemigrowały z kraju i prowadzą działalność w okrojonym składzie zza granicy. Nadzwyczaj popularne w 2020 roku kanały w Telegramie nadal są jednym z głównych źródeł informacji, choć część ich czytelników zrezygnowała z subskrypcji w obawie przed konsekwencjami karnymi za „popieranie ekstremizmu politycznego". W rezultacie doszło do jeszcze większego pogłębienia polaryzacji po obu stronach barykady. Narracja wielu niezależnych redakcji (szczególnie w sieciach społecznościowych i komunikatorach) uległa dalszej radykalizacji, co z pewnością już teraz wywiera wpływ na stan umysłów krytycznych wobec reżimu obywateli.

eprasa.pl f748ab3a69

Z kolei przekaz oficjalnych mediów stał się jeszcze bardziej agresywny, państwowi dziennikarze i publicyści z mniejszym lub większym zapałem weszli w rolę propagandzistów reżimu, pokazujących świat zewnętrzny – szczególnie jego zachodnią wersję – jako permanentne zagrożenie dla „cichej i spokojnej" Białorusi. Telewidzowie i radiosłuchacze mentalnie są wpychani w stan „oblężonej twierdzy" i można jedynie otwartym pozostawić pytanie, w jakim stopniu zwolennicy Łukaszenki wierzą w serwowane im coraz bardziej absurdalne teorie spiskowe. Być może mają rację ci, którzy twierdzą, że tego typu materiały powstają jedynie dla komfortu psychicznego wodza, który jest ich kluczowym odbiorcą. Jedno jest pewne: zwolennicy i przeciwnicy reżimu, choć często zapewne mijają się na ulicach miast i wsi, żyją w dwóch różnych światach, czerpiąc informacje z bardzo różnych źródeł, co wpływa na ich odmienne poglądy polityczne i wybory życiowe. Pogodzić ich może obecnie chyba jedynie wyszukiwanie w internecie kursu walut czy prognozy pogody na najbliższe dni.

Kamil Kłysiński jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie. Specjalizuje się w tematyce białoruskiej.

eprasa.pl f748ab3a69

Nie tylko telewizor, Putin i „Krymnasz”

Z profesorem Siergiejem Miedwiediewem rozmawia Katarzyna Syska

KATARZYNA SYSKA: Często powtarza Pan, że zaostrzenie reżimu politycznego, umocnienie tendencji imperialistycznych i patriarchalnych, które obserwujemy w ostatnich latach w Rosji – to objaw zbliżającej się śmierci tego systemu. Skąd taki optymizm?

SIERGIEJ MIEDWIEDIEW: To żaden optymizm. I mam na myśli nie śmierć, lecz agonię. Agonia może trwać bardzo długo, nawet przez całe moje życie. Może się utrzymać nawet przez kolejne dwadzieścia lub trzydzieści lat. Agonia Imperium Rosyjskiego i tak się już przeciągnęła o sto lat. Chodzi więc nie o optymizm, lecz o szerokie historyczne spojrzenie. Z perspektywy powiedzmy 2100 roku zrozumiemy, że to był długi proces rozpadu i bolesnej akomodacji Imperium Rosyjskiego. A nam przyszło żyć w samym środku tego procesu i być w pewnym sensie produktem tego rozpadu, przyjmować wszystkie te ciosy.

Jeśli agonia trwa już sto lat, to znaczy, że uważa Pan rewolucję październikową za jej początek?

Tak. W 1917 roku zaczął się proces rozpadu imperium i dalej trwa. Rosja straciła wtedy Polskę, Finlandię i inne ziemie, potem zbudowała imperium w Europie Wschodniej, ale w 1991 roku odpadły od niej jeszcze większe terytoria, wskutek czego skurczyła się do własnych granic. I prawdopodobnie czeka nas jeszcze jeden – ostateczny rozpad. Nie sądzę nawet, że będzie mieć charakter terytorialny. Musi nastąpić rozpad struktur samego imperium, świadomości imperialnej, dominacji państwa. Konieczne jest uzyskanie podmiotowości politycznej przez różne terytoria – Syberię, Północ i inne.

Ale uzyskanie podmiotowości nieuchronnie prowadzi albo do bardzo mocnej autonomizacji, albo wprost do terytorialnego rozpadu państwa.

Niekoniecznie – jest opcja federacji, konfederacji… Kto wie, co będzie w 2100 roku? Może wtedy nie będzie żadnych państw? Nawet nie myślę w takich kategoriach. Nie sądzę, że dziś może funkcjonować, dajmy na to, niezależne księstwo moskiewskie albo smoleńskie. Chociaż Władimir Sorokin opisuje taki wariant w swojej antyutopii, gdzie pojawia się: Księstwo Moskiewskie, Księstwo Riazańskie, Republika Uralska i Wschodnia. Być może nie w takiej formie, ale te tere-

eprasa.pl f748ab3a69

ny powinny mieć więcej autonomii i kontroli nad swoimi zasobami. Zakończenie okresu moskiewskiego w historii rosyjskiej jest konieczne. Odkąd się zaczął mniej więcej sześćset lat temu, od Iwana III, tak trwa do dziś.

W antyutopiach Sorokina funkcjonują: nowe średniowiecze, świadomość archaiczna i nowych technologii. Czy nowe technologie nie są istotnym zasobem, który może przedłużyć życie reżimu?

Na pewno są. Jednym z wielkich odkryć ostatnich lat było to, że internet jednak nie przyniesie nam wolności. Więc nowe technologie nie oznaczają zwiększenia swobody i zmniejszenia tyranii. Reżimy autorytarne z powodzeniem wykorzystują odkrycia technologiczne. Ale nie sądzę, żeby mogło to powstrzymać długotrwałe procesy rozpadu Imperium Rosyjskiego, że państwo rosyjskie albo Chiny zachowają się w formie cyfrowej. Chiny tak czy inaczej muszą utrzymać terytorialną i polityczną kontrolę nad najważniejszymi instytucjami. Technologia staje się jednym z filarów autorytaryzmu, ale nie może stać się nowym środowiskiem funkcjonowania państwa. Tak, cyfrowy świat to nowe pole gry, ale zasadniczo uważam, że Rosja w dzisiejszym formacie państwowo-terytorialnym to głęboko archaiczny kraj, który pozostał w poprzedniej epoce i jest strukturalnie niekompatybilny ze współczesnością.

Postęp jest nieunikniony?

Nie jestem zwolennikiem teorii postępu. Bardziej przekonuje mnie teoria adaptacji do środowiska zewnętrznego. Rosja dziś nie jest przystosowana do współczesnego świata. Jeśli spojrzeć na trendy technologiczne czy procesy humanizacji, w których inwestuje się przede wszystkim w kapitał ludzki, to Rosja odstaje – tu kapitał ludzki się niszczy. Widzę pogłębiający się rozziew między archaizującą się Rosją i światem wysoko rozwiniętym. W ciągu ostatnich trzystu lat Rosja maskowała ten rozziew przez impulsywne, skokowe modernizacje. I prawdopodobnie w jakiejś formie jeszcze się to powtórzy w przyszłości.

Co według Pana może posłużyć jako bodziec do przyspieszenia agonii i ostatecznego rozkładu? Istnieje pogląd, że przechodzenie świata na odnawialne źródła energii może mocno uderzyć w Rosję.

Oczywiście w długoterminowej perspektywie oznacza to zmianę bazy surowcowej rosyjskiego reżimu. Wszystko, o czym mówimy, ropą stoi. Rosyjski reżim to spuchnięta narośl na grubym rurociągu. W sytuacji zmiany światowego bilansu energetycznego i globalnego przechodzenia z węglowodorów na energię odnawialną reżim Putina i rosyjski Lewiatan w ogóle będzie tracić swoje źródła dochodu, odrodzi się walka o zasoby wewnątrz kraju i systemu, a w konsekwencji wewnątrz- i zewnątrzpolityczny potencjał reżimu będzie maleć. Zaostrzy się walka wewnątrz elit, coraz więcej osób

eprasa.pl f748ab3a69

zacznie opuszczać tę „lokomotywę". Ale znów – nie da się na razie określić, kiedy to nastąpi – w 2050, a może 2060 roku? Czy Rosja będzie potrafiła wpisać się w nowy układ energetyczny? Może zacznie produkować wodór? Nie wiem, jak się zachowają największe rosyjskie koncerny naftowe, bo przecież powinny rozumieć, że w obecnym kształcie nie mogą przetrwać. Niewykluczone zatem, że to będzie najważniejszy czynnik. Rosja nie da rady utrzymać się w drugim czy trzecim szeregu globalnego świata, jeśli dalej będzie dostarczać tylko surowce, a nie technologie i kapitał ludzki. Ale to długoterminowa perspektywa. A w najbliższej przyszłości – żeby coś się zaczęło zmieniać, musi odejść Putin.

O ile rozumiem, istnieją dwa stanowiska co do odejścia Putina. Pierwsze: że to nijak nie zdestabilizuje systemu, bo ten jest tak trwały, że szybko wyłoni nowego człowieka, który podtrzyma układ interesów elit. Drugie: że odejście Putina spowoduje silny wstrząs, bo kluczowy jest jego osobisty charyzmat.

Putin to produkt rosyjskiej historii. Jeśliby go nie było, trzeba by było go wymyślić. To nie tak, że przyszedł jeden człowiek i dokonał przewrotu. Myślę, że ciąg zdarzeń lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku przygotował przyjście Putina. Rosja czekała na takiego człowieka – oficera służby bezpieczeństwa, z silnymi zapędami paternalistycznymi, dążeniem do zwiększenia ingerencji państwa w życie społeczne. To, co Putin dziś robi z Rosją, niestety jest w dużej mierze przejawem logiki ewolucji państwa rosyjskiego. Oczywiście on sam i elity, które przyprowadził, wnieśli też sporo od siebie. Uruchomili mechanizm negatywnej selekcji i autodestrukcji systemu, samoreprodukcji władzy przy jednoczesnych procesach samozniszczenia Rosji. Niewykluczone, że odejście Putina otworzy przestrzeń możliwości, nieoczekiwanych zwrotów. Zejście ze sceny Breżniewa, Andropowa i Czernienki nieoczekiwanie doprowadziło do pojawienia się Gorbaczowa i pierestrojki. Podobnie teraz – nie możemy przewidzieć scenariusza rozwoju wypadków. Z drugiej strony, jeśli do władzy dojdzie człowiek z tej samej ekipy, przedłuży życie obecnego wadliwego systemu rent. Przecież reżim nie może upaść ot tak, rozpłynąć się w powietrzu. Interesy korupcyjne są już zbyt zaawansowane, za dużo złamano praw, rozkradziono surowców, zabito ludzi, żeby po prostu sobie odejść jakby nigdy nic. Dlatego wszystkim graczom zależy na tym, żeby Putin został jak najdłużej, w dowolnej postaci – jak w sowieckim dowcipie: jako tusza, wypchany – wszystko jedno. Nawet jeśli będzie już niezdolny do rządzenia, i tak będą go wystawiać i pokazywać ludziom, bo jest gwarantem istnienia tego systemu.

Jak może się pojawić człowiek spoza obecnej ekipy, jeśli wszyscy potencjalni konkurenci są bezlitośnie niszczeni?

eprasa.pl f748ab3a69

A może wewnątrz systemu też są trzeźwo myślące osoby? Teraz grają zgodnie z obowiązującymi zasadami, ale jeśli układ polityczny się zmieni, mogą zaistnieć. Przecież cała ta kohorta ludzi ze struktur siłowych to gerontokracja – Putin, Bortnikow, Patruszew. To odchodzące pokolenie, które ma przed sobą jakieś dziesięć lat. Nowe pokolenie nie bardzo się od nich różni, w nim też przeważają ludzie ze służb. Nie chcę wróżyć z fusów, ale też nie wykluczam, że w obecnej elicie jest taki rozsądny Gorbaczow, który rozumie, że zmiany są konieczne. Nie wykluczam jednak zmian pozasystemowych, scenariuszy rewolucyjnych, pojawienia się człowieka z tłumu, zupełnie spoza elity.

Co może sprowokować w społeczeństwie rosyjskim takie rewolucyjne wrzenie? Chyba tylko gwałtowny spadek poziomu życia, kryzys gospodarczy?

Nie, Rosjan to nie ruszy. Nawet pieniędzy nie potrzebują. Proszę spojrzeć: na covid zmarło tak dużo osób, a Rosjanie nie drgnęli.

Polacy podobnie.

No właśnie. Istnieją takie schematy atomizacji społecznej, immobilizmu, wyuczonej bezradności. W podobnej sytuacji społeczeństwa zachodnioeuropejskie czy południowoamerykańskie już by się buntowały, wychodziły na ulice. A Rosjanie i Białorusini tylko pojękują. Białorusini wyszli na ulice w sierpniu 2020 roku, ale widzimy, jak to się skończyło. Dlatego nie wierzę w scenariusz masowego niezadowolenia. To może się zdarzyć chyba tylko, odpukać, w przypadku wielkich tragedii w rodzaju Czarnobyla, katastrof technogenicznych lub naturalnych, wojny, terroryzmu, zderzenia ze światem islamskim – szokowych doświadczeń, które obnażą kompletną nieskuteczność państwa i doprowadzą do odejścia części elit. A nasze państwo jest absolutnie niezdolne do działania. Nie potrafi radzić sobie z pożarami lasów, z pandemią koronawirusa. Póki co to małe testy. Jednak w przyszłości wielkie, pochodzące z zewnątrz sytuacje szokowe mogą zakłócić równowagę i doprowadzić do nagłej zmiany zasad gry.

Przy dowolnym scenariuszu zmiany władzy pojawi się kwestia zaakceptowania nowej elity przez społeczeństwo, uwewnętrznienia transformacji na tyle, żeby stała się elementem tożsamości, systemu wartości. Można chyba rozumieć problem przemian lat dziewięćdziesiątych w tym kluczu – bez odpowiedniej pracy z wartościami, mentalnością obywateli osiągnięcia pierestrojki i transformacji nie zakorzeniły się w społeczeństwie.

Szczerze mówiąc, nie wierzę w celowe działania na rzecz zmiany mentalności społecznej. Społeczeństwo samo musi dojść do pewnych zmian w procesie zwykłego życia, a nie na skutek działań ideologicznych. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stu-

eprasa.pl f748ab3a69

lecia społeczeństwo zaczęło się aktywnie zmieniać. I chociaż zmiany te zostały powstrzymane, częściowo ukształtowała się nowa klasa obywateli – samodzielnych, intelektualnie niezależnych, myślących globalnie. Dziś ta klasa jest w Rosji ważna. Myślę, że potrzebna jest jakaś zmiana reżimu, żeby mogły zafunkcjonować nowoczesne instytucje, takie jak: wolne wybory, realnie działający parlament, podlegający kontroli rząd, równowaga władz, niezależne sądy, ochrona prawa własności. Wtedy wszystko zadziała samo i nie będzie potrzebne żadne kształtowanie mentalności społeczeństwa. Musi pojawić się rozsądna elita, która umożliwi funkcjonowanie podstawowym instytucjom nowoczesnego społeczeństwa.

Zdaję sobie sprawę, że w obecnej sytuacji teoretyzowanie na temat Aleksieja Nawalnego jest nie na miejscu, ale moje pytanie dotyczy nie jego osobiście, lecz tego, na ile projekt Nawalnego – próba wejścia do polityki w skrajnie niesprzyjających warunkach – wpłynęła na świadomość zbiorową Rosjan. Czy cały ten wyczyn, ogromna energia poszły na marne, czy gdzieś się kumulują i w pewnym momencie jakoś się ujawnią?

Projekt Nawalnego nie poszedł na marne. Uważam, że Nawalny to niesamowity przykład – nie zawaham się go porównać z Nelsonem Mandelą. Możliwe, że spędzi w więzieniu nie mniej lat niż Mandela. Tylko on w Rosji zaczął uprawiać politykę. Czyli dziś jedyny polityk w Rosji to Nawalny, bo Putin politykiem nie jest. Nawalny pokazał, że w Rosji możliwa jest polityka niezależna od państwa, bazująca na poparciu obywateli. Był skuteczny, czego dowiodły wybory w Moskwie w 2013 roku i „inteligentne głosowanie", sześciany Nawalnego i cała infrastruktura jego sztabów. Było to zadziwiające zjawisko w historii współczesnej Rosji, które pokazało, że kraj w zasadzie jest gotów na zmiany, że być może jest bardziej nowoczesny, niż nam się wydaje. To nie tylko kraj telewizora, Putina, „Krymnasz". To wszystko w nim oczywiście jest i stanowi pasywną większość, ale przemian w państwie zawsze dokonuje aktywna mniejszość. Tak było podczas rewolucji 1917 roku, w 1991 roku w byłych krajach sowieckich, tak będzie też w przyszłości. W Rosji istnieje aktywna mniejszość. Została pobudzona do działania przez Nawalnego, dlatego tak się go wystraszyli i postanowili unieszkodliwić. A to, czego dokonał Nawalny, nie pójdzie na marne. Dla konformistycznej większości jest „zdrajcą", „wykonuje rozkazy CIA", jego poparcie spada z każdym miesiącem (potwierdzają to badania Centrum Lewady), więc z perspektywy mas społecznych i władzy został zneutralizowany. Ale dla ludzi takich jak ja, dla wielu Rosjan jego powrót, zachowanie na sali sądowej i w więzieniu to niezwykle ważny akt odwagi, a nawet – pozwolę sobie na takie porównanie – chrześcijańskiej ofiarności. Kiedyś (dla Polaków to będzie zrozumiałe) do Polski przyleciał Wojtyła, który dopiero co został papieżem Janem Pawłem II,

eprasa.pl f748ab3a69

i podczas pierwszej wizyty skierował do swojego narodu te ewangeliczne słowa Chrystusa: „Nie lękajcie się". Podobnie Nawalny powiedział do Rosjan: „Nie lękajcie się". Póki co niewiele osób go słyszy. Polska wówczas była o wiele bardziej gotowa na zmiany. Niemniej jednak Nawalnego nie można uznać za przypadkową ofiarę – jestem pełen podziwu dla jego odwagi i wytrwałości.

Czy ludzie ze sztabów Nawalnego, z których wielu musiało emigrować, mogą stać się bazą przyszłej elity politycznej?

Trudno mi określić, kim są ludzie Nawalnego bez Nawalnego. Mam do nich wielki szacunek, ale póki co nie mam danych, żeby prognozować.

Czy możliwe są działania zbrojne ze strony Kremla, kiedy wyczerpią mu się wewnątrzpolityczne środki mobilizacji wyborców?

Tak, to niewykluczone. Kreml chciałby, żeby wszyscy w to uwierzyli. Tę taktykę Kremla nazywam asymptotycznym zbliżaniem się ku wojnie, czyli ciągłym ruchem w tym kierunku, ale bez przekraczania ostatecznej granicy. Moskwie zależy na tym, żeby wszyscy uwierzyli w jej zdolność do rozpętania wojny, w to, że jutro napadnie na Ukrainę lub na kraje bałtyckie, pojutrze anektuje Białoruś, a następnie wystrzeli pocisk jądrowy. Trzeba się zatem mieć na baczności, ale jednocześnie wydaje mi się, że obecna elita, stratedzy, zasoby, którymi dysponują, nie rozpętają wielkiej wojny. Kreml będzie doskonalić technologie hybrydowe – prowokacje, dywersje na Zachodzie, wojny informacyjne, wpływanie na portale społecznościowe, infrastrukturę i wybory, wspieranie proputinowskich środowisk na Zachodzie, współpracę z terrorystami i wszystkimi, którzy stanowią zagrożenie dla bezpieczeństwa i stabilności Zachodu. To wszystko potencjalni sojusznicy Kremla. Takie działania będą kontynuowane, więc istnienie tego reżimu pozostanie czynnikiem destabilizującym w globalnym systemie bezpieczeństwa. A tym bardziej będzie stwarzać zagrożenie dla państw ościennych.

Siergiej Miedwiediew jest rosyjskim dziennikarzem i profesorem nauk politycznych. Pracował naukowo w Rosji, Niemczech, we Włoszech i w Finlandii. Specjalizuje się w politologii, historii, socjologii i studiach kulturowych. Współpracuje między innymi z rosyjskim „Forbesem" i dziennikiem „Wiedomosti". Za *Powrót Rosyjskiego Lewiatana*, książkę, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Czarne, otrzymał Nagrodę Literacką Domu Puszkina oraz nominację do Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus".

eprasa.pl f748ab3a69

Ukraina–Rosja
Notatki z frontu wojny symboli

Albert Jawłowski

Stwierdzenie, że Putin w ostatnich latach zrobił dla powstania nowoczesnej ukraińskiej nacji politycznej więcej niż Hruszewski, Petlura i Bandera razem wzięci, może kilka lat temu brzmiało jak złośliwy trolling. Dziś można potraktować je całkiem poważnie.

Władimir Putin świetnie się poczuł w roli samozwańczego historyka i znów postanowił wskoczyć w buty egzegety dawnych dziejów. 30 sierpnia złożył gospodarską wizytę w obwodzie twerskim. Oczywiście nie obyło się bez pokazowych rozmów z miejscowymi czynownikami. Przed kamerami wziął na spytki gubernatora twerskiego Igora Rudienię. Ów na swoje nieszczęście postanowił pochwalić się racjonalizatorską pomysłowością i napomknąć o przywiązaniu do prawosławnej tradycji. Z lekko spoconym czołem opowiedział więc o planach przeniesienia i rozbudowy portu rzecznego w Twerze. Obecny nie dość, że jest przestarzały, to znajduje się w miejscu dawnego klasztoru, gdzie ostatni rok życia spędził metropolita moskiewski Filip. Port można by zbudować ciut dalej, większy i nowocześniejszy, a w miejscu po starym klasztorze postawiłoby się cerkiew, by czcić w niej pamięć sławnego hierarchy – zaraportował Rudienia.

Rudienia – lepiej zamilcz

Metropolita Filip był człowiekiem niewzruszonym w poglądach, co okupił własnym życiem. W twerskim monastyrze własnoręcznie udusił go sam Maluta Skuratow, sadystyczny opryczniк i karząca ręka Iwana Groźnego. Putin nie dosłuchał do końca opowieści Rudienii. Skrzywił się i przerwał mu krótkim zdaniem: „To tylko jedna z wersji".

Zdezorientowany Rudienia spojrzał na Władimira Władimirowicza i urwał mu się wątek. Trudno powiedzieć, jak głęboko twerski urzędnik zagłębiał się w dzieje szesnastowiecznej Rosji, czasy terroru opryczniny czy historię cerkwi. Miał jed-

eprasa.pl f748ab3a69

nak wszelkie podstawy, by powiedzieć to, co powiedział. Sprawstwo Skuratowa potwierdzają dostępne źródła, a zbrodnię tę oficjalna rosyjska historiografia przypisuje właśnie jemu już od czasów publikacji Siergieja Sołowjowa. Także Rosyjska Cerkiew Prawosławna przyjmuje osobisty udział Skuratowa w zabójstwie metropolity Filipa za bezdyskusyjny fakt. Dotychczas sprawa nie budziła więc poważniejszych wątpliwości.

W 1568 roku Filip potępił nieograniczoną przemoc opryczników. Po czym został aresztowany i zesłany do Tweru. Tam poddawano go torturom, chcąc zmusić do pokajania się. W kolejnym roku wojska Iwana Groźnego wyruszyły przeciw Nowogrodowi Wielkiemu, bogatemu i samorządnemu miastu niepodporządkowującemu się władzy despoty. Skuratow w drodze na Nowogród zatrzymał się w Twerze. Usiłował wymusić na uwięzionym Filipie błogosławieństwo zbrojnego pochodu. Filip odmówił, więc Skuratow go udusił.

W 2016 roku, nie bez skandali i awantur, udało się postawić pomnik Iwana Groźnego w Orle. Wówczas potraktowano to jako samodzielną inicjatywę marginalnej grupy czernosecinnych oszołomów, na którą władza przymknęła oko.

Moskwa zdławiła opór niepokornego miasta bez błogosławieństwa nieposłusznego metropolity. Armia Iwana Groźnego spaliła je niemal do szczętu i wymordowała większość jego mieszkańców. Od tamtej pory słynący z mieszczańskich swobód Nowogród Wielki już nigdy nie odzyskał dawnej świetności. Nikt poważny nie kwestionował takiego przebiegu wydarzeń od co najmniej dwustu lat. Mimo to urzędnicze doświadczenie słusznie podpowiedziało Rudienii, że bezpieczniej tematu nie drążyć.

Za drążenie zabrał się jednak internetowy komentariat. Historyczne ujawnienia Władimira Władimirowicza wywołały zdziwienie nawet w spolegliwych wobec władzy mediach. W związku z tym Putin postanowił sprecyzować stanowisko. Kilka dni później, podczas plenarnego posiedzenia Wschodniego Forum Ekonomicznego we Władywostoku, zapytany o przyczyny wątpliwości w sprawie przewin niesławnego oprycznika odpowiedział, że nie ma dowodów na to, że Skuratow kiedykolwiek był w Twerze. Przecież w drodze na Nowogród mógł po prostu przejechać obok Tweru.

Nowatorskie hipotezy Putina momentalnie odniesiono do bieżącej sytuacji w państwie. Powiadano więc, że jeśli władza rehabilituje pamięć Stalina, to następny w kolejce stoi Iwan Groźny z wiernym Malutą Skuratowem u boku. Zwracano uwagę, że Putin jako były kagiebista stara się wybielać Groźnego i Skuratowa, bo sam utożsamia się z opricznikami i władcami trzymającymi społeczeństwo w garści. To znów wskazywano na to, że Putin, podobnie jak Grozny, otacza się dawnymi wiernymi ochroniarzami i promuje ich na wysokie stanowiska.

eprasa.pl f748ab3a69

W 2016 roku, nie bez skandali i awantur, skrajnej monarchistycznej prawicy udało się postawić pomnik Iwana Groźnego w Orle. Wówczas potraktowano to jako samodzielną inicjatywę marginalnej grupy czernosecinnych oszołomów, na którą władza przymknęła oko. Rzecz miała miejsce na prowincji, a raz na jakiś czas można przecież zrobić przyjazny gest w kierunku ultrakonserwatystów. Po pierwsze dlatego, że często okazują się przydatni, po drugie po to, żeby mieli poczucie, że są doceniani, i nie stwarzali problemów.

Mimo wszystko uważniejszym obserwatorom z pewnością już wtedy nie umknął fakt, że na oficjalnym poziomie ideologii państwa postać Iwan Groźnego ulega pewnej, nazwijmy to eufemistycznie, reinterpretacji. W ostatnich latach propagandowy rosyjski mainstream coraz odważniej przejmuje elementy dyskursu czarnosecinnych i neostalinowskich fanatyków. Już nie tylko naczelny Wielkorus kinematografii Nikita Michałkow czy nacjonalista i neostalinista Aleksandr Prochanow do spółki z kilkoma telewizyjnymi krzykaczami z propagandowych *talk-show*, ale i sam Putin przemówił tym językiem.

Tysiąclecie na trzydziestolecie

Niespełna dwa tygodnie przed niefortunną przygodą twerskiego gubernatora i pouczeniem, które otrzymał od prezydenta, sąsiednia Ukraina obchodziła trzydziestolecie niepodległości. Przywrócenia niepodległości, a nie uzyskania – co podkreślano niejednokrotnie. Nie chodziło jednak o krótkie epizody istnienia przed wiekiem Ukraińskiej Republiki Ludowej czy Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. Rzecz dotyczyła ponadtysiącletnich dziejów Rusi.

W takim tonie prezydent Wołodymyr Zełenski wygłosił przemowę poprzedzającą największą paradę wojskową w dziejach kraju. Wykorzystując cały swój aktorski kunszt, zaczął z wysokiego pułapu. Współczesna ukraińska konstytucja ma zaledwie ćwierć wieku, ale zaporoska konstytucja Pilipa Orlika liczy ponad trzysta lat i jest najstarsza w Europie – oznajmił. Jej oryginalny tekst znajduje się teraz w soborze sofijskim zbudowanym w Kijowie ponad tysiąc lat temu – już w kolejnym zdaniu Zełenski dokopał się do głębin historii. Współczesna ukraińska hrywna, na której wydrukowano oblicze kniazia Włodzimierza, jest w obrocie od dwudziestu pięciu lat, ale tak naprawdę nad Dnieprem hrywien używano już przed tysiącem lat. Ukraiński tryzub również ma ponad tysiąc lat. I ukraińskie wojsko liczy grubo ponad tysiąc lat, jeśli brać pod uwagę jego historię od czasów kniaziów Światosława i Włodzimierza. „Jesteśmy młodym państwem z tysiącletnią historią" – wygłosił z mównicy Zełenski, podkreślając bezpośredni związek współczesnej Ukrainy ze średniowieczną Rusią, po czym przypomniał, że to w Kijowie bije źródło wschod-

eprasa.pl f748ab3a69

nioeuropejskiego chrześcijaństwa i starosłowiańskiego języka, którego bezpośrednią kontynuacją jest współczesny język ukraiński

W tym miejscu przerwał przemowę i ogłosił ustanowienie nowego święta powstania państwa ukraińskiego, które będzie odbywać się „w każdą rocznicę chrztu Kijowskiej Rusi – Ukrainy". Po publicznym podpisaniu odpowiedniego rozporządzenia wrócił do opowieści o dziejach minionych. Ze sceniczną emfazą rozprawiał o kozackich hetmanach, działaczach Ukraińskiej Republiki Ludowej i bohaterach walk narodowowyzwoleńczych. Nie zapomniał o koniecznym w takich chwilach odwołaniu do martyrologii i świętych ofiar złożonych na ołtarzu ojczyzny, sprytnie unikając przy tym wymówienia nazwy UPA i nazwiska Stepana Bandery.

Wreszcie Zełenski odniósł się do Rosji oraz jej aktualnej polityki historycznej i kulturalnej. „Nigdy i nikomu nie oddamy nawet najmniejszego kamyka naszej historii. Nie pozwolimy okupować ani jednej strony naszej historii, anektować naszych pisarzy, naszych naukowców" – zagrzmiał. Przypomniał zaraz o zwycięstwie nad faszyzmem, ukraińskich żołnierzach Armii Czerwonej i charkowskich czołgach T-34. Następnie gładko przeszedł do snucia wizji przyszłości. Opowiadał o nowej armii i budowie nowej floty, partnerstwie z NATO, o nowych drogach, przedszkolach, szkołach i szpitalach. O systemie kontroli nad władzą, ambicjach unijnych, sukcesach dyplomacji. O jedności narodu, o wspólnocie regionów – ich ukraińskojęzycznych i rosyjskojęzycznych mieszkańcach, o cerkwiach, meczetach i synagogach. O wielokulturowości, demokracji i tolerancji. Wymieniając po kolei wszystkie mniejszości i rdzenne narody Ukrainy, nie przypadkiem zaczął od Tatarów krymskich i Karaimów. Potem niemal jednym tchem wymienił pozostałe, włącznie z Rosjanami.

Ogólnie można by wzruszyć ramionami i stwierdzić, że w zasadzie Zełenski powtórzył cały repertuar argumentów ukraińsko-rosyjskiej wojny symbolicznej, która toczy się od dawna i zdawała się wyczerpać potencjał, dopóki Rosja nie anektowała Krymu i nie zaatakowała Donbasu. Zełenski w dużej części przemowy ewidentnie pił do niedawnego artykułu Putina *O historycznej jedności Rosjan i Ukraińców* (*Ob istoriczeskom jedinstwie ruskich i ukraincow*). Ów długi, ciężkawy tekst można w zasadzie sprowadzić do tezy zawartej w tytule: Rosjanie i Ukraińcy to jeden lud (*narod*).

Warto zwrócić uwagę, że Zełenski jest bodaj pierwszym prezydentem, który w tak obcesowy sposób wytacza argument prawa do spuścizny po „Rusi Kijowskiej". Nie wynika to z jego szczególnej odwagi, zamiłowania do historii czy nacjonalistycznych ciągot. Zełenski doszedł do władzy, będąc człowiekiem pozbawionym ambicji stania się ojcem nowej ukraińskiej idei. W trakcie kampanii wyborczej powtarzał mantrę o szczęściu, bogactwie, przerwaniu ognia na wschodzie i nastaniu pokoju. Po dwóch latach wojennej i informacyjnej presji ze strony Moskwy bardzo zmienił swój wizerunek.

eprasa.pl f748ab3a69

Na Surkowa Arestowicz

Przez długie lata za jednego z najbardziej wpływowych konstruktorów ideologii putinowskiej Rosji uchodził Władisław Surkow. Zdolny karierowicz, niezbyt udany pisarz, błyskotliwy sztukmistrz ponowoczesnej propagandy. Człowiek znakomicie wyczuwający siłę popkultury i ducha postmoderny. Jego największym sukcesem najprawdopodobniej pozostanie wprowadzenie w 2005 roku w obieg pojęcia „suwerennej demokracji". Wolny wybór, w tym również polityczny, określił jako iluzję, na której opiera się współczesna demokracja liberalna i konsumpcjonistyczny styl życia. W 2008 roku tuż przed jednokadencyjnym przejęciem prezydentury przez Dmitrija Miedwiediewa „suwerenna demokracja" w praktyce wypadła z użycia, ale dyskusja, którą toczono wokół niej, uczyniła Surkowa dość popularną postacią również poza granicami Rosji.

Przypisuje mu się też wymyślenie konceptu Noworosji i ideologiczne kuglarstwo w Donbasie. Ten projekt Surkowa spalił jednak na panewce. Mimo to starał się nie tracić pozycji głównego państwowego ideologa. W opublikowanym na początku 2019 roku artykule *Długotrwałe państwo Putina* (*Dołogoje gosudarstwo Putina*) Surkow dowodził między innymi istnienia „głębinowego ludu" rosyjskiego, który objawia istnienie i wolę w niemal metafizycznej relacji z Władimirem Putinem.

Długotrwałe państwo Putina miejscami brzmi jak wygładzone i ugrzecznione wypisy z książki *Samodzierżawie ducha* Ioanna Snyczewa. Mówiąc w daleko idącym skrócie, Snyczew uważał, że kolektywny lud rosyjski i państwo zlewają się ze sobą w sakralnej figurze władcy. Pierwszym w dziejach Rosji prawdziwym carem-kosmokratorem miał być Iwan Groźny. Dzięki „anielskim zastępom" oprycznników Groźny zdławił bojarską opozycję zagrażającą uświęconej jedności ludu i państwa. W ten sposób stworzył na nowo ziemski ład, wchodząc jednocześnie w rolę jego wyraziciela, strażnika i pośrednika ludu z Bogiem. To właśnie w sakralnej postaci Iwana Groźnego, cara-kosmokratora, państwo i władca po raz pierwszy połączyli się w mistyczną całość.

W 2019 roku Surkow twierdził, że system polityczno-społeczny, który stworzył Putin, dopiero nabiera rozpędu, jego trwanie będzie długie, poparcie narodu wysokie, zaś apogeum system ten osiągnie w bliżej nieokreślonej przyszłości. Po ideowym niewypale w Donbasie, bełkotliwej próbie ratowania pozycji wielkiego ideologa, a przede wszystkim przegranej rywalizacji wewnątrz obozu władzy, autor koncepcji „suwerennej demokracji" trafił na boczny tor. Tymczasem na polu symbolicznych zmagań o pierwszeństwo na Rusi pojawiła się nowa ciekawa postać w Ukrainie.

Zdaniem większości ukraińskich komentatorów za treścią wystąpienia Zełenskiego może stać niejaki Aleksiej Arestowicz. Z pewnością nie on napisał mowę prezydenc-

eprasa.pl f748ab3a69

ką – całkiem możliwe, że Zełenski jako doświadczony producent telewizyjny, aktor i scenarzysta zrobił to sam – ale i tak wybrzmiały w niej najważniejsze tezy, które od jakiegoś czasu Arestowicz powtarza w wywiadach i publicystycznych *talk-show*. Rzecz dotyczy w szczególności powtórzonej przez Zełenskiego frazy: „Ruś – Ukraina".

Arestowicz urodził się w Gruzji w czasach późnego Breżniewa. Pochodzi z rosyjskojęzycznej rodziny o korzeniach białorusko-polskich. Język ukraiński opanował biegle jako dojrzały człowiek. Do niedawna mieszkał w Odessie. Próbował różnych życiowych ścieżek. Studiował biologię. Skończył odeską uczelnię wojsk lądowych. Do 2005 roku służył w wojskach rozpoznania, skąd odszedł w stopniu majora. Zagrał kilka ról w teatrach i kabaretach, występował w *reality show*. Pracował w agencji produkcji filmowej.

Popularność zdobył dzięki aktywności blogerskiej i zasięgom na YouTubie, które udało mu się zbudować w ciągu kilku ostatnich lat. W trakcie walk o Donbas zaciągnął się jako ochotnik, ale po kilku miesiącach wrócił z frontu i skoncentrował się na aktywności medialnej. Jeszcze przed wybuchem wojny dość szczegółowo przewidział, jak będzie przebiegać zajęcie Krymu przez Rosjan. Dzięki temu po 2014 roku zaczęto go zapraszać do rozmów i wywiadów jako eksperta wojskowego. Z bricoleurską fantazją żonglował wojskową terminologią, psychologicznym i filozoficznym żargonem okraszonym autorskimi interpretacjami historii i polityki. Poza występami w internecie i mediach zajmuje się coachingiem, prowadził seminaria psychologiczne, szkolenia liderskie, kursy świadomego czytania itp.

Arestowicz umiejętnie żywi się wzbudzaniem kontrowersji. W opinii jednych jest sprytnym manipulantem. Mistrzem gotowania ideologicznej zupy na gwoździu. Sprawnie i w prosty sposób łączy zasłyszane i przeczytane myśli, po czym sprzedaje je jako własne. Inni uważają go za jednego z najbardziej kreatywnych producentów idei postmajdanowej Ukrainy. Czego by o nim nie mówić, niewątpliwie jest skuteczny w promowaniu idei i pomysłów, a przede wszystkim samego siebie. Potrafił przebić się z poziomu jednego z wielu youtube'owych gadaczy do pozycji uznanego medialnego eksperta od wojskowości i propagandowej psychomanipulacji. Wreszcie udało mu się trafić do szerokiej grupy współpracowników kancelarii prezydenta Ukrainy, gdzie dobrze wpasował się w ekipę niedawnego komika i showmana Zełenskiego.

Aktualnie pełni funkcję rzecznika ukraińskiej delegacji trójstronnej grupy kontaktowej do spraw pokojowego uregulowania sytuacji na wschodzie Ukrainy. Jest również doradcą szefa kancelarii prezydenta Andrija Jermaka w sprawach polityki informacyjnej. Co ciekawe, jeszcze niedawno Arestowicz sugerował możliwą zakulisową działalność Jermaka na rzecz Rosji. Ale po znalezieniu sobie miejsca wokół ludzi zajmujących najwyższe stanowiska w państwie zmienił zdanie. Nie zrezygnował z roli medialnego komentatora politycznego. Zdaniem krytyków, pod pozora-

eprasa.pl f748ab3a69

mi obiektywnych ekspertyz zajmuje się teraz głównie polerowaniem wizerunku Zełenskiego i jego administracji.

Historyczny komiks o Europie Wschodniej?

Jak wiele atramentu nie poświęcilibyśmy na teoretyzowanie o tym, czym jest tożsamość, to w praktyce jej określenie zawsze wymaga odpowiedzi na dwa proste pytania: kim jestem i kim nie jestem. Współczesne pokolenie dojrzałych ukraińskich trzydziestolatków nie pamięta życia we wspólnym związkowym państwie, którego stolica znajdowała się w Moskwie. Namolne wmawianie Ukraińcom, że różnią się od Rosjan tylko powierzchownymi szczegółami, przynosi odwrotny skutek i skłania ich do szukania i cementowania różnic.

Zgodnie z wynikami badań przeprowadzonych w lipcu 2021 roku około 40 procent mieszkańców Ukrainy wciąż uważa, że Ukraińcy i Rosjanie to jeden lud (*narod*) wywodzący się ze wspólnej przestrzeni kulturowej i historycznej. Nie musi to automatycznie oznaczać chęci połączenia obydwu państw. Ponad połowa ukraińskiego społeczeństwa sądzi jednak, że Ukraińcy i Rosjanie to dwa zupełnie różne narody, a socjologiczny trend wskazuje, że ten odsetek będzie wzrastał. Ukraińcy są znacznie przychylniej (niż przed 2014 rokiem) nastawieni do akcesji unijnej (54 procent) i wejścia do NATO (48 procent). Tu również trend jest wzrastający. Nie należy przy okazji zapominać, że większość ukraińskich żołnierzy siedzących w okopach Donbasu to rosyjskojęzyczni mieszkańcy wschodniej i środkowej Ukrainy. Wśród nich są również tacy, którzy uważają się za etnicznych Rosjan, mimo to na swoich północno-wschodnich sąsiadów patrzą z perspektywy celownika automatu.

W tych warunkach narodowo-demokratyczny wariant tożsamości realizowany w czasach prezydentury Petra Poroszenki okazał się niewystarczająco efektywny. Wielu obywateli Ukrainy, zwłaszcza z rosyjskojęzycznego południa i wschodu kraju, nie potrafi odnaleźć ukraińskości opartej na modelu, nazwijmy go umownie, galicyjsko-wołyńskim. Oczywiście przyczyn, które spowodowały porażkę wyborczą Poroszenki, jest znacznie więcej i prawdopodobnie polityka tożsamościowa nie była najważniejszą z nich. Krytycy Poroszenki słusznie zauważają, że w haśle jego prezydentury „Armia – Język – Wiara" zdecydowanie zabrakło co najmniej dwóch innych fraz, które byłyby traktowane poważnie. To systemowa walka z korupcją i realne formy gospodarcze.

Pomysł odwołania się do „Rusi Kijowskiej" w budowaniu szerokiej ukraińskiej tożsamości nie jest niczym nowym. Faktycznie jest to kontynuacja ukraińskiej idei narodowej sięgającej XIX wieku. „Ruś Kijowska" wbrew pozorom nie jest oryginalną nazwą historyczną. Paradoksem jest to, że właściwie jest wymysłem nadwornych

eprasa.pl f748ab3a69

rosyjskich historyków dowodzących odwiecznych praw imperium Romanowów do władania Ukrainą. Badacze dziejów w pocie czoła mnożyli nazwy rozmaitych ruskich księstw rządzonych przez dynastię Rurykowiczów, którzy ostatecznie stworzyli centrum władzy w Moskwie. Tutaj pod rządami Romanowów zjednoczona Ruś, podbijając europejskie i azjatyckie prowincje, zamieniła się w imperium.

Mychajło Hruszewski, urodzony w Chełmie ukraiński historyk i jeden z twórców nowoczesnej idei ukraińskiej, zazwyczaj używał nazwy Państwo Kijowskie albo po prostu Ruś. To on na przełomie XIX i XX wieku bodaj jako pierwszy użył też terminu „Ruś – Ukraina". Z kolei radziecka historiografia posługiwała się najczęściej mglistym terminem „dawna Ruś" (*driewniaja Rus'*). W końcowym okresie istnienia ZSRR ukraińscy historycy przechwycili rosyjską nazwę Ruś Kijowska i nasycili ją nowym znaczeniem, podkreślającym pierwszeństwo historyczne ukraińskiego Kijowa nad rosyjską Moskwą.

Kolejna runda walki o starszeństwo między Kijowem i Moskwą odbyła się w schyłkowym ZSRR. W 1988 roku emocjonalna dyskusja na temat tysiąclecia chrztu Rusi, możliwa dzięki głasnosti i ogólnemu rozkładowi aparatu kontroli, odbyła się w kręgach narodowo zorientowanej inteligencji ukraińskiej czytającej samizdat i obeznanej z koncepcjami Mychajła Hruszewskiego. Spory o to, czy pod koniec X wieku kniaź Włodzimierz przyjął chrzest w imieniu Ukrainy czy Rosji, mało interesowały skoncentrowane na zupełnie innych sprawach społeczeństwo ZSRR.

Na początku trzeciej dekady XXI wieku koncepcja „Rusi – Ukrainy" powróciła jako inkluzywna idea tożsamości ukraińskiej. Można nasycać ją różnymi treściami, które w danym momencie okażą się przydatne. Jej zwolennicy uważają, że każdy, kto chce, może się z nią identyfikować – karpacki Hucuł, lwowianin, rosyjskojęzyczny mieszkaniec Odessy albo Charkowa, etniczny Rosjanin z Donbasu. Historia Rusi sprzed tysiąca lat nie budzi specjalnych kontrowersji.

Targowiska i złote kopuły dawnego Kijowa, wojowie drużyny Światosława gromiący stepowych koczowników i zdobywający naddunajskie ziemie, wreszcie zanurzający się w chrzcielnicy Włodzimierz to obrazki z historycznego komiksu. Wszyscy mogą poczuć się równoprawnymi potomkami mitycznych Rusów z bylinnej opowieści. Bez względu na przynależność etniczną, wyznawane poglądy i używany na co dzień język. Nie ma tutaj problemów z trudną do sklejenia pamięcią zbiorową, oceną zachodnio-ukraińskiej UPA i Stepana Bandery, nie mówiąc już o Szuchewyczu czy Konowalcu.

A przy tym to coś więcej niż pole akademickiego sporu o prawo do własności początków Rusi. Arestowicz tłumaczy to w prosty sposób. Problem Ukrainy kryje się w jej poczuciu niedowartościowania. Ukraina powinna wreszcie przestać ustawiać się w roli petenta domagającego się uznania. Niczego nie musi uzasadniać. Nie

eprasa.pl f748ab3a69

tylko jest starszą siostrą w relacjach z Rosją, ale tworzy odrębną od rosyjskiej formację cywilizacyjną. Problem ze zrozumieniem tego faktu leży, zdaniem Arestowicza, w języku.

Na swoje nieszczęście, Ukraina dała sobie odebrać należącą do niej historyczną nazwę. Dopóki w pełni nie uświadomi sobie, że to ona jest jedyną prawdziwą Rusią, dopóty będzie trwało jej poczucie niższości i skłonność części społeczeństwa do utożsamiania się z Rosją, która przywłaszczyła sobie nie tylko nazwę, ale całą historię Ukrainy. „Łże-Ruś", Moskwę, demaskuje ciągnące się za nią od wieków ideowe i mentalne dziedzictwo Złotej Ordy. Tymczasem prawdziwa Ruś to formacja *stricte* europejska. Powstała w wyniku kulturowego spotkania skandynawskiej północy ze wschodnioeuropejskimi plemionami słowiańskimi. Ruś przyjęła chrzest z rąk Greków, nosicieli formatywnej dla Europy cywilizacji śródziemnomorskiej.

Nowoczesna „ruskość" wymaga wyboru cywilizacyjnego opartego na normach i wartościach, z których wynikają zasady praw człowieka, umowy społecznej, poszanowanie prawa własności, wolnego wyboru itp. Religia, pochodzenie etniczne czy narodowe są istotne, ale nie przesądzające. Jeśli Rosja, czy jak lubi podkreślać Arestowicz, Moskowia, zechce dołączyć do tego świata, to oczywiście może to zrobić. I uznać się – zgodnie z historycznymi faktami – za odgałęzienie wschodnioeuropejskiego centrum cywilizacyjnego znajdującego się w Kijowie. Współczesne państwo ukraińskie powinno zatem dokonać rebrandingu i w pierwszej kolejności zmienić nazwę na „Ruś – Ukraina".

Na polu symbolicznych zmagań o pierwszeństwo na Rusi pojawiła się nowa ciekawa postać w Ukrainie – niejaki Aleksiej Arestowicz.

Propozycja zmiany nazwy państwa momentalnie odbiła się głośnym echem. Niektórzy ze zdziwienia zrobili wielkie oczy, inni nazwali to czystym populizmem. Byli również tacy, którzy ze śmiechem gratulowali Arestowiczowi udanego trollowania Rosji. W toczącej się wymianie komentarzy przeważa opinia, że odremontowana idea „Rusi – Ukrainy" ma spory potencjał, ale postulując zmianę nazwy państwa, Arestowicz mocno się zagalopował. Ówczesny przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy Dmytro Razumkow stwierdził, że Arestowicz powinien wreszcie zacząć zachowywać się poważnie, zamiast szukać na siłę popularności.

Tymczasem Arestowicz nie przestaje snuć wizji świetlanej przyszłości, która czeka „Ruś – Ukrainę". Zrozumiawszy swoją przeszło tysiącletnią historię, odrzuciwszy kompleksy, „Ruś – Ukraina" może rozpocząć marsz ku wysokotechnologicznej, cyfrowej przyszłości. Napomyka przy tym, że zahibernowanie społeczeństwa ukraińskiego w systemie radzieckim i późniejszy chaos początków państwowości pozwoliły mu uniknąć ideologicznych mielizn, na których osiada Zachód – mię-

eprasa.pl f748ab3a69

dzy innymi mylenia tolerancji i szacunku dla odmienności ze skrajnym multikulturalizmem, neomarksizmem czy przemocą symboliczną uprawianą przez radykalną lewicę. Etniczny nacjonalizm uważa z kolei za szkodliwy anachronizm utrudniający integrację społeczeństwa.

Jeśli na moment odstawimy historyczne dekoracje, okaże się, że całe nowatorstwo koncepcji „Rusi –Ukrainy" jest w istocie próbą nasycenia form i symboli wyobrażonej Rusi umiarkowanie konserwatywnymi ideami liberalnymi. Dzieje się to w chwili, gdy administracja Joego Bidena przy wszystkich swoich potknięciach, ideologicznych aberracjach, wizerunkowej katastrofie w Afganistanie, głosi konieczność konsolidowania wspólnoty euroatlantyckiej i zresetowania modelu „wolnego świata" w opozycji do szeroko pojętych autorytarnych reżimów. Opowieść o „Rusi – Ukrainie" można też rozumieć jako kolejną deklarację akcesji do przeformułowującego się świata zachodniego. I pewnie również z tego powodu Zełenski ochoczo podchwycił ją jako ideologiczne oparcie swoich rządów.

Arestowicz poczuł się w centrum uwagi jak ryba w wodzie. Zadowolony z siebie hula na internetowych kanałach i w programach telewizyjnych. Udziela wywiadów, przekonuje do swoich racji, wdaje się w potyczki słowne już nie tylko z blogerami, dziennikarzami czy galicyjskimi narodowcami, ale nawet z byłym ministrem spraw wewnętrznych, szarą eminencją pomajdanowej Ukrainy, Arsenem Awakowem. Zauważono go również w Moskwie. Flagowe programy propagandowe rosyjskiej telewizji zaczęły ustawiać go w roli jednego z naczelnych wrogów ideologicznych.

Putin – akuszer współczesnej ukraińskiej idei

Wejście Ukrainy do NATO czy Unii Europejskiej to oczywiście pieśń przyszłości, z pewnością dalekiej. Ale w manichejskich grach w konflikty cywilizacji Ukraina ma jednego naprawdę oddanego partnera. Stwierdzenie, że Putin zrobił dla powstania nowoczesnej ukraińskiej nacji politycznej więcej niż Hruszewski, Petlura i Bandera razem wzięci, kilka lat temu brzmiało jak złośliwe kpiny. Dziś można potraktować je całkiem poważnie. Indolencja rosyjskiej polityki symbolicznej wobec Ukrainy w ostatnich latach to temat na osobny, opasły tom.

Walka na symbole między Moskwą i Kijowem nie dotyczy dziś jedynie pierwszeństwa chrztu czy słusznej lokalizacji pomnika kniazia Włodzimierza. Putinowska Rosja również postrzega ją w kategoriach wyboru cywilizacyjnego. I konsekwentnie zanurza się w sowiecko-czarnosecinnej magmie. Pozornie nieistotne głupstwo, które Władimir Władimirowicz chlapnął, pouczając twerskiego gubernatora, a potem brnięcie w nie podczas forum Władywostoku to nie pierwszy taki przypadek. I pewnie nie ostatni.

eprasa.pl f748ab3a69

Mit Nowogrodu Wielkiego, zniszczonego przez armię Iwana Groźnego, ma dość długą tradycję w dziejach rosyjskiej historii idei. W czasach Katarzyny Wielkiej próbowano wpisać Nowogród Wielki w fasadową ideę rosyjskiego oświecenia. W XIX wieku Nowogród Wielki powrócił w marzeniach zapadników i rosyjskich liberałów ścierających się z wywołującymi ducha Iwana Groźnego ideologiami samodzierżawia. W końcu XX wieku Nowogród Wielki wypłynął jako historyczny dowód starszeństwa rosyjskiej demokracji nad imperialnym i sowieckim despotyzmem.

Wynurzenia Putina o Malucie Skuratowie mogłyby wskazywać na to, że aktualnie ideologią zajmują się już wyłącznie ociężali intelektualnie towarzysze z okolic Rosyjskiego Towarzystwa Wojenno-Historycznego albo ludzie pokroju metropolity pskowskiego Tichona (Gieorgija Szewkunowa). Tyle że i Putin, i otaczający go ludzie – byli tajniacy, ochroniarze i *siłowicy* – prawdopodobnie nie słuchają już żadnych doradców i mówią prosto z serca to, co naprawdę myślą. Ochoczo wychwalają więc Stalina, Iwana Groźnego i ich wiernych siepaczy, bo kto im zabroni? Ukraińska propaganda nie musi im przyprawiać karykaturalnej gęby oprycznickiej despotii. Rwą się do tego sami.

Rosja wciąż ma wielkie pieniądze na podkupywanie zagranicznych polityków, złoża naturalne, bombę atomową i gangsterską brawurę *siłowików*. Potrafi szantażować świat potencjalnymi wojnami i manipulacjami wokół eksportu surowców. Pustoszejący ideowo i intelektualnie system putinowski opuścił się jednak do poziomu stawiania plemiennych totemów Iwana Groźnego i Stalina. Czy wewnętrznie rozbałaganiona Ukraina będzie potrafiła w pełni z tego skorzystać? Nawet najbardziej błyskotliwe idee nie zastąpią realnych reform systemowych, zatrzymania korupcyjnego drenażu państwa i cynizmu oligarchiczno-politycznej elity. Ale to już jest temat na inny tekst.

Albert Jawłowski jest adiunktem w Katedrze Metod Badania Kultury Instytutu Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. Zajmował się badaniami terenowymi w Rosji, między innymi w Buriacji, Kraju Zabajkalskim, obwodzie irkuckim, na Ałtaju i w Jakucji. Zajmował się również badaniem i teoriami kultury. Jest autorem artykułów naukowych i popularnonaukowych, esejów, scenariuszy filmowych i telewizyjnych oraz książek, m.in. *Miasto biesów* (2020), *Milczący lama* (2016).

eprasa.pl f748ab3a69

Stany kwestii LGBT+

Radosław Korzycki

Waszyngton bacznie przygląda się temu, co w Warszawie dzieje się w kwestii praw osób LGBT+. Bez wątpienia wpłynie to na dalsze relacje polsko-amerykańskie. Wypada uporządkować to, co się dotąd wydarzyło.

Człowiekiem, który w polskiej debacie spowodował osobliwe i nieco dziwne napięcie, a u niektórych niekoniecznie zdrową ekscytację, jest Michael Carpenter. To absolwent Stanfordu z doktoratem z nauk politycznych obronionym na Berkeley, od wielu lat bardzo bliski współpracownik Joego Bidena, członek zarządu Penn Biden Center for Diplomacy and Global Engagement, wiceszef Pentagonu w rządzie Baracka Obamy, ostatnio nominowany na ambasadora przy OBWE, chociaż jeszcze niezatwierdzony przez senat. Carpentera łączy z Polską wiele. To Amerykanin polskiego pochodzenia, ma tu też rodzinę. Często jest zapraszany na odbywające się w naszym kraju międzynarodowe konferencje dotyczące spraw globalnych. Był stypendystą Fulbrighta w Polskiej Akademii Nauk, pracował między innymi w ambasadzie USA w Polsce.

Napięcie w polskim internecie zaczęło się od Roberta Mazurka. „Jak słyszę, nowym ambasadorem USA w Polsce ma być Mike Carpenter. Pan ambasador jest specjalistą od Europy Środkowo-Wschodniej, pracuje dla Bidena od dawna. Aha, ma męża i dwoje dzieci" – napisał na Twitterze dziennikarz RMF FM. Wpis został błyskawicznie usunięty, a sam redaktor tłumaczył, że pojawił się on na profilu omyłkowo. „A i tak bym usunął, jak wszystkie tweety nie o winie. Miłego wieczoru" – skomentował lakonicznie. Jednak machina spekulacji ruszyła. Michael Carpenter nie omieszkał jej skomentować. „Wow, ilu nowych followersów z Polski. Witam serdecznie" – skomentował na Twitterze Amerykanin. W następnym tweecie urzędnik postanowił przeciąć wszelkie doniesienia. „Jestem głęboko poruszony napływem z Polski wiadomości ze słowami wsparcia, pozdrowienia oraz ciepłych życzeń. Jednak plotka, że miałbym zostać ambasadorem nie jest prawdziwa. Mam zamiar kontynuować pracę nad wzmocnieniem relacji polsko-amerykańskich, ale nie na tym stanowisku" – napisał Carpenter. Dziś już wiemy, że na stanowisku szefa placówki USA przy OBWE w Wiedniu.

eprasa.pl f748ab3a69

***

Z dyplomatą rozmawiałem w weekend poprzedzający zeszłoroczne głosowanie Amerykanów, które skończyło się zwycięstwem Bidena. Ambasador zdradził wówczas, że w razie wygranej jego szefa jakość bilateralnej relacji między Polską a Stanami Zjednoczonymi nie ucierpi, a współpraca nie osłabnie. „Joe Biden zawsze działał na rzecz wzmocnienia dialogu między naszymi państwami. Polska i Polonia w jego sercu mają specjalne miejsce. Jego rząd będzie dążyć do wzmocnienia współpracy w zakresie bezpieczeństwa. Oczywiście kwestia praworządności wywołuje pewne napięcie. Były wiceprezydent wielokrotnie wypowiadał się na temat wagi rządów prawa. Ale jestem przekonany, że nasze więzi nie zostaną rozluźnione" – powiedział w wywiadzie opublikowanym na łamach „Dziennika Gazety Prawnej".

Po wyborach problem z dialogiem polsko-amerykańskim nieoczekiwanie ujawnił się tam, gdzie się go najmniej obawiano, czyli w Warszawie. Polskie władze były zszokowane rezultatem głosowania do tego stopnia, że na początku w ogóle go wypierały. „To media ogłosiły zwycięstwo Joego Bidena, nie ma jeszcze ostatecznych wyników, nie zakończono jeszcze liczenia głosów, więc takie oficjalne gratulacje byłyby po prostu przedwczesne" – powiedział w TVP Info prezydencki minister Andrzej Dera pięć dni po wyborach, kiedy dla Amerykanów i niemal reszty całego świata wszystko się już rozstrzygnęło. Polityk tłumaczył w ten sposób reakcję Andrzeja Dudy na wyniki wyborów w USA, która wiele osób zdziwiła. „Gratulacje dla Joe Bidena za udaną kampanię prezydencką" – napisał na Twitterze. „W oczekiwaniu na nominację Kolegium Elektorów Polska jest zdeterminowana, aby utrzymać wysoką jakość strategicznego sojuszu dla jeszcze silniejszego partnerstwa polsko-amerykańskiego" – dodał w kolejnym zdaniu. Tymczasem 6 stycznia 2021 roku, kiedy w trakcie certyfikowania przez senat wyników głosowania Kolegium Elektorskiego zwolennicy Donalda Trumpa siłą wdarli się na Kapitol, Andrzej Duda jednoznacznie nie potępił napastników oraz prowodyrów. „Wydarzenia w Waszyngtonie to wewnętrzna sprawa Stanów Zjednoczonych, które są państwem demokratycznym i praworządnym. Władza zależy od woli wyborców, a nad bezpieczeństwem państwa i obywateli czuwają powołane do tego służby. Polska wierzy w siłę amerykańskiej demokracji" – zatweetował prezydent. Można odnieść wrażenie, że polskie władze długo wypierały to, że ich amerykański patron przegrał w demokratycznych wyborach.

Dyplomacja ostatnich kilku miesięcy dowodzi, że Warszawa raczej z Ameryką Bidena nie chce mieć wiele wspólnego, a doradcy Jarosława Kaczyńskiego przekonują go, że to okres przejściowy i wkrótce powróci Trump albo trumpizm.

eprasa.pl f748ab3a69

***

Po części wynika to z tego, że nasza dyplomacja była pewna zwycięstwa Trumpa i w ogóle nie zabiegała o relacje z ówczesnym kandydatem Partii Demokratycznej Joem Bidenem. Jeden z pracujących na Kapitolu doradców demokratów powiedział mi w październiku 2021 roku, kiedy kampania w USA osiągała zenit, że nawet rząd Borisa Johnsona, zaprzyjaźnionego jak mało który przywódca z Donaldem Trumpem, szukał kontaktu ze sztabem Joego Bidena. Johnson uprawiał tradycyjną dyplomację, która bierze pod uwagę wszystkie możliwości. Dlatego też między innymi Johnson jest ostrożny w sprawie umowy handlowej z Waszyngtonem, bo wie, że demokraci z Kongresu są przeciwni wizji Donalda Trumpa. Tymczasem polski rząd w ogóle nie wyciągnął ręki do ludzi Bidena. Z kolei w obozie Zjednoczonej Prawicy usłyszałem wtedy, że jego politycy są zainteresowani współpracą z Polską niezależnie od tego, która administracja w USA rządzi. „Słyszymy, że projekt Trójmorza się rozpadnie bez wsparcia Waszyngtonu, ale to nieprawda. Ten projekt ma zasadnicze znaczenie dla inwestycji amerykańskich w regionie. Podobnie jest z polityką bezpieczeństwa. Amerykanie kierują się przede wszystkim swoim interesem narodowym, a nie sympatiami" – powiedział wówczas mój polski rozmówca. Ale dyplomacja ostatnich kilku miesięcy dowodzi, że Warszawa raczej z Ameryką Bidena nie chce mieć wiele wspólnego, a doradcy Jarosława Kaczyńskiego przekonują pryncypała, że to okres przejściowy i wkrótce wróci Trump albo trumpizm. Wspominał o tym Jarosław Gowin w wywiadzie opublikowanym w „Gazecie Wyborczej".

Za prezydentury Trumpa w relacjach polsko-amerykańskich nie wszystko wyglądało idealnie. Ambasador Georgette Mosbacher niejednokrotnie wprost upominała polskie władze, by odstąpiły od homofobicznego języka i nie próbowały ograniczać wolności mediów.

***

Wróćmy do Michaela Carpentera. Kiedy rozmawiałem z nim przed wyborami, zapytałem, jak rząd Bidena odniesie się do otwartej homofobii lansowanej przez niektórych polityków Prawa i Sprawiedliwości oraz homofobicznej retoryki używanej przez samego Andrzeja Dudę. Amerykański dyplomata stwierdził, że prawa człowieka to w demokracji fundamentalne sprawy:

– Sojusz Północnoatlantycki opiera się na poszanowaniu zasad demokratycznych, praw indywidualnych i praw mniejszości. Jest to zaznaczone w preambule do trak-

eprasa.pl f748ab3a69

tatu waszyngtońskiego z 1949 roku. Ten pakt to nie transakcja, tylko relacja oparta na wierze we wspólne wartości. I musimy im być dalej wierni. Odpowiadając już konkretnie na pana pytanie: zarówno Polska, jak i Stany Zjednoczone mają problemy z praworządnością, do których muszą się odnieść i z nimi uporać. W Ameryce przez ostatnie cztery lata miała miejsce stopniowa erozja demokratycznych pryncypiów. Wymiar sprawiedliwości i służby specjalne zostały upolitycznione. Dlatego i my, i wy mamy przed sobą w tej materii pracę do wykonania. Zapewniam, że to za jakiś czas przyniesie owoce. Chociażby w Białorusi, gdzie Polska i USA mają interes we wspieraniu demokracji ze względu na ochronę własnego bezpieczeństwa – stwierdził Carpenter.

Przypomnijmy, że we wrześniu 2021 roku kandydat demokratów na prezydenta USA odniósł się do wypowiedzi przewodniczącej Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen, która mówiła, że „strefy wolne od LGBT to strefy wolne od ludzkości, od wartości humanistycznych i nie ma dla nich miejsca w Unii Europejskiej". „Nie ma dla nich miejsca ani w UE, ani na świecie" – napisał Biden. Polskie media twierdziły wówczas, że za tymi słowami i ostrym potępieniem polskich władz tolerujących homofobię stał właśnie Carpenter.

***

Ale i za prezydentury Trumpa w relacjach polsko-amerykańskich nie wszystko wyglądało idealnie. Ambasador Georgette Mosbacher niejednokrotnie wprost upominała polskie władze, by odstąpiły od homofobicznego języka i nie próbowały ograniczać wolności mediów. Jeżeli w Białym Domu znowu zamieszka republikanin, czy to Donald Trump, czy ktoś przez niego wskazany, Amerykanie nie odstąpią od walki z homofobią. W apogeum kampanii przed zeszłorocznymi wyborami prezydenckimi w Polsce pisałem na łamach „Dziennika Gazety Prawnej", że sam Trump uznał czerwiec „miesiącem dumy LGBT" i oświadczył, że solidaryzuje się z ludźmi prześladowanymi na całym świecie ze względu na orientację seksualną.

Warto też przypomnieć, że jednym z najbliższych współpracowników Donalda Trumpa był Richard Grenell, gej i jeden ze zwolenników zacieśniania amerykańskiej współpracy z Polską i Węgrami, a przy okazji rozluźniania z Niemcami. W lutym 2019 roku, kiedy był on ambasadorem USA w Berlinie, zaprosił na spotkanie do swojej siedziby kilkunastu działaczy organizacji broniących praw osób homoseksualnych i transseksualnych z różnych krajów Europy, by omówić, jakie należy podjąć działania w kierunku wsparcia osób LGBT+. Z okazji 50. rocznicy wydarzeń w Stonewall ambasador Grenell wywiesił tęczową flagę na jednym maszcie z gwieździstym sztandarem, czyli flagą USA. To wywołało kontrowersje nawet w Depar-

eprasa.pl f748ab3a69

tamencie Stanu, bo Amerykanie są wrażliwi na łączenie swojego głównego symbolu patriotyzmu z czymkolwiek innym. Jednocześnie trumpowski resort dyplomacji zezwolił na wywieszanie flag społeczności LGBT+ w innych miejscach ambasad oraz mediach społecznościowych w okresie Pride Month oraz reprezentowanie rządu USA na organizowanych na całym świecie paradach czy marszach równości.

***

Kiedy Grenell został, chociaż na krótko, dyrektorem Wywiadu Narodowego, a jest to urząd w randze ministra, republikanie bliscy Trumpowi z dumą ogłosili światu, że to pierwszy wyoutowany gej na tak wysokim stanowisku w historii amerykańskiego rządu. Chcieli w ten sposób puścić oko do społeczności LGBT+ – trwa kampania wyborcza, w której każdy głos się liczy. Warszawa jakby zapomniała o tożsamości swojego waszyngtońskiego sojusznika, nazywając mniejszości seksualne „ideologią" – jak powiedział Andrzej Duda na wiecu w dolnośląskim Brzegu na kilka tygodni przed swoją reelekcją – „podobną do bolszewizmu".

Wówczas dwoje demokratycznych kongresmenów próbowało zablokować przyjazd Andrzeja Dudy do Waszyngtonu. Przewodniczący Komisji Spraw Zagranicznych Izby Reprezentantów Eliot L. Engel z Nowego Jorku napisał w oficjalnym oświadczeniu: „Zaproszenie polskiej głowy państwa do Białego Domu jest kolejnym przykładem na słabość Donalda Trumpa wobec autokratów. (…) Prezydent Duda utrwala wstrząsające homofobiczne stereotypy, które stoją w sprzeczności z prawami człowieka i wartościami, o jakie walczy Ameryka". W podobnym tonie wypowiedziała się kongresmenka Marcy Kaptur z Ohio, najdłużej zasiadająca w Izbie kobieta w historii. „Jako Amerykanka polskiego pochodzenia jestem zaniepokojona tym, że Donald Trump chce pomóc Andrzejowi Dudzie w reelekcji. (…) Najbardziej zasmucają mnie słowa, w jakich polski przywódca porównuje LGBT do komunizmu. To obraża ludzi, którzy go wybrali oraz wszystkich miłujących wolność" – napisała w oświadczeniu.

Amerykańskie zaangażowanie w walkę o prawa osób LGBT+ jest znacznie szersze niż prosta kalkulacja polityczna. W ubiegłym roku Ameryka obchodziła 50. rocznicę protestów społeczności LGBT+, które zaczęły się od aresztowań klientów w nowojorskim barze gejowskim. Za czasów Baracka Obamy budynek, w którym mieścił się Stonewall Inn, został wpisany na listę pomników dziedzictwa narodowego. Zawsze w czerwcu obchodzony jest Pride Month (miesiąc dumy) i odbywają się parady równości.

Amerykańska placówka w Warszawie 24 czerwca 2019 roku wywiesiła na swoim budynku od strony ulicy Pięknej cztery tęczowe flagi. „W związku z ogłoszeniem

eprasa.pl f748ab3a69

przez prezydenta Trumpa Miesiąca Dumy LGBT nasza ambasada przyłącza się do globalnej kampanii na rzecz dekryminalizacji homoseksualizmu" – napisali na oficjalnym profilu na Twitterze pracownicy. Kilku polskich polityków poczuło się dotkniętych. „W Polsce homoseksualizm nigdy chyba nie był karany, więc po co te flagi i do kogo ten przekaz?" – odpowiedział ambasadzie Krzysztof Bosak.

Kwestii praw osób LGBT+, z perspektywy Waszyngtonu, nie można sprowadzać tylko do tego, że jak nie ma fizycznej przemocy, to wszystko jest w porządku. Grenell od dawna angażuje się w emancypację osób homoseksualnych. W 2013 roku, na dwa lata przed wyrokiem Sądu Najwyższego uznającym równość małżeńską (*marriage equality*), czyli zrównanie w prawach małżeństw hetero- i homoseksualnych, dyplomata rozpoczął aktywny lobbing w tej sprawie w Waszyngtonie.

***

Niemalże cały amerykański establishment polityczny pozostaje zgodny, że prawa wywalczone w USA przez osoby homoseksualne są faktem i nic się w tej kwestii nie zmieni, a rolą Ameryki w ramach szerzenia wartości demokratycznych jest nie tylko tolerancja wobec osób LGBT+, ale także promowanie równości z innymi mniejszościami czy grupami etnicznymi.

W czerwcu 2020 roku federalny Sąd Najwyższy ogłosił wyrok w sprawie Bostock przeciwko hrabstwu Clayton w Georgii zabraniający zwalniania osób homoseksualnych i transpłciowych z pracy ze względu na ich orientację seksualną czy tożsamość płciową. Uzasadnienie werdyktu napisał ultrakonserwatywny sędzia Neil Gorsuch, który na ławie orzeczniczej najważniejszego sądu w Ameryce znalazł się z nominacji Donalda Trumpa. Prawnik oświadczył, że ochrona osób LGBT+ podchodzi pod ustawę o prawach obywatelskich z 1964 roku. Co więcej, piszący zdanie odrębne inny trumpowski sędzia Brett Kavanaugh nie zanegował w ogóle kwestii ochrony praw gejów i lesbijek, tylko stwierdził, że Sąd Najwyższy nie powinien w ogóle zabierać w tej sprawie głosu, bo wchodzi w kompetencje władzy ustawodawczej.

Radosław Korzycki jest dziennikarzem.

eprasa.pl f748ab3a69

Człowiek Wschodu, a może bardziej Północy?

Z Tomaszem Kułakowskim, byłym reporterem Polsat News w Moskwie, rozmawia Małgorzata Nocuń

MAŁGORZATA NOCUŃ: Rosję można poznać, ale nie zrozumieć – ta wciąż powtarzana przez ekspertów fraza autorstwa Fiodora Tiutczewa niepomiernie mnie denerwuje. A czy Ciebie coś irytuje w kontekście wiedzy i pisania o tym kraju?

TOMASZ KUŁAKOWSKI: Rosja jest trudna do zdefiniowania, bo czym ona jest? Gdzie się kończy, a gdzie zaczyna? Przecież – nawiązując do żartu Władimira Putina – Rosja nie ma granic. Jedno jest pewne, nie można przejść wobec niej obojętnie. Zazwyczaj wywołuje ambiwalentne uczucia. Można ją od pierwszego wejrzenia pokochać lub znienawidzić, można pałać oboma tymi uczuciami jednocześnie i taka postawa, po spędzeniu tam siedmiu lat, jest mi najbliższa. Ten kraj to emocje, czasem gorętsze niż nasze. Rosja to wreszcie wdzięczny i niewdzięczny temat, bo można o niej napisać wszystko, a i tak mało kto wie, jak jest naprawdę. Weźmy za przykład prezydenta Władimira Putina. Czego o nim nie napisano? Był już przecież demokratą, liberałem, ale też dyktatorem czy nacjonalistą. Ma setki życiorysów! Słynne pytanie „*Who is Mr. Putin?*" wciąż pozostaje aktualne. Na przestrzeni lat denerwowało mnie, że każdy Polak jest ekspertem od Rosji, każdy polityk znad Wisły rozumie, co się dzieje nad Wołgą, i chętnie się o tym wypowie. Tak naprawdę Rosja interesuje garstkę Polaków, a jako że w większości jesteście to wy, drodzy czytelnicy, dlatego, cieszę się, że mogę udzielić tego wywiadu.

A jak jest z tymi lodami? Jedzą je Rosjanie w zimie?

Tak, potwierdzam, jedzą! Jednak muszę Cię rozczarować, nie zrobiłem o tym żadnego materiału telewizyjnego, choć widziałem ich wiele, bo to taki dziennikarski *evergreen*. Natomiast ja jadłem lody zimą i moje dzieci też. Po prostu to jeden z najlepszych sposobów na hartowanie gardła. Takie morsowanie jednej części ciała.

Spędziłeś w Rosji kilka lat, pracując jako korespondent Polsat News, na jakie informacje redakcja wyrażała zapotrzebowanie? Co relacjonowałeś najczęściej?

Rosja od wieków pobudza naszą wyobraźnię i jest tematem nośnym medial-

eprasa.pl f748ab3a69

nie, niestety rzadko w pozytywnym kontekście. Jako że media to przede wszystkim biznes, więc produkty telewizyjne muszą się dobrze sprzedawać, być atrakcyjnie opakowane, oddawać jak najwięcej emocji i wywoływać je u odbiorcy. Ponieważ najsilniej reagujemy na uczucie strachu, jego było najwięcej. Pojawiał się głównie pod postacią Władimira Putina, ale też rosyjskiej armii czy dużej spółki, która może nam zakręcić kurek z gazem. Mimo to było też dużo nadziei i oczekiwań na zmiany w Rosji. Nie brakowało tematów związanych z rosyjską opozycją, w Polsce bowiem liczymy na demokratyczną rewolucję w Rosji, nieustannie wieszcząc początek końca putinizmu.

Telewizja ma też bawić, więc często pojawiały się na antenie różne ciekawostki, może nie o lodach zimą, ale o niedźwiedziach na ulicach czy pijanych czołgistach jadących po wódkę. Istnieje umowna mapa stereotypów o Europie, która zmierza na Wschód. Brytyjczycy wywyższają się nad Francuzami, Francuzi nad Niemcami, Niemcy nad Polakami, a Polacy nad „Ruskimi". Często dowartościowujemy się tym, że „w Rosji jest jeszcze gorzej, bo więcej chleją i trzymają ich za mordę". Jest to w nas bardzo silnie ukorzenione, a stereotypy obalać jest trudniej, niż utrwalać.

Dzielę mój pobyt [Tomasz Kułakowski był korespondentem w Moskwie w latach 2012–2019 – przyp. red.] na dwa nierówne okresy: do aneksji Krymu i po niej, bo to była ideologiczna zmiana w odbiorze tego kraju. Mam na myśli państwo i ludzi, a nie tylko władze, które w Rosji „z reguły są złe". Po 2014 roku nie było miejsca na relacje czy materiały z Rosji o wydźwięku pozytywnym, gdyż nie mieściły się one w percepcji Rosji jako agresora. Ten odbiór ma też jednak związek z postępującą w owym czasie dalszą tabloidyzacją mediów.

Przeżyłem w Rosji niezwykle ciekawy czas. Wyjechałem do Moskwy w maju 2012 roku, po powrocie Putina na Kreml i największej fali protestów od upadku ZSRR, wydawało mi się, że wszystko, co najciekawsze, już za mną, a przede mną dziennikarska nuda. Aneksja Krymu wszystko odmieniła. To był dla mnie wstrząs, a relacjonowanie konfliktu w Donbasie z pogranicza rosyjsko-ukraińskiego było czasem, kiedy momentami bałem się o życie. Mocno też przeżyłem zabójstwo Borysa Niemcowa. Porównałbym te uczucia do śmierci kogoś bliskiego.

Jadąc do Rosji, byłem przekonany, że się na niej trochę „znam". Będąc tam, stwierdziłem, że kompletnie nic nie rozumiem i powinienem milczeć. Po jakimś czasie, gdy ta wiedza była coraz większa i z czasem ugruntowana, nie była ona potrzebna w pracy newsowej, bo tu kręciliśmy się wokół jednej fundamentalnej kwestii – „reakcji Kremla na wszystko, co ma miejsce na świecie". Setki razy odpowiadałem na pytanie prowadzącego lub prowadzącej serwis informacyjny: „Tomku, co na to Kreml?", bo zawsze Warszawę interesowała reakcja Moskwy, tak jakby na Kremlu o niczym innym nie myślano.

eprasa.pl f748ab3a69

Pamiętam Twój reportaż opublikowany przed laty w NEW, który opowiadał o wysadzeniu pomnika Stalina w Ukrainie. Miałeś czas i przestrzeń na realizację podobnych tematów w Rosji?

W Rosji miałem mało czasu na pisanie, bo jako dziennikarz newsowy byłem ciągle w trybie *standby*, czyli w nieustannej gotowości do pracy, co było jeszcze bardziej stresujące i stymulujące mózg niż sama praca. Nigdy nie było wiadomo, co i kiedy się wydarzy. Do tego był to okres, w którym pojawiło się na świecie troje moich dzieci, więc chciałem im poświęcać jak najwięcej czasu. Oprócz tekstów dla „Nowej Europy Wschodniej" i „Tygodnika Powszechnego" prowadziłem blog dla Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, co było ambitnym przedsięwzięciem.

Jest w tym pewna prawidłowość, że bardziej żyjesz tym, co na Wschodzie, gdy mieszkasz w Polsce. Widzę też pewien paradoks, ale z każdym rokiem spędzonym w Rosji coraz mniej się tym krajem interesowałem, aż doszło do wypalenia, zarówno dziennikarskiego, jak i związanego z tematyką Europy Wschodniej. A była ona moją wielką miłością, odkąd tylko w klasie maturalnej zacząłem oglądać *Szerokie tory* Basi Włodarczyk.

Czy zajmując się dziennikarstwem newsowym, ma się wrażenie, że „prawdziwsza Rosja umyka"?

Ma się wrażenie, że prawdziwe życie jest gdzie indziej, że kamera pokazuje tylko to, co można sfilmować, a w Rosji można sfilmować niewiele. Po aneksji Krymu dochodziło wręcz do dysonansu poznawczego. W telewizji mówiłem o Rosji prawie wyłącznie w negatywnym kontekście, po czym wyłączałem kamerę i wracałem do życia, do moich znajomych, których w ogóle nie interesowało, co się danego dnia wydarzyło, co powiedział Putin albo czy były jakieś manewry wojskowe. Teraz, będąc już ponad rok poza mediami, patrzę na to szerzej. Telewizja, tak jak inne media tradycyjne i społecznościowe, żyje po prostu w swojej bańce informacyjnej. Często tylko dla dziennikarzy pewne tematy są ważne. Rosjan nie interesuje, co mówi i robi Putin, bo on jest dla nich jak pogoda, po prostu jest i trzeba się do tego dostosować. Zimą ubrać cieplej, latem wziąć parasol, kiedy zapowiada się na deszcz.

Czy masz wrażenie, że to my dziennikarze sprawiamy, że Rosja kojarzy się naszemu społeczeństwu praktycznie wyłącznie z Putinem? Czy rzeczywiście istnieje oddolne zapotrzebowanie na taką właśnie informację?

W Rosji jest Putin i długo, długo nic. To jest fakt i stało się tak za sprawą jego celowego – choć w początkowych latach bardziej przypadkowego – działania. To kolektywny Putin, postać, a jednocześnie system polityczny. Rosjanie żyją swoim życiem i liczą tylko na to, że ta putinowska Rosja nie będzie pchać się do ich domów i zaglądać do portfeli. My, dziennikarze, staramy się opisywać zjawiska

eprasa.pl f748ab3a69

poza Kremlem, ale nie działamy w próżni, tylko pracujemy dla mediów, których głównym celem jest zarabianie pieniędzy, bądź też robimy podcasty i ambitne projekty poza głównym nurtem. Putin, jak już wspominałem, jest nośnym tematem. Wydaje się nam taki niebezpieczny, nieprzewidywalny, agresywny, ale z drugiej strony też władczy i silny, bo który z polityków nie chciałby mieć takiej władzy jak on? Czy podświadomie polski obywatel nie chciałby mieć silnego lidera, który rozwiązywałby za niego wszystkie problemy? Czy Polska nie leży jednak na Wschodzie?

Jakie miałeś wyobrażenie o swojej pracy i pobycie w Rosji, zanim tam dotarłeś?

Parafrazując Lecha Wałęsę, nie o takie dziennikarstwo walczyłem. Jechałem do Rosji, by obalać mity, walczyć ze stereotypami. Prawda jest jednak taka, że bardziej je utrwalałem, bo przecież ludzi pasjonuje słuchanie znanych piosenek. Wszyscy są ekspertami od Rosji i wiedzą, co knuje Putin. Na początku się obrażałem, wściekałem, wykłócałem z redakcją, z czasem odpuściłem. Praca w Rosji zbiegła się też z postępującą tabloidyzacją, komercjalizacją i polaryzacją mediów. Dziennikarstwo, jakiego się uczyłem na studiach i w pierwszych latach pracy, zaczynało się wynosić z mainstreamu.

Co do samego życia w Rosji, to nigdy nie byłem expatem mieszkającym w ekskluzywnym apartamencie na strzeżonym osiedlu. Mieszkałem we wschodniej Moskwie, gdzie obcokrajowców z Zachodu nie spotkasz na ulicy. Moje dzieci chodziły do zwykłych przedszkoli. Dlatego uważam, że poznałem Rosję. Rozumiem jej kod kulturowy, który zawiera się w języku, kulturze, kuchni, klimacie politycznym czy emocjach, bo Rosjanie kochają i nienawidzą wyjątkowo, a często droga od miłości do nienawiści jest bardzo krótka.

Jak to jest być dziennikarzem w Rosji?

Bezpiecznie być zagranicznym dziennikarzem z akredytacją MSZ. Ma to swoje minusy, bo jest się nieustannie inwigilowanym, chodzą za tobą przedstawiciele służb specjalnych, szczególnie podczas ważnych wydarzeń lub wyjazdów poza Moskwę. Trudno nawiązywać relacje, bo nie wiesz do końca, dlaczego spotkana osoba chce się z tobą zaprzyjaźnić. Jako korespondent czułem się samotny. Z drugiej strony, ten minus jest jednocześnie plusem, bo przecież inwigilacja służb sprawia, że masz poczucie bezpieczeństwa, wiesz, że służby nie dopuszczą, by zagranicznemu dziennikarzowi włos spadł z głowy, no może z wyjątkiem miejsc, do których pchasz się na własne życzenie, jak pogranicze rosyjsko-ukraińskie podczas wojny w Donbasie. Gdy grożono mi pobiciem czy wręcz likwidacją, naprawdę się bałem – o siebie, ale też o rodzinę, która przecież na co dzień była w Moskwie. Życie ludzkie w Rosji jest nic niewarte. Ale bycie dziennikarzem zagranicznym to i tak komfort

eprasa.pl f748ab3a69

nieporównywalny do bycia opozycyjnym dziennikarzem rosyjskim. Za nim nikt się nie wstawi, władza może zrobić, co chce. Dziennikarze zagraniczni są też potrzebni władzom rosyjskim. Mają przekazywać to, co jest w interesach Kremla, i najlepiej o nic innego nie pytać.

Jak wyglądały warunki Twojej pracy? Dziś większość z nas pracuje z domów, Ty byłeś prekursorem tego trendu, urządzając studio TV w swoim moskiewskim mieszkaniu.

Opowiem pewną scenę. Był rok 2014, najgorętsze wydarzenia związane z aneksją Krymu. W zasadzie nie schodziłem z anteny. Mieszkaliśmy w małym dwupokojowym mieszkaniu w chruszczowce we wschodnim Izmajłowie (dzielnica Moskwy), z czego salon z kuchnią pełnił funkcję studia telewizyjnego. Na szczęście miałem wtedy „tylko" jedno dziecko. Nogą szybko odgarniałem zabawki, rozstawiałem studio, żona uciszała córkę, a prasującą dwa metry ode mnie nianię prosiłem, by podczas łączenia na żywo nie puszczała pary z żelazka, bo to było słychać na antenie. Dla mnie praca zdalna to był chleb powszedni, ale brakowało kontaktu z ludźmi, czasami tygodniami nie wychodziłem z kamerą do ludzi, bo robiłem „bieżączkę", którą mógłbym robić z Warszawy. Po wielu latach na trudnym rosyjskim gruncie miałem dość odosobnienia, bycia samotnym wilkiem. W lipcu 2019 roku wróciłem do Polski również po to, by pójść do pracy, być wśród ludzi, po czym zaczęła się pandemia.

Jak oficjalna Rosja (rzecznicy prasowi, ministerstwa) traktują dziennikarzy z Polski, a jak tych z „Zachodu"? Słyszałam, że na najważniejsze briefingi nas się po prostu nie zaprasza.

Kiedyś podczas wydania specjalnego (po *exposé* ówczesnej premier Beaty Szydło w sejmie) padło ze studia Polsat News tradycyjne pytanie: „Co na to Kreml?". Odpowiedziałem, że reakcja Kremla jest mniej więcej taka sama, jak reakcja polskich władz na *exposé* premiera Słowenii, czyli nie ma żadnej reakcji. Mówię to po to, by pokazać dysproporcje ważności Rosji dla Polski i Polski dla Rosji. Nad Wisłą wydaje się nam, że jesteśmy przynajmniej regionalnym graczem, z którym Moskwa musi się liczyć. Tymczasem dla Rosji jesteśmy małym środkowoeuropejskim państewkiem, ale wyjątkowo upierdliwym, bo przez zaszłości historyczne zawsze mamy jakieś pretensje.

Zatem dla rosyjskich władz dziennikarz z Polski to nikt istotny. Wywiadów udziela się żurnalistom z USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Chin, Japonii, a także krajów „przyjaznych", ale nie korespondentom z Polski czy Słowenii. Jesteśmy mniej więcej w jednym koszyku. Władimir Putin lubi jednak zbierać dziennikarzy z różnych małych państewek, by udzielić im zbiorowego wywiadu, ale tylko dlatego, że akurat udaje się w podróż zagraniczną do danego kraju. Z ważnych briefingów mamy wstęp na dwa – grudniowy prezydenta i styczniowy ministra spraw zagranicznych. Na obu z nich udaje się zadać pytanie, ale zwy-

eprasa.pl f748ab3a69

kle dotyczy ono katastrofy smoleńskiej, więc odpowiedź i tak jest dobrze znana. Celem tych briefingów jest zbudowanie wrażenia, że rosyjskie władze są otwarte na media, nie mają nic do ukrycia i odpowiadają nawet na niewygodne pytania. To spektakl.

Rosjanie, ale to się dzieje już na całym świecie, traktują media instrumentalnie. Kiedy mają interes, by coś przekazać, znajdą mnie błyskawicznie, jeżeli dziennikarz chce się czegoś dowiedzieć, wali – jak to pisała Krystyna Kurczab-Redlich – „głową o mur Kremla". Innym wydarzeniem są manewry wojskowe, na które armia – niedostępna na co dzień, jej jednostek nie sfilmujesz nawet z ulicy – zaprasza z otwartymi ramionami. Zapala się wtedy czerwona lampka: sołdaci zapraszają mnie, bo chcą dać pokaz siły. I zawsze im to wychodzi, są w propagandzie świetni.

Jak przygotowywałeś się do pracy? Przeglądałeś newsy w agencjach, czytałeś gazety? A może rozmowy z „ciekawymi ludźmi w poszukiwaniu tematu"?

Byłem cały czas w pracy, miałem poustawiane w telefonie alarmy dotyczące pilnych wiadomości z rosyjskich agencji informacyjnych. Czerpałem z gazet i portali, największym wyzwaniem było znalezienie tematu, który można byłoby pokazać w telewizji, sfilmować bohatera, nagrać obie strony jakiegoś sporu. To był często szklany sufit i główna bariera w pracy.

Dostawałem telefony z redakcji o każdej porze dnia i nocy. Nie zapomnę, jak wyciszyłem telefon na noc i błogo spałem, kiedy zamordowano Borysa Niemcowa. Ten plus, że miałem siły do pracy. Rano wyspany ruszyłem w teren, by przez kilka dni z krótkimi przerwami na sen relacjonować wszystko to, co działo się po śmierci opozycjonisty. Dla takich chwil jest się korespondentem, choć mówimy przecież o tragicznej śmierci człowieka, z którym wielokrotnie rozmawiałem.

Po powrocie z Rosji powiedziałeś, że potrzebujesz „detoksu". Trwa nadal?

To ja chciałem wracać. Byłem zmęczony psychicznie charakterem pracy, tematyką i życiem w Rosji. Wypaliłem się zawodowo, choć wtedy nie do końca zdawałem sobie z tego sprawę. Byłem dogadany z Polsatem na pracę w Warszawie, ale podziękowano mi i zostałem na lodzie. Szukałem zatrudnienia intensywnie, rozpytując również w think tankach, NGO i innych miejscach, które zajmują się Wschodem. W jednym z nich usłyszałem, że analitycy od Rosji nie są potrzebni, bo jest ich pełno. Los najpierw wypchnął mnie z tematyki wschodniej. Moja wiedza przestała być komukolwiek potrzebna. Był to dla mnie szok. Znałem wielu dziennikarzy zachodnich – od USA po Japonię – dla których Moskwa to był nie tylko prestiż, ale też wejście na dziennikarskie wyżyny. Korespondenci zagraniczni wracali z rosyjskiej stolicy z tarczą, byli cenieni w swoich krajach. Ja poczu-

eprasa.pl f748ab3a69

łem się jak szrot sprowadzony z zagranicy, nikomu niepotrzebny, a do tego drogi w utrzymaniu, bo wracający z kontraktu zagranicznego. Wypadłem z dziennikarskiego obiegu i krajowej tematyki, więc trudno było znaleźć pracę w mediach. Nie mam jednak do nikogo żalu, dziś wiem, że dobrze się stało. Życie zmusiło mnie do porzucenia najpierw Europy Wschodniej, później dziennikarstwa. Dziś zajmuję się PR-em, współpracując również z jedną rosyjską firmą. Dobrze mi, bo mam kontakt z językiem rosyjskim, który jest dla mnie jednym z najpiękniejszych na świecie. Brakuje mi rozmów z ludźmi o życiu po rosyjsku.

Wciąż czytasz o Wschodzie?

W znacznie mniejszym stopniu, ale wciąż interesuje mnie geopolityka, a także coraz bardziej ekonomia i rosyjska giełda. Jednak to ułamek dawnego życia. Wciąż leczę się z rosyjskiej traumy, bo jest jeszcze wiele spraw, o których nie jestem gotów mówić publicznie, a dotyczą kulis dziennikarskiego życia i wszechobecnych służb specjalnych. Potrzebuję detoksu, straciłem na Wschodzie dużo krwi, jeszcze to wszystko się w głowie nie poukładało.

Jak zamykasz oczy i przenosisz się do Moskwy, co widzisz, co czujesz?

Widzę śnieg, czuję zimno. Zima trwa tam od końca października do połowy kwietnia. Nauczyłem się jeździć na nartach biegowych, gdy tylko kotłowało się w polskiej polityce i nikogo nie interesowała zagranica, śmigałem na biegówkach w izmajłowskim lesie. To jedno z najpiękniejszych wspomnień z Rosji.

Widzę też Kreml, bo najczęściej na niego patrzyłem. Koczowaliśmy z operatorem gdzieś w pobliżu, łącząc się z Warszawą co godzinę w serwisie informacyjnym. Było zimno jak diabli, od rzeki Moskwy wiał lodowaty wiatr, po policzkach ciekły łzy, nos szybko robił się czerwony, ale przynajmniej byłem w telewizji wiarygodny. W Rosji nauczyłem się też morsowania. By przetrwać cały dzień pracy na ulicy w mrozie, musiałem brać ekstremalnie lodowaty prysznic z samego rana, by zmusić organizm do wydzielania ciepła. I chyba stałem się człowiekiem Wschodu, a może bardziej Północy?

Tomasz Kułakowski od ponad roku jest PR-owcem i rzecznikiem prasowym Krynicy Vitamin SA, spółki giełdowej produkującej napoje. Ponad dekadę pracował w mediach głównego nurtu. W 2020 roku był reporterem *Czarno na Białym* w TVN24, w latach 2012–2019 korespondentem Polsat News w Moskwie, współpracował z „Tygodnikiem Powszechnym" , w latach 2008–2011 był dziennikarzem IAR Polskiego Radia. Współpracował z „Nową Europą Wschodnią" od początku istnienia pisma.

eprasa.pl f748ab3a69

REKLAMA

Podcasty
Nowej Europy
Wschodniej



KTO ZABIŁ HOMERA

Antyk żyje, albo żyć może i powinien. Przekonują o tym filologowie klasyczni z Uniwersytetu Jagiellońskiego i ich goście, przedstawiciele różnych dyscyplin nauki. Mówią o popkulturze, idei gościnności, a nawet o tym, że samo myślenie potrafi być prowokacją.

Zapraszamy do słuchania na **www.new.org.pl**
i kanałach podcastowych

STITCHER

eprasa.pl f748ab3a69

REKLAMA



Przejście Dialogu

***nowe miejsce spotkań i działań społecznych w centrum Wrocławia**



- 350 m² nowoczesnej przestrzeni, urządzonych w duchu less waste i z szacunkiem do historii miejsca, (Przejścia Świdnickiego);
- przestrzeń współdziałania instytucji miejskich i lokalnych organizacji pozarządowych na rzecz mieszkańców i mieszkanek Wrocławia;
- miejsce, w którym mieszkańcy mogą realizować własne działania społeczne i integracyjne.

W przestrzeni Przejścia Dialogu, każdy ma możliwość:

- otrzymać informacje o działaniach społecznych prowadzonych przez wrocławskie instytucje miejskie i organizacje pozarządowe;
- wziąć udział w wydarzeniach i warsztatach, które w praktyczny sposób pokażą, czym jest dialog, dlaczego jest ważny i jak rozmawiać;
- skorzystać z konsultacji w sprawach codziennych i urzędowych (działanie dla migrantów).

Zapraszamy do współpracy!
Więcej informacji:

www.pd.wcrs.pl
przejsciedialogu
przejsciedialogu@wcrs.pl
ul. Świdnicka 19 (Przejście Świdnickie)

Adres: ul. Świdnicka 19, 50-066, Wrocław, tel. 71 798 64 99
Operatorem miejsca jest Wrocławskie Centrum Rozwoju Społecznego.
Projekt jest finansowany ze środków Gminy Wrocław.

Wrocław miasto spotkań

wrocławskie centrum rozwoju społecznego

eprasa.pl f748ab3a69

REKLAMA

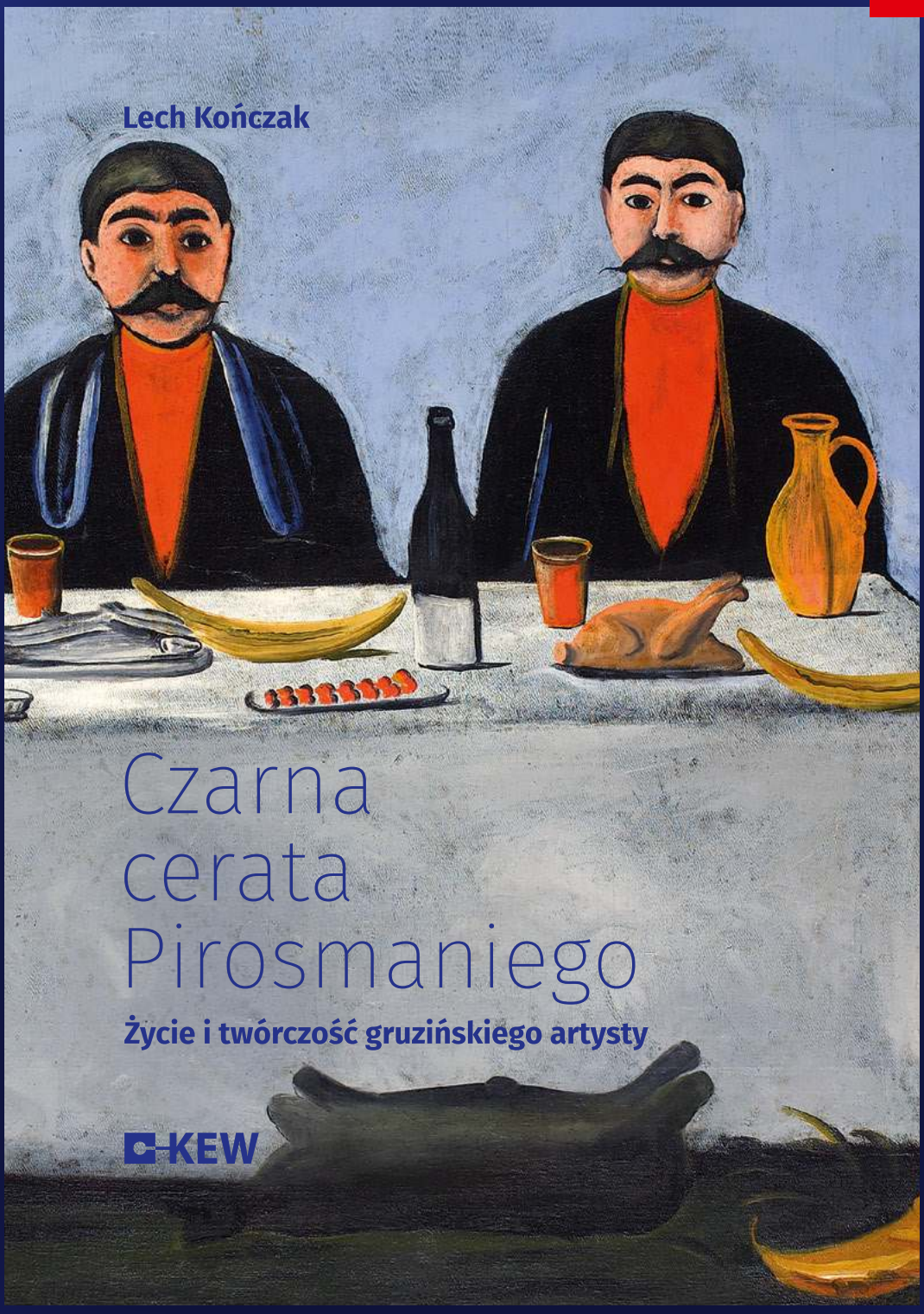

C-KEW
eprasa.pl f748ab3a69

REKLAMA

Yishai Sarid

Potwór pamięci

Nie musieliśmy was tu przywozić. Mogliśmy was przecież zabrać do Paryża, byście podziwiali te przepiękne ulice, albo do Włoch, gdzie jest najlepsze jedzenie na świecie, albo do Londynu, żeby iść do teatru, albo zobaczyć piramidy w Egipcie. A może na słodycze do Maroka, na mecz piłki nożnej w Barcelonie albo do Aten posłuchać ulicznych pieśniarzy śpiewających o złamanym sercu. Ale przywieźliśmy was właśnie tutaj, na miejsce mordu. Cel ten został najpewniej osiągnięty: zrozumieliście, że wszystko to kwestia siły, siły i jeszcze raz siły.

fragment książki



KEW
Kolegium Europy Wschodniej im. Anny Kowalik-Jedlińskiej we Wrocławiu
Nowa Europa Wschodnia
New Eastern Europe
eprasa.pl f748ab5a69

REKLAMA

Lidia Czukowska | *Zapiski o ANNIE ACHMATOWEJ* w TRZECH TOMACH



Książki dostępne w najlepszych polskich księgarniach i w sklepie internetowym **www.kew.org.pl**

20 LAT Kolegium Europy Wschodniej im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

CENTRUM POLSKO-ROSYJSKIEGO DIALOGU I POROZUMIENIA

W niezwykłych zapiskach
z rozmów dwóch wspaniałych kobiet,
chorych, biednych i nieszczęśliwych,
czuć smak i zapach życia codziennego
w kleszczach stalinowskiego terroru;
czuć niszczące działanie codziennej
trucizny, z którą zmagają się te kobiety,
myśląc o uwięzionych najbliższych.

Adam Michnik

eprasa.pl f748ab3a69

REKLAMA

KEW


STANI
SŁA
WÓW
20/XX
miasto
i architektura
(1918—1939)
ŻANNA KOMAR

REKLAMA

CZYM MOŻE NAS JESZCZE ZASKOCZYĆ?

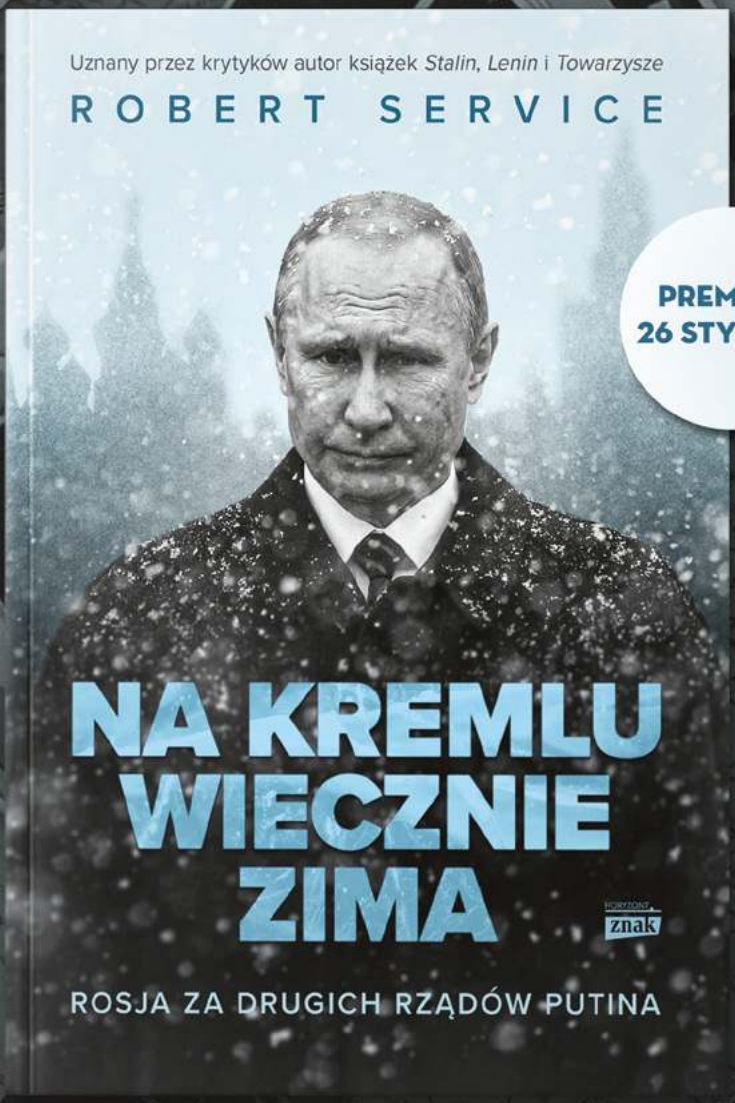

REKLAMA

Rok pełen „Znaków"!

W prenumeracie miesięcznika:

11 numerów pełnych wartościowych treści

dostęp do e-wydań

darmowa wysyłka



Zamów na: www.miesiecznik.znak.com.pl/prenumerata

eprasa.pl f748ab3a69

Melancholia nowego świata

Anna Łazar

Socrealizm pojawił się jako odpowiedź na wezwanie do skutecznej promocji nowego ładu społecznego w założeniach mającego być sprawiedliwszym niż to, co właśnie się rozpadło. W praktyce ład ten operował nawet większą przemocą niż carat i pozostałe imperia, od których niósł wyzwolenie.

Odkąd pamiętam Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki była przestrzenią otwartą na podejmowanie wyzwań współczesności i reagowania na najnowsze prądy intelektualne oraz refleksji nad historią sztuki i kultury wizualnej. Na przykład wystawa *Panoptykon. Architektura i teatr więzienia* w 2005 roku z udziałem światowego formatu artystów: Haruna Farockiego, Mony Hatoum, Rema Koolhaasa, Jarosława Kozakiewicza, duetu Langlands & Bell, Markusa Schinwalda, Artura Żmijewskiego i pracami Giovanniego Battisty Piranesiego, której kuratorką była Hanna Wróblewska, pozwoliła mi jak za sprawą iluminacji wreszcie zrozumieć, czym jest pojęcie foucaultowskiego dyskursu. Zobaczyłam wyraźnie, że to pewna wiązka przekonań manifestująca się w tekstach, rozmaitych decyzjach, uregulowaniach, obrazach i architekturze jako niezbędna i najlepsza, chociaż jest tylko jedną z wielu możliwych. Jej siła polega na tym, że najtrafniej odpowiada aktualnie panującemu *status quo*. To olśnienie nastało, kiedy oglądałam prace na temat społeczeństwa nadzoru, rozwijających się systemów inwigilacji oraz architektury więzienia. Dzisiaj środowisko sztuki współczesnej z ogromnym rozczarowaniem przyjmuje informację o nieprzedłużeniu kadencji Hanny Wróblewskiej, dyrektorki Zachęty. Jej ponadprzeciętne kompetencje zarówno w dziedzinie sztuki, otwartość i odwaga intelektualna oraz umiejętne prowadzenie tej instytucji sprawiły, że Zachęta była miejscem, gdzie toczyła się prawdziwa, a nie pozorowana dyskusja o historii i kulturze.

Pozory wyzwolenia

W ciąg ambitnych projektów wpisuje się również wystawa *Zimna rewolucja. Społeczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej wobec socrealizmu, 1948–1959*. Nie jest zatem, jak można się domyślać, prostym poszukiwaniem opowieści o tym, co było

eprasa.pl f748ab3a69



Archiwum Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki

Pracujące czy też zajęte samokształceniem, a nawet odpoczynkiem osoby zastąpić miały wizerunki władców i świętych w przestrzeni publicznej.

dawniej, gdy byliśmy zniewoleni. Pozostaje natomiast w intensywnym związku z naszą teraźniejszością. Socrealizm pojawił się jako odpowiedź na wezwanie do skutecznej promocji nowego ładu społecznego w założeniach mającego być sprawiedliwszym niż to, co właśnie się rozpadło. W praktyce ład ten operował nawet większą przemocą niż carat i pozostałe imperia, od których niósł wyzwolenie. Łagrowa polityka ZSRR dotknęła wszak najbardziej chłopów. To oni, uwierzywszy w obietnicę ziemi, nie chcieli jej potem oddać i musieli w potwornych warunkach pracować nie dość, że za darmo – to jeszcze bez jedzenia. Moja szkoła średnia przypadała na lata dziewięćdziesiąte. Wołomińskie liceum raczej nie było miejscem, gdzie mogłam pogadać na temat czytanych wówczas książek o łagrach i obozach koncentracyjnych, a pochłaniałam je pasjami. Ukształtowały we mnie obraz uciśnionej inteligencji, ludzi mądrych i wrażliwych, którzy dostali się w łapy brutalnego, prymitywnego systemu. Ludzie prości właściwie w tej opowieści nie istnieli, a jeśli się pojawiali, to na poziomie ogólnym lub anegdotycznym, a jeśli nawet nie anegdotycznym, to niezakorzeniającym się w mojej wyobraźni.

Sztuka zła?

Socrealizm jako sztuka oficjalna tego systemu od początku wydawał się sztuką złą, narzuconą przemocą, opowiadającą fałszywie i w sposób uproszczony. Co gorsza,

eprasa.pl f748ab3a69

nastąpił po okresie cenionej za nowatorstwo i nieskrępowaną wyobraźnię awangardy. Przez długi czas do głowy mi nie przychodziło, że wartością socrealizmu może być to, że jest to komunikat do ludzi o innej niż wykształcona w historii kultury wrażliwość. Po rozpadzie ZSRR zachodni turyści kupowali sobie prace w stylistyce socrealizmu i miało to zapewne nie do końca uświadomiony charakter triumfu. Po pierwsze, były to znaki upadłego imperium, potwora, który przestał być groźny, a z tego truchła reprezentowanego przez obraz można się było nieco naigrawać, a po drugie, co raczej przeczuwam, niż wiem, czuli się lepsi niż domniemani adresaci tej sztuki. Współczesne pokolenia artystek i artystów, aktywistów i aktywistek klimatycznych szuka języka inkluzywnego, komunikatywnego i perswazyjnego – czyż nie takie zadania stawiał sobie socrealizm? Inna sprawa, że pozostawał blisko akademizmu i w pewnym wydaniu dokonał tylko podmianki bohaterów – wszystko jak wcześniej, tylko zamiast Jezusa będzie Stalin. Socrealizm miał być narzędziem zmiany świadomości grupowej, czyli realizował te same zadania co awangarda, tyle że były lepiej dopasowane do odbiorców i zdecydowanie mniej nowatorskie.

Odkąd pamiętam Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki była przestrzenią otwartą na podejmowanie wyzwań współczesności i reagowania na najnowsze prądy intelektualne oraz refleksji nad historią sztuki i kultury wizualnej.

Hasła bez pokrycia

Wystawa *Zimna rewolucja* współfinansowana przez Czechy, Węgry, Polskę i Słowację w ramach Funduszu Wyszehradzkiego, tę ostatnią deskę ratunkową dla kultury współczesnej w czasach populizmu, powstała we współpracy bardzo wielu instytucji, wśród których kluczowe są (poza Zachętą – Narodową Galerią Sztuki) Muzeum Narodowe i Galeria Narodowa w Budapeszcie, Narodowe Archiwum Filmowe w Pradze i Słowacka Galeria Narodowa w Bratysławie. Mam nadzieję, że oznacza to, że wystawa trochę po Europie pojeździ i będzie ją można oglądać również w nowych aranżacjach. Tytuł *Zimna rewolucja* jest poetycki, stanowi też pewną ramę interpretacyjną. Kuratorka Joanna Kordjak i kurator Jérôme Bazin odnoszą się do znaczenia słowa rewolucja, które na polskim gruncie spopularyzowała książka Andrzeja Ledera *Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*. Termin ten ma odnosić się do szerokiej zmiany organizacji życia, która dokonała się w polu wszechogarniającej przemocy, eksterminacji ludności, przesiedleń, nędzy, załamania dotychczasowych struktur społecznych oraz własnościowych: „centrum

eprasa.pl f748ab3a69



Archiwum Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki

Przedmioty codziennego użytku powinny być tanie, produkowane masowo, wykorzystujące nowinki techniczne, dostępne dla każdego, funkcjonalne, ale też piękne.

przyciągania przesunęło się w stronę dołów społecznych – to już nie elity, lecz najniższe jego warstwy miały zająć w nim kluczowe miejsce”[1]. Epitet „zimny” w pierwszym skojarzeniu odsyła zaś do zimnej wojny, rywalizacji i wyścigu zbrojeń między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, która na tyle silnie zbudowała obraz globalnej sytuacji, że chwilę po upadku ZSRR w 1991 roku Francis Fukuyama uznał, że wolny rynek i demokracja są obiektywnie najlepszym ustrojem. Koniec świata dwubiegunowego oznacza zatem triumf dobra i koniec historii. Taki był dyskurs w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Tyle że zachodnia powojenna stabilizacja, w tym społecznie sprawiedliwszy podział dóbr i na przykład szereg gwarancji pracowniczych, była możliwa, bo blok komunistyczny deklarujący sprawiedliwość i szerokie prawa dla mas był realną groźbą i mentalną alternatywą. Powojenne socjalne zdobycze Zachodu kształtowały się wobec wschodnich klisz propagandowych, dodam wyraźnie – haseł bez pokrycia. Globalne wycofanie się państw z dbałości o warstwy nieposiadające wynika z tego, że wydaje się, iż ludzie z dziedzicznie małymi zasobami są dziś pozbawieni tej alternatywy, którą na poziomie retorycznym proponował Związek Radziecki. Ale pozbawieni alternatywy są nie tylko ludzie bardzo biedni. Kto ostatnio słyszał lub zna kogoś, kto pracu-

[1] Joanna Kordjak, Jérôme Bazin, *Kiedy obrazy patrzyły na robotników*, w: *Zimna rewolucja. Społeczeństwa Europy Środkowo-Wschodniej wobec socrealizmu, 1948–1959*, Warszawa 2021, s. 8.

eprasa.pl f748ab3a69



© Archiwum Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki

W krajach socjalistycznych komunikaty reklamowe w założeniu stawiały sobie za cel nie tyle podbicie sprzedaży, ile raczej kształtowanie świadomej konsumentki/konsumenta.

je tylko osiem godzin dziennie? Przy tym, że mamy świadomość, iż globalna ilość pracy do wykonania się zmniejsza i rozwiązaniem jest jednak inwestowanie w inny model zbiorowych relacji niż praca–płaca–konsumpcja?

Kuratorzy wystawy *Zimna rewolucja*, pokazując prace z Polski, Czechosłowacji, NRD, Bułgarii, Rumunii i Węgier, rezygnują z dopowiadania, czym socrealizmy różniły się w poszczególnych krajach, skupiając się na rekonstrukcji pewnego społecznego portretu. Za punkt odniesienia posłużyły konkretne odcinki czasowe, które możemy odnaleźć wplecione w ekspozycję, choć nie jest ona chronologiczna: 1945–1948 – okres powojenny, 1949–1953 – stalinizm, 1953–1956 – czas reform i 1957–1959 – destalinizacja z referatem Chruszczowa. W wystawie podjęto jednak zamiast opowiadania konkretnych wydarzeń trud pokazania działań zmierzających do wytworzenia nowego podmiotu polityki, państwa i historii. I udało się zbudować perspektywę afirmatywną oraz pełną niuansów. Za szczególnie cenne uważam poszukiwanie „opowieści o postawach i praktykach, które trudno oceniać w kategoriach konformizmu i dysydentyzmu-opozycji dwóch skrajności, jaką posługujemy się zazwyczaj w opisie socjalistycznej rzeczywistości”[2]. Zdanie to padło w tekście napisanym przez Doreen Mende o odbudowie przez NRD północnokoreańskiego miasta Hamhŭng, ale myślę, że może być też potraktowane jako motto

[2] Doreen Mende, *Dwie sieroty z Hamhŭngu (pamięci Konrada Pŭschela)*, w: tamże, s. 84.

eprasa.pl f748ab3a69



Niełatwe zadania, maszyny, industrializacja. Ludzie pracy świadomie wykonywali swoje obowiązki. Obrazy przedstawiają trud osób dzielnych i zdeterminowanych.

Archiwum Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki

eprasa.pl f748ab3a59

przyświecające całej wystawie. Prace wybrano, rezygnując z dotychczasowych socrealistycznych hitów. Szerokie spektrum formalne – obrazy, rzeźby, grafiki, wzornictwo przemysłowe, filmy, reklamy przyniosły opowieść o różnych aspektach życia nowo skonstruowanego podmiotu: ludzi pracujących, którzy przestają być sterowani nędzą i przemocą, oczywiście tylko w sferze wyobrażeniowej. Wszak robotnicze bunty lat pięćdziesiątych w Europie Środkowo-Wschodniej były krwawo przez komunistów tłumione, o czym twórcy wystawy piszą w towarzyszących tekstach, ale na wystawie tego nie pokazują. Zapewne trudno znaleźć takie materiały w archiwach. Trzeba byłoby sięgnąć do dysydenckich archiwów, prasy drugiego obiegu. Swoją drogą, ciekawe jest pytanie o stylistykę druków nieoficjalnego, dajmy na to antykomunistycznego obiegu. Co by to mogło być? Pewnie z jednej strony karykatura nowych porządków, z drugiej – obraz ówczesnych zbrodni w imię tego porządku wprowadzenia.

Niepokojąca osobność

Z wystawy wyniosłam nastrój melancholii i pewnego przytłoczenia, który być może brał się z wiedzy o tych trudnych latach i dominującej wśród prac chłodnej kolorystyki i ostro zaznaczonych konturów. Na większości obrazów ludzie, mimo przebywania razem w jednej przestrzeni, czy to na zdjęciach, czy na obrazach zachowywali niepokojącą osobność. Pozostawali hieratyczni, skupieni, oddzielni i zatomizowani. Niezwykła fotografia Stefana Arczyńskiego *Wiec w Hali Ludowej* z 1954 roku pokazuje rzeszę kobiet i mężczyzn, których głowy są oświetlone od góry najpewniej światłem słonecznym. Pierwsza myśl, która dzisiaj przychodzi mi do głowy, to nieskrępowany lot zarazków, wirusów i bakterii między nimi, ale wiem, że to tylko moja pandemiczna czkawka. Ludzie na wiecu mają wspólnie podjąć decyzję, są spokojni. Czy również wolni i sprawczy? Ludzie pracy są dowartościowywani, a jednak nie zostali dopuszczeni do władzy. Seria portretów przodowników pracy wykonana w połowie lat pięćdziesiątych XX wieku przez Wiktora Pentala i portretów kobiet Zbigniewa Dłubaka przynoszą ogromnie sugestywne wizerunki ludzi w pewien sposób smutnych, schodzących w głąb siebie mimo przypisanej im propagandowej funkcji dawania sygnałów o lepszym jutrze.

Twórcy wystawy całkowicie zrezygnowali z przedstawień wodzów i pokazali, jak liczne style i tradycje malarskie kryły się pod hasłem „socrealizm", co pozwala na przerzucenie do epoki industrializacji, urbanizacji i elektryfikacji mostka z naszej teraźniejszości.

eprasa.pl f748ab3a69



Archiwum Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki

W masowym trudzie przewidziano też miejsce dla jednostki, która bywa w zbiorowości samotna, chociaż z wieloma innymi dzieli wspólny los.

Ekspozycję otwierała praca Hansa Mattisa-Teutscha *Na przodku (Abataj)* namalowana około 1950 roku. Ten obraz jest wręcz magnetyczny. Mężczyźni idący z górniczymi narzędziami oraz dwie grupy robotników siedzących na jakimś podwyższeniu mają głowy w jednym poziomie. To kompozycja izokefaliczna charakterystyczna dla sztuki starożytnej i wczesnochrześcijańskiej, która pozostaje w opozycji do perspektywy, gdzie najważniejsza osoba jest największa i głowę ma najwyżej. Hans Mattis-Teutsch, artysta z rumuńsko-niemieckiej rodziny w Brasowie, kształcił się w języku sztuki modernistycznej. Próbował ekspresjonizmu, art deco, secesji i postimpresjonizmu. Szukał malarskiego idiomu w odpowiedzi na rozwój duchowości i teorii komizmu, a zarazem założył pierwszy syndykat demokratycznych artystów Rumunii. Nie mogę uwolnić się od niebieskich obwódek oczu jego kroczących postaci, chociaż nie jest to zabieg z gruntu mistyczny – górnicy miewali przecież czarne obwódki z węglowego pyłu. Podobnie niełatwo jest uzasadnić metafizyczne drgnienia przy obrazie Fritza Trögera *Maszyna* z 1952 roku, chociaż tutaj pomocy może dostarczyć esej pióra Borisa Groysa o twórczości ulubionego malarza Stalina, czyli Aleksandra Dejneki, który wiąże twórczość pozornego realisty z filozoficznymi prądami rosyjskich kosmistów końca wieku XIX. Wierzyli oni, że czas na zupełnie nową organizację życia społecznego, między innymi zniesienie uwiązania człowieka do rodziny, obowiązków reprodukcyjnych i obarczania go męką życia codziennego. Postaci na obrazach i Trögera, i Dejneki wydają się pozapłciowe, nie tak

eprasa.pl f748ab3a69



Archiwum Zachęty – Narodowej Galerii Sztuki

Postać człowieka emanować powinna siłą, sprawnością, gotowością do czynu.

bardzo uwikłane w ciało, mające obowiązki wobec społeczeństwa, ale już niekoniecznie skłaniane do reprodukcji. Przebywają w fabrykach, ale są też w innym wymiarze. Równie zagadkowy jest obraz niedawno zmarłego Andrzeja Strumiłły *Nasza ziemia* (1953–1954). Osadnicy – skąd, jeśli nie ze Wschodu – wpatrzeni w dominujący, utrzymany w ugrach płaski, bezludny pejzaż, zajmują niewielki fragment płótna. Rysująca się przyszłość budzi pewnie wiele emocji, ale nie ma wśród nich entuzjazmu. Dla znawczyń i znawców twórczości Waleriana Borowczyka rysunek *Młody murarz w niedzielę*, na którym elegancko ubrany przystojniak z zawadiackim, lekko ukrytym spojrzeniem wprowadza kontekst domniemanego erotyzmu, na wystawie niestety nieobecnego. Niezwykle interesujące są też litografie Władysława Strzemińskiego *Prządka* i *Tkacz*, w których spotykają się opracowywane przez artystę powidoki (gdy długo wpatrujemy się w jakiś kształt, a następnie odwrócimy wzrok, w oczach pojawia się przez chwilę jego zamazany powidok) z zamówieniem na realistyczne przedstawienia.

Wielowątkowość i propozycja poszerzonego spojrzenia na lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte minionego stulecia na wystawie *Zimna rewolucja* są imponujące. Już sam fakt, że twórcy wystawy całkowicie zrezygnowali z prezentacji wodzów i pokazali, jak liczne style i tradycje malarskie kryły się pod hasłem „socrealizm", pozwala na przerzucenie do lat, kiedy odbywała się potężna zmiana cywilizacyjna, mostka z naszej teraźniejszości. Rezygnacja z przedstawień rządzących jest też symptomem

eprasa.pl f748ab3a69

naszych czasów, w których rewolucje powoli przestają godzić się na liderów i wodzowskie reprezentacje, czasów, które szukają języka do opisania na nowo wykluwających się tożsamości w sytuacji, kiedy poprzednie formy organizacji życia społecznego straciły sens.

Równoległe

W tym samym czasie w Muzeum Sztuki Nowoczesnej oglądać można było wystawę Agnieszki Polskiej *Plan tysiącletni* określaną jako socrealizm magiczny. Ten przepiękny dwukanałowy film artystka osnuła wokół powojennej elektryfikacji jako radykalnej zmiany cywilizacyjnej, która w toku polskich sporów tożsamościowych jest nieomal pomijana. *Plan tysiącletni* nie posługuje się ani socrealistyczną perswazją, ani binarnymi opozycjami – ten „oj, dobry", a ten „oj, zły", czego nie ma też w pracach pokazywanych w Zachęcie. Film Agnieszki Polskiej jest wyrafinowany, towarzyszy mu muzyka współczesna, włącza oprócz perspektywy zwierząt (ptaki na przewodach elektrycznych, lisy z młodymi lisiątkami), ciała ludzkiego (impulsy elektryczne, nerwy, może nawet miłość), obłędnie pięknych krajobrazów również optykę historyczną. Adresat i adresatka muszą mieć pewien zasób interpretacyjny, żeby się tym filmem napawać. Rzekłabym zatem, że daleko mu do socrealizmu. Fragment filmu o spotkaniu antykomunistycznej partyzantki (kończą się pieniądze z napadu na pocztę, nie ma już chleba, piwa i lemoniady, ja to przynajmniej zabiłem szefa lokalnego UB, a ty to tylko spaliłeś kilka ukraińskich wsi) z inżynierami badającymi trasę pod elektryczną trakcję jest osadzony bardzo blisko ideologicznych sporów o to, kto miał rację w okresie powojennym. Wspominam o wystawie Agnieszki Polskiej prezentowanej równolegle do *Zimnej rewolucji* w Zachęcie, bo obie wpisują się w pewien szerszy nastrój. W debacie publicznej pojawia się więcej rozmów o chłopach i o tym, że dotychczasowy sposób opowiadania dziejów państwa polskiego jest historią szlachty i inteligencji. Refleksja nad socrealizmem wiąże się zatem z szerzej obecną potrzebą przewartościowania opowieści o naszej przeszłości.

eprasa.pl f748ab3a69

Sami z siebie się śmiejecie!

Z Jurijem Murawickim, reżyserem spektaklu *Rewizor*
w Teatrze Dramatycznym m.st. Warszawy, rozmawia Szymon Kardaś

SZYMON KARDAŚ: Prapremiera sztuki *Rewizor* Nikołaja Gogola miała miejsce 19 kwietnia 1836 roku w Petersburgu, czyli ponad 185 lat temu. Polska prapremiera odbyła się w Krakowie w 1850 roku. Po II wojnie światowej dramat Gogola grywany jest regularnie na polskich scenach teatralnych. *Rewizora* wystawiało w Polsce wielu znakomitych reżyserów, między innymi Adam Hanuszkiewicz, Jerzy Jarocki, Mikołaj Grabowski, Jan Klata czy Nikołaj Kolada. Co sprawiło, że także Pan zdecydował się na wystawienie tej sztuki w Warszawie? Dlaczego wciąż warto wystawiać to dziewiętnastowieczne dzieło?

JURIJ MURAWICKI: Powód jest prosty. Zaproponowano mi dwa utwory, a wśród nich był właśnie *Rewizor*. Bardzo lubię Gogola, zarówno jako dramaturga, jak i pisarza. Poza tym wystawiłem już wcześniej sztukę jego autorstwa – *Graczy* w Omskim Akademickim Teatrze Dramatycznym w 2009 roku. Gdy więc *Rewizor* pojawił się wśród propozycji, oczywiście od razu się zgodziłem.

A argumentów przemawiających za jego wystawieniem jest wiele. Aktualność tej sztuki jest oczywista. Bez względu na rozwój technologiczny świat się nie zmienia. Gogol chciał zebrać w niej wszystkie ludzkie/społeczne grzechy tamtego okresu. Wydaje mi się, że Gogol napisał sztukę, która rozgrywa się nie tylko na płaszczyźnie społecznej, ale także filozoficznej, a może nawet egzystencjalnej. Nie chcę zdradzać finału, ale w pewnym momencie naszego spektaklu Chlestakow zaczyna grać rolę mesjasza i przedstawiciela sił wyższych, z którym próbują wchodzić w interakcje pozostali bohaterowie Gogola. Łapówka przestaje być po prostu łapówką dla urzędnika, ale próbą – jak to często się dziś robi – kupienia łaski Pana Boga. Jest to naturalnie niemożliwe, ale ludzie i tak próbują to czynić. To również stanowi ważną płaszczyznę w naszym spektaklu i pozwala traktować tę sztukę jako wciąż aktualną.

Który z grzechów wskazywanych przez Gogola uważa Pan za największy?

Strach. I nie jestem pierwszym reżyserem, dla którego strach jest w tej sztuce kluczowym czynnikiem. Wsiewołod Meyerhold także wystawił *Rewizora* i potrak-

eprasa.pl f748ab3a69



Jurij Drug

Humor i przede wszystkim ironia pozwalają spojrzeć z boku na samego siebie. Obecnie bardzo nam tego brakuje. Bardzo bym chciał, by widz pośmiał się z siebie.

tował go jako spektakl na temat strachu i to strachu społecznego. Wszystkie najstraszniejsze i najbardziej idiotyczne zachowania bohaterów tej sztuki są dyktowane strachem – społecznym, ale też indywidualnym. Strachem człowieka, który obawia się, że straci swoją szansę, przeoczy coś. Ta sztuka pokazuje, że strach to zły doradca. Wszystko, na co nas naprowadza, w zasadzie prowadzi człowieka donikąd i nic nie zmienia. I także w naszych czasach wiele osób, uwzględniając dodatkowo pandemię, kieruje się w działaniach strachem.

Strach jest bardzo odczuwalny w całym spektaklu.

Tak, i aby ostrzej to wyrazić, zdecydowaliśmy się zabawić gatunkiem horroru. Ponadto warto zauważyć, że my gramy „stary teatr". To znaczy teatr, który istniał w zasadzie do momentu powsta-

eprasa.pl f748ab3a69

nia systemu Stanisławskiego, czyli zanim uczyniono duży krok w stronę realizmu. Wykorzystujemy nawet wizualne środki starego teatru i kina z początku XX wieku. Bawimy się konwencją horroru. Naszą inspiracją, szczególnie w ujęciu wizualnym, były filmy z początku ubiegłego wieku. Horrory typu *Nosferatu*. Spektakl jest hołdem dla *Rewizora* w reżyserii Meyerholda czy wobec spektakli Aleksandra Tairowa, w jakimś sensie także wobec przedstawienia *Dybuk* Jewgienija Wachtangowa. I nie mogę nie odnotować, że w pracy nad spektaklem inspirowałem się także polskim teatrem. Mam na myśli takie postacie polskiego teatru, jak Kantor czy Grotowski. Nie wiem, na ile zostanie to zauważone przez widzów, ale w pewnym sensie inspiracją była także twórczość Wajdy.

Wspomniał Pan o formie. W Polsce ukształtowały się dwa główne nurty wystawiania *Rewizora*. Pierwszy – silnie akcentujący społeczne i historyczne realia carskiej Rosji XIX wieku oraz drugi, w ramach którego reżyserzy adaptują tekst do współczesnych realiów, jak w przypadku inscenizacji Jana Klaty, który przeniósł akcję sztuki w polskie lata siedemdziesiąte XX wieku. Pan wybiera inną drogę – realizm fantastyczny. Czy po to, by podkreślić uniwersalność przesłania sztuki Gogola?

Tak, niewątpliwie. Całkowicie świadomie skierowałem inscenizację w tym kierunku. Co więcej, widziałem rejestrację wideo spektaklu Klaty. Jasne, że dla podkreślenia aktualności sztuki najprostszym zabiegiem było przeniesienie akcji do współczesności, do jakiegoś momentu w historii XX wieku. Dla mnie ważniejsze było jednak podkreślenie ponadczasowej składowej tego tekstu. Dlatego w naszym spektaklu i czas, i przestrzeń są tak rozmyte, są tak bardzo umowne. Nie ma tu konkretnych ograniczeń geograficznych. Przede wszystkim jednak taka forma teatru jest mi najbliższa. Nie mógłbym działać wbrew sobie, czyli uwspółcześnić inscenizację, jednocześnie pozbawiając ją owej ponadczasowej istoty.

Skąd pomysł, by rola Chlestakowa była dublowana?

Pomysł wyszedł ode mnie, a jego uzasadnienie jest proste. Waldemar Barwiński i Jakub Szyperski są znakomitymi aktorami. I obaj pasują do tej roli bez względu na to, że jest między nimi duża różnica wieku. Wiem, że dołożyłem sobie pracy, ale nie chciałem tracić żadnego z nich. Uważam bowiem, że każdy z nich może zaprezentować w tej roli inne atuty. Każdy z nich będzie dawać jej coś swojego i unikalnego.

***Rewizor* to również refleksja o władzy. Jerzy Jarocki w przygotowanej przez siebie w 1980 roku inscenizacji w Teatrze Starym w Krakowie nieco zmienił zakończenie. Gdy już stało się jasne, że w mieście N. pojawił się prawdziwy rewizor, następowało aresztowanie Horodniczego, a jego**

eprasa.pl f748ab3a69



Krzysztof Bieliński

Aktualność *Rewizora* jest oczywista. Bez względu na rozwój technologiczny świat się nie zmienia.

miejsce zajmował Ziemlianika (dyrektor szpitala) – *de facto* członek tej samej ekipy rządzącej. Wygłaszał mowę o konieczności podjęcia różnych kroków, działań etc. Tworzy się wrażenie, że mamy do czynienia z błędnym kołem i swoistą bezsilnością wobec natury władzy, która pozostaje niezmienna. Czy podziela Pan tę dość przygnębiającą konstatację?

Tak, podzielam, bez wątpliwości. Niestety tak to właśnie wygląda. Kręcimy się w kółko. To jest dla mnie główne odkrycie i jednocześnie największe rozczarowanie ostatnich lat. Mam wrażenie, że cofamy się do XX wieku. Właśnie to odczucie pozwala na to, by mieć tak emocjonalny kontakt ze sztuką Gogola. Mogę dzięki temu wyrazić swoją inscenizacją tę właśnie myśl, że współczesność, unowocześnianie naszego świata okazuje się iluzją. My w dalszym ciągu żyjemy w tym przeszłym świecie, z którego tak bardzo chcielibyśmy się wyrwać.

Pojawia się też pytanie o śmiech, który Gogol nazwał bohaterem pozytywnym swojej sztuki. W jednym z wywiadów po premierze *Świętoszka* w Teatrze na Tagance powiedział Pan: „Chciałbym zrehabilitować komedię, którą przyjęto postrzegać jako

eprasa.pl f748ab3a69



Krzysztof Bieliński

Gogol chciał w tej sztuce zebrać wszystkie ludzkie/społeczne grzechy tamtego okresu. *Rewizor* rozgrywa się nie tylko na płaszczyźnie społecznej, ale także filozoficznej, a może nawet egzystencjalnej.

niski gatunek. Śmiech, podobnie jak łzy, ma wymiar oczyszczający". Jak to umiejętnie połączyć w inscenizacji *Rewizora*? Z jednej strony katalog ludzkich grzechów, jak mawiał Gogol: „zebrane wszystko zło rosyjskie", a z drugiej strony – śmiech?

Wydaje mi się, że humor, przede wszystkim ironia, dają bardzo ważny efekt – zdolność spojrzenia z boku na samego siebie. Obecnie bardzo nam tego brakuje. Jednocześnie myślę, że o ile na początku spektaklu u widza może być poczucie, że to nie odnosi się do niego, to wydaje mi się, że pod koniec przedstawienia jego opinia ulegnie zmianie. Bardzo bym tego chciał, by widz pośmiał się z siebie. W tym kontekście warto przywołać zarówno słowa Horodniczego: „Z czego się śmiejecie? Sami z siebie się śmiejecie!", jak i ludowe przysłowie, które Gogol umieścił na początku sztuki i które zostanie wyświetlone na wstępie naszego spektaklu: „Nie przygaduj zwierciadłu, gdy masz gębę krzywą". Spektakl jest okazją nie tylko do tego, by zobaczyć siebie w zwierciadle, ale także by się z siebie pośmiać. Uważam, że ironia pomaga uzyskać to krytyczne spojrzenie. Ja oczywiście myślę teraz bardzo idealistycznie, ale to daje nam możliwość dowiedzenia się czegoś o sobie, a możliwe, że daje szan-

eprasa.pl f748ab3a69



Krzysztof Bieliński

Strach jest w tej sztuce kluczowym czynnikiem. Meyerhold także potraktował *Rewizora* jako spektakl na temat strachu. Wszystkie najstraszniejsze i najbardziej idiotyczne zachowania jego bohaterów są dyktowane strachem.

się stać się lepszym. Nie widzę innej drogi i dlatego w ostatnim czasie wystawiam głównie komedie.

Wśród wystawionych przez Pana spektakli zwraca uwagę różnorodność repertuarowa: z jednej strony Mrożek, z drugiej Demirski. Z jednej strony inscenizacja klasyki, z drugiej eksperymenty teatralne. Jak dokonuje Pan wyboru repertuaru?

Powiem może coś nieoczekiwanego, ale zwykle pracuję na zamówienie. Z zasady otrzymuję konkretną propozycję ze strony zamawiającego lub kilka wariantów, spośród których dokonuję wyboru. W przypadku Demirskiego po prostu chciałem wystawić sztukę *Kiedy przyjdą podpalić dom, to się nie zdziw*. Nie pamiętam już, gdzie ją po raz pierwszy zobaczyłem, ale mi się spodobała. Jest bardzo Brechtowska. I właśnie tę sztukę zaproponowałem Teatrowi Rosyjskiemu w Estonii. Z kolei Świętoszek w Teatrze na Tagance to była propozycja tamtejszej dyrekcji. Podobnie było w przypadku Teatru Dramatycznego w Warszawie – otrzymałem propozycję dwóch tekstów i wybrałem *Rewizora*. Tak się też składa, że te inscenizacje, z których jestem najbardziej zadowolony i które są dla mnie ważne, są zwykle konsekwencją impulsu

eprasa.pl f748ab3a69

zewnętrznego, czyli propozycji składanej przez konkretny teatr lub konkretną osobę. Innym przykładem jest spektakl *Riot Days*, z którym wiele razy jeździliśmy po świecie, także do Polski, gdzie przedstawienie było pokazywane w lipcu 2018 roku podczas festiwalu w Jarocinie. To też była propozycja z zewnątrz. Odpowiedziałem, że przeczytam książkę i jeśli wyda mi się interesująca, i uznam za właściwe przygotowanie spektaklu na tej podstawie, to się zgodzę. I tak się właśnie stało. Spływające propozycje mogę przyjąć lub odrzucić. Najczęściej jednak pojawiają się takie, które przyjmuję.

Chcę zapytać o proces twórczy. Czy kiedy rozpoczynają się próby do spektaklu, ma Pan zwykle gotową, precyzyjną wizję całości, którą aktorzy mają przyswoić i zrealizować w ramach przedstawienia? Czy może spektakl w przeważającej mierze rodzi się dopiero w trakcie prób?

Na początku jest raczej pewne przeczucie i kierunek, w którym planuje przygotować spektakl. Ale na próby przychodzę całkowicie otwarty. Wcześniej, gdy zaczynałem pracować jako reżyser, przychodziłem na próby, mając w głowie praktycznie gotowy spektakl. Ale im dłużej pracuję, tym więcej miejsca zostawiam dla innych. Zależy mi na tym, by praca nad spektaklem była podróżą z nieznanym punktem docelowym. Znam kierunek, ale nie wiem, co znajdę na końcu drogi. Załóżmy, że wędrujemy na północ, ale nie wiemy, co nas czeka na tej północy. Takie podejście wydaje mi się ciekawsze. Pozwala bowiem uniknąć sytuacji, w której podczas pracy nad spektaklem pozostaję zakładnikiem własnej wyjściowej koncepcji. A przecież między początkiem prób a finałem mija zwykle kilka miesięcy. W tym czasie ja się zmieniam, zmienia się świat. Poza tym w sytuacji, gdy przyjeżdżam do innego kraju, dokonuję kwerendy. Przy czym nie ogranicza się ona do analizy przestrzeni sztuki czy jej autora. To także próba zrozumienia, w jakiej przestrzeni się znalazłem i funkcjonuję. Czym jest współczesna Polska? Czym jest współczesna Warszawa? Dla mnie teatr to dialog. I poprzez teatr rozmawiam z konkretnym widzem, z warszawskim widzem, z polskim widzem. Oczywiście mam nadzieję, że spektakl będzie jeździć po świecie, w tym do Rosji, ale przede wszystkim powinien on rezonować z miejscową publicznością. Opowiadanie w Polsce o rosyjskich problemach nie byłoby interesujące. Kogo bowiem interesują cudze problemy?

Na ile aktorzy współuczestniczą w wypracowywaniu koncepcji spektaklu? W jakim stopniu ich propozycje wpływają na jego ostateczny kształt?

Zawsze od nich tego oczekuję. Wszystkimi środkami próbuję ich wciągnąć w proces fantazjowania (wariacji) na temat sztuki i kreacji. Choć oczywiście w kontekście formy to ja wybieram konkretne środki wyrazu artystycznego, co sprawia, że pewne propozycje płynące od aktorów są przyjmowane, a inne

eprasa.pl f748ab3a69

nie. Uważam, że dobór środków wyrazu jest prerogatywą reżysera. Niemniej jednak ważne jest dla mnie zaangażowanie ze strony aktorów i ich inicjatywa. Prowokuję ich do aktywnego udziału w tym procesie w każdy możliwy sposób. Praktycznie wszystkie spektakle przygotowane przeze mnie w ostatnim czasie zaczynają się od etiud aktorskich. Proponuję aktorom fantazję (wariacje) na temat sztuki, na temat zawartych w niej idei, na tematy będące niejako na marginesie sztuki. W praktyce więc zaczynamy równolegle z dwóch punktów. Z jednej strony od prób analitycznych dotyczących sztuki. Jestem zwolennikiem klasycznej analizy dotyczącej akcji, konfliktów etc. Z drugiej strony od całkowitych fantazji, wariacji. Zwykle proszę, by pierwsze etiudy dotyczyły nie konkretnych scen i epizodów zawartych w samej sztuce, ale wrażeń i odczuć rodzących się w aktorach w związku z tekstem. I z tego rodzi się wiele interesujących elementów.

Na ile „opiekuje się" Pan swoim spektaklem, śledzi jego losy już po premierze? Są tacy reżyserzy, którzy starają się być na każdym pokazie, wprowadzają korekty, dają nieustannie uwagi aktorom. Czy Pan też należy do tego grona?

Oczywiście staram się opiekować swoimi spektaklami, śledzić co, się z nimi dzieje, na tyle, na ile jest to możliwe. Dla mnie premiera nie oznacza końca pracy nad spektaklem i końca procesu twórczego. Peter Brook mawiał, że nienawidzi premier. Ja także nie lubię pokazów premierowych. Uważam, że premiera to połowa pracy nad spektaklem. Rozumiem, że tak skonstruowana jest nasza rzeczywistość, że większość krytyków przychodzi na pokazy premierowe i ocenia właśnie je, ale spektakl zwykle (najczęściej) zaczyna żyć po dziesiątym pokazie, a nawet później. Nabiera mocy, siły, energii, wolności. Pokazy premierowe bywają nerwowe i spętane. A dla mnie teatr to przede wszystkim połączenie precyzji i wolności. Wydawałoby się, że to jest dziwne połączenie, bo dotyczy przeciwstawnych rzeczy, ale tak naprawdę wolność bez precyzji nic nie znaczy, i precyzja bez wolności także staje się czymś suchym.

Wielokrotnie wspomina Pan o swoich polskich korzeniach. Kto z polskich twórców teatralnych wywarł na Panu najsilniejsze wrażenie?

Lista jest bardzo długa. Polski teatr miał na mnie silny wpływ. To jest to, co mnie zainspirowało, i mam teraz takie poczucie, że przyjechałem do Polski, by spektaklem *Rewizor* spłacić dług. Krystian Lupa, Krzysztof Warlikowski, Monika Strzępka, Maja Kleczewska, Grzegorz Jarzyna – to są reżyserzy, którzy mnie zainspirowali. Pamiętam moment, gdy pojawiła się okazja, by zobaczyć niektóre polskie spektakle w rejestracji wideo i później, kiedy nieoczekiwanie wiele przedstawień pokazano podczas występów gościnnych w Rosji. Szczególnie w 2011 roku, kiedy przywieziono kilka polskich spektakli w ramach specjalnego

eprasa.pl f748ab3a69



Krzysztof Bieliński

W Rosji głównym zadaniem każdego artysty jest zachowanie wolności wypowiedzi. Reżyser musi mieć zdolność do wyrażania siebie bez autocenzury. Rosja 2022 roku to kraj wielu ograniczeń. Jednym z nich jest tradycjonalizm i wszystko, co się z nim wiąże.

przeglądu zorganizowanego podczas festiwalu Złota Maska. Były to między innymi: *Persona. Marilyn* Krystiana Lupy czy *(A)pollonia* Krzysztofa Warlikowskiego. Byłem pod wrażeniem stopnia wolności, jaki wyrażały te inscenizacje i ich reżyserzy. Równie znaczący wpływ wywarły na mnie prace Kantora i Grotowskiego, choć miałem okazję je zobaczyć tylko w formie rejestracji wideo. Uważam, że w Polsce jest silna tradycja teatralna.

W latach 2013–2020 był Pan dyrektorem artystycznym Teatru 18+, założonego w Rostowie nad Donem. Jak by Pan podsumował te wszystkie lata i z czego jest Pan najbardziej dumny, myśląc o dokonaniach tego teatru?

Po pierwsze, wspominając to doświadczenie z perspektywy czasu, mam poczucie, że była to cudowna utopia. Utworzenie na południu Rosji niezależnego teatru, zdolnego osiągać obiektywne sukcesy, wydaje się artystyczną awanturą, utopią. Jestem wdzięczny inicjatorowi tego przedsięwzięcia, biznesmenowi z Rostowa, który zaprosił mnie do udziału w nim. Udało nam się zrealizować oczywiste cele artystyczne, stworzyć własny styl. Wiedzieliśmy, że decyzja o utworzeniu teatru w Rostowie nad Donem oznacza, że powinno być w nim coś oryginalnego, co pozwoli badać energię miejsca. Udało nam się nawiązać kontakt ze środowiskiem kulturalnym miasta. Współpracowaliśmy z wieloma miejscowymi – rostowskimi – malarzami, muzykami, aktorami, dramaturgami. To było interesujące doświadczenie, które dało bardzo wiele także mnie. Z drugiej strony udało nam się sprawić, że na spektakle Teatru 18+ przyjeżdżali do Rostowa widzowie z innych części Rosji. Na pokazach premierowych obecni byli mieszkańcy Krasnodaru, Woroneża, a nawet Moskwy. To pokazuje, jak ważnym celem społeczno-politycznym jest decentralizacja. Rosja jest silnie scentralizowanym państwem. Wszystko kręci się wokół stolicy. Kraj nie może funkcjonować w pełni, jeśli wszystko skupia się w jednym mieście. Dzięki Teatrowi 18+ udało nam się pokazać społeczności teatralnej, że interesujące rzeczy mogą się dziać nie tylko w Moskwie.

Co według Pana jest obecnie największym wyzwaniem dla rosyjskiego teatru?

Z jednej strony to wyzwania dotyczące płaszczyzny estetycznej, do tej pory nie udało nam się przezwyciężyć naporu realizmu w teatrze. I mało kto zdaje sobie z tego sprawę. W związku z tym nadal w teatrze nie możemy czuć się w pełni wolni. W świadomości, w ogólnej percepcji rosyjskiego teatru realizm nadal jest linią przewodnią. Trudno pracować z formą. Teatr umowny, formalny, groteskowy wciąż pozostaje zjawiskiem alternatywnym (undergroundowym), kontrkulturowym etc. Dominację realizmu uważam za największe wyzwanie, dla mnie teatr to przede wszystkim wyraz artystyczny i sprowadzenie wszystkiego do próby naśladowania rzeczywistości uważam za błąd. Do tego błędu przyznał się między

eprasa.pl f748ab3a69

innymi pod koniec życia sam Stanisławski, który za swoich najlepszych uczniów uznał Wachtangowa i Meyerholda. Realizm to fałszywa droga. Człowiek nie może osiągnąć całkowicie realistycznej egzystencji na scenie teatralnej. To jest niemożliwe z zasady.

Z drugiej strony w 2022 roku w Rosji głównym zadaniem każdego artysty jest zachowanie wolności wypowiedzi. Reżyser musi mieć zdolność do wyrażania siebie bez autocenzury. Powinien mieć także umiejętność omijania cenzury zewnętrznej, dlatego że Rosja 2022 roku to kraj wielu ograniczeń. Jednym z nich jest tradycjonalizm i wszystko, co się z nim wiąże. Patriarchalny świat, który domaga się szczególnego stosunku do spraw religii, co ogranicza swobodę wypowiedzi reżysera. Konserwatyzm i tradycjonalizm. Poza tym „nowa etyka" określająca, z czego nie należy się śmiać, czego należy unikać, by nie narazić się na to, że obrazimy tych lub tamtych etc. I przestrzeń dla swobody wypowiedzi kurczy się na naszych oczach. Reżyser zaczyna się zastanawiać, jak ma zrobić spektakl, by nikt nie poczuł się urażony. I to staje się poważnym wyzwaniem, z którym obecnie trzeba się mierzyć.

Jurij Murawicki jest rosyjskim reżyserem teatralnym, dramaturgiem oraz wykładowcą w Instytucie Teatralnym im. B. Szczukina w Moskwie. W latach 2013–2020 dyrektor artystyczny niezależnego Teatru 18+ w Rostowie nad Donem. Od 2014 roku pracuje jako kurator laboratorium aktorskiego w Moskiewskiej Szkole Nowego Kina. Laureat najważniejszej rosyjskiej nagrody teatralnej Złota Maska w kategorii „Eksperyment" za spektakl *Rozpal mój ogień* moskiewskiego Teatru.doc, również nominowany do Złotej Maski za *Wieczór trzech króli* Szekspira wystawiony w Teatrze Nikitińskim w Woroneżu. Laureat nagród Herald Angel Award i Total Theatre Award na międzynarodowym festiwalu teatralnym Fringe w Edynburgu.

eprasa.pl f748ab3a69

Tylnymi drzwiami do piekła

Jędrzej Morawiecki

Jak się to wszystko zaczęło i separatyści przystąpili do szturmu lotniska, to zebrał się tłum gapiów. Zakorkowały się ulice. Prawdziwy show, wojna na żywo, i to za darmo. Widowisko niespotykane, atmosfera co najmniej jakby Real Madryt przyjechał do Kramatorska. A potem zaczął pikować samolot. Wtedy ludzie poczuli, że to widowisko pachnie pieczonym mięsem. I znikli.

Pytaj

Notatka 16/2019

Napis na murze przy ulicy Szewczenki: „To pokolenie jest już stracone. Tym bardziej trzeba się odnaleźć w tym miejscu i czasie, we fragmencie drogi".

Notatka 17/2019

Pastor Oleksij Palczenko, syn Olgi i Oleksandra, którzy nas wczoraj wozili terenówką. Siedzi w słońcu na kawiarnianym tarasie. Obok Mariana, młodziutka żona. Trzymają się za ręce. W tle rasowe berlińskie techno.

Notatka 17A/2019

Historia od niego.

Dla mnie wojna zaczęła się na Majdanie. Kiedy prezydent Janukowycz… Chcieliśmy być jak Europejczycy, żyć jak Europejczycy, mieć europejskie sądy, policję, drogi, europejską służbę zdrowia, europejskie płace. Przecież geograficznie jesteśmy Europą, nawet jej centrum. Kiedy Janukowycz powiedział, że stowarzyszymy się z Rosją zamiast z Unią, to na ulice wyszła młodzież. Pokojowo. A potem stało się tak: Janukowycz wysyła Berkut, ci biją młodych okrutnie, potem na ulice Kijowa wychodzi do miliona ludzi. Potem miasteczko namiotowe, a potem wszystko się potoczyło jak kula śniegowa, nikt już nie pamięta kolejności zdarzeń.

Na Majdanie żyłem około trzech tygodni. Zostałem kapelanem w Prawym Sektorze. Ludzie tam byli różni. Mówiłem im o Chrystusie. Oprócz tego pilnowałem,

eprasa.pl f748ab3a69

żeby nie znęcano się zanadto nad jeńcami, nad tituszkami wziętymi do niewoli. No, wiecie, żeby nie przekraczano granic dopuszczalnej przemocy. Czyli żeby nie tłukli za mocno. Na tym polegała moja kapłańska posługa. A potem na Majdanie zaczęli ginąć ludzie. Przywiozłem lekarstwa z Kramatorska. Do tego wyniosłem własnoręcznie siedemnaście trupów. Nie… czternaście. Wtedy po raz pierwszy widziałem zwłoki z bliska. Góra zwłok, musieliśmy je usunąć z poczty, w której powstał szpital polowy. Potrzebne było miejsce dla żywych. Rozbieraliśmy więc te zwłoki, wiązaliśmy ręce, szukaliśmy dokumentów, identyfikowaliśmy. Co ciekawe, ciała były jeszcze ciepłe. Obmywaliśmy osmolone twarze wodą utlenioną i spirytusem. Krew się pieniła, dziwny widok, człowiek martwy, a krew w nim żywa. No więc patrzyliśmy na krew, na twarze, porównywaliśmy ze zdjęciem, opisywaliśmy markerem, żeby uprościć życie milicji i bliskim. Pamiętam, że u jednego nie było żadnych dokumentów. Znalazłem jednak telefon komórkowy. Stara nokia, dokładnie taka sama jak moja. Wymieniłem baterię na własną. Odpalam, działa. PIN to żaden problem, w Ukrainie większość ludzi się leni i zostawia ustawione cztery zera, a abonenci sieci MTS: cztery jedynki. Wpisałem więc te jedynki, przeszło. Ktoś, kto wcześniej się próbował dodzwonić, dostał najwyraźniej raport, że telefon jest znów w sieci. Odbieram. Z drugiej strony radosny głos: „Siergij, prywit, jak sprawy?" Ja na to: „Człowiek, do którego dzwonicie, jest już martwy". Opisałem dokładnie ciało Siergija, żeby nie było wątpliwości. Ale ten z drugiej strony i tak nie chciał uwierzyć: „Jak martwy? Dopiero co z nim rozmawiałem". „No martwy. Zabili go." „Jak to zabili?" „Tak po prostu. Przyjeżdżajcie, zabierajcie go stąd". Tak oto zaczęliśmy obdzwaniać bliskich, informować ich, co zaszło.

Na Majdanie żyłem około trzech tygodni. Zostałem kapelanem w Prawym Sektorze. Ludzie tam byli różni. Mówiłem im o Chrystusie. Oprócz tego pilnowałem, żeby nie znęcano się zanadto nad jeńcami, nad tituszkami wziętymi do niewoli. No, wiecie, żeby nie przekraczano granic dopuszczalnej przemocy. Czyli żeby nie tłukli za mocno. Na tym polegała moja kapłańska posługa.

A opisane zwłoki wynosiliśmy na ulice. Krąży taka fotografia w sieci, ogólnie znana, tagowana jako „martwi ludzie na Majdanie". Zaraz pokażę w telefonie. O, widzicie? To właśnie te zwłoki, my je wynieśliśmy, ja i inny znajomy pastor.

A jak już wszystkie wynieśliśmy, to wieczorem wsiedliśmy w pociąg i wróciliśmy do Kramatorska. Jeszcze w pociągu zaczęli do mnie dzwonić ludzie: „Pokazują cię w telewizji, jesteś gwiazdą wiadomości". Stało się tak tylko dlatego, że jako jedni z nielicznych mieliśmy na placu nosze. Stąd kamery. I stąd ten rodzaj kapłańskiej posługi.

A potem anty-Majdan. I aneksja Krymu. Wreszcie okupacja Kramatorska.

eprasa.pl f748ab3a69

Jak się to wszystko zaczęło i separatyści przystąpili do szturmu lotniska, to zebrał się tłum gapiów. Zakorkowały się ulice. Prawdziwy show, wojna na żywo, i to za darmo. Widowisko niespotykane, atmosfera co najmniej jakby Real Madryt przyjechał do Kramatorska. A potem zaczął pikować samolot. Wtedy ludzie poczuli, że to widowisko pachnie pieczonym mięsem. I znikli.

Łada mnie uratowała. Mam nawet zdjęcie. Cały tył auta w dziurach. Jak makaron. To znaczy jak to naczynie do przecedzania makaronu, nie pamiętam, jak się nazywa. Durszlak? Właśnie, racja. No więc odłamek trafił mnie w zatokę szczękową, przebił podniebienie, a potem go wyplułem. Tego jednego się pozbyłem, ale do tej pory noszę jeszcze trzy odłamki w szyi. Widać je? Nie? Zaraz odsłonię bardziej.

Całe miasto znikło. Ja zająłem się zwiadem. Miałem świetne alibi, znałem teren, mogłem dostarczać informacje ukraińskiej armii. To pewnie sobie trudno wyobrazić. Spójrzcie: teraz po ulicach chodzą ludzie, jeżdżą samochody. Wyobraźcie sobie takie samo miasto, tylko bez ludzi. I bez aut. Jak w filmach o końcu świata. Ludzie znikli, zostały jednak domowe zwierzęta: koty, psy, papugi. Chodziłem i karmiłem te zwierzęta. Poruszałem się na rowerze, bo samochód by mi od razu odebrano. Karmiłem i zbierałem dane: ile osób znajduje się na jakim blokpoście, jaki sprzęt gdzie się przemieszcza, czy jest grad i tak dalej. A potem o wszystkim meldowałem armii ukraińskiej. Jak? W najprostszy z możliwych sposobów: telefonicznie. Czasem mailem. A że z wykształcenia jestem architektem, rysowałem również mapy, wysyłałem je jako załączniki do wiadomości.

A potem ludzie znów się zaczęli pojawiać na ulicach. Pamiętam, wszedłem do sklepu, kupiłem lody, pogadałem z jakimś nieznajomym dzieckiem, pobawiliśmy się, pokopaliśmy trochę przed sklepem piłkę. Ludzie robili zakupy, inni pili piwo, jakaś mama z dziećmi kupiła oranżadę. Ja kopałem tę piłkę i zdałem sobie nagle sprawę, że kilometr od nas trwa ciągle walka, słychać z lotniska strzały karabinu, lecą miny, granaty. Minął miesiąc od początku wojny, a my jemy znów lody, pijemy oranżadę i piwo.

Nowa normalność. Przywykliśmy do ostrzałów, do tego, że od wybuchów dzwonią szyby, że trzeba te szyby oklejać na krzyż taśmą, żeby było mniej odłamków. Do tego – że nikomu nie można ufać, każdy na ulicy jest wrogiem. Jak weźmiesz taryfę, musisz bardzo rozważnie dobierać słowa, nie wiadomo przecież, kogo popiera taksówkarz.

Samokontrola. W każdej minucie. Nie chlapnij nic, nie mów więcej niż to konieczne. Tak musiał wyglądać Związek Radziecki.

eprasa.pl f748ab3a69

A w 2015 roku, kiedy miasto było już wolne, pomyślałem, że warto byłoby pomóc żołnierzom jako kapelan, spowiadać ich przed śmiercią. Pojechałem z grupą zwiadowców. Trwała bitwa za Debalcewo. Byłem tam jako duchowny, ale miałem broń. I kamizelkę. Kasku zabrakło. Szkoda…

Wpadliśmy w zasadzkę. Poleciały na nas miny. Zaraz wytłumaczę… Tu są dwa czteropiętrowe domy. W jednym poczta. W drugim obserwator ognia, którego mieliśmy zdjąć. Przyjechaliśmy po niego trzema samochodami. Samochody stały o tutaj. Terenowa niwka i bodajże dwie zwykłe osobowe łady. Ja zostaję koło auta z grupą żołnierzy, przyjaciele wchodzą, żeby przeczesać budynek. I właśnie wtedy zaczynają lecieć miny. Najpierw po dachu przeszukiwanego domu. A potem widocznie obserwator skorygował ostrzał, bo miny doszły do nas. Upadliśmy na glebę.

Miny mają to do siebie, że odłamki lecą przy samej ziemi. Uratuje cię tylko okop, ewentualnie rów, jama. A ja byłem na asfalcie. Leżałem tak i dostałem odłamkiem w twarz. A potem popełzłem troszeczkę w kierunku samochodu. A jeszcze potem straciłem przytomność.

Łada mnie uratowała. Mam nawet zdjęcie. Cały tył auta w dziurach. Jak makaron. To znaczy jak to naczynie do przecedzania makaronu, nie pamiętam, jak się nazywa. Durszlak? Właśnie, racja. No więc odłamek trafił mnie w zatokę szczękową, przebił podniebienie, a potem go wyplułem. Tego jednego się pozbyłem, ale do tej pory noszę jeszcze trzy odłamki w szyi. Widać je? Nie? Zaraz odsłonię bardziej. A czwarty tutaj. Został i wrósł jak kapsuła, lekarze mówią, że tak lepiej. Mam tylko troszkę sparaliżowaną część twarzy, nie czuję, jak się golę.

Jak otworzyłem oczy, zobaczyłem krew, co ze mnie cieknie. Usłyszałem, że już nie strzelają. Zacząłem znów pełznąć, tym razem za dom. Przyjaciele podbiegli, wzięli mnie pod ręce, zaciągnęli do bramy. A potem znów otwarto ogień, leciały kolejne miny, a przyjaciele mnie w tym czasie opatrywali i nadawali przez radiostację, że mają „kolejne dwie trzysetki", czyli następnych dwóch rannych.

Czułem, jakby mnie ktoś przed chwilą uderzył młotkiem. Nie ból nawet, raczej tępota. Zemdliło mnie i zacząłem rzygać krwią do wiadra. Wyrzygałem litr, może półtora i poczułem, że zamarzam. Jak w hollywoodzkich filmach, w których ranni powtarzają w kółko: „Zimno mi, zimno". Zrozumiałem, że tracę za dużo krwi.

Lekarze przyjechali błyskawicznie, zaparkowali za budynkiem, przenieśli mnie, dwóch żołnierzy i cywila, który przed ostrzałem wyszedł, żeby przeparkować samochód. O ile jednak żołnierze wiedzieli, że trzeba paść plackiem, o tyle cywil stanął jak słup. Poszatkowało go po całości, strzaskało kręgosłup, oderwało nerki. Poważne rany w każdym razie. Leżał potem ze mną w jednej sali,

eprasa.pl f748ab3a69

narzekał non stop, morfina nie pomagała. Był jak to, w czym się odcedza makaron. Znów zapomniałem, jak się to nazywa… Co dalej się z nim stało? Nie mam pojęcia.

Aha! Nie wspomniałem, że była jeszcze jedna „dwusetka". Czyli cywil, którego zabiło na miejscu.

I jeszcze bardzo to było ciekawe, że kiedy trwał ostrzał, to w blokach toczyło się życie. Miny leciały, mnie bandażowali na klatce, otwierały się drzwi, wyjrzała jakaś babcia, wyszła na korytarz, popatrzyła trochę i wróciła do siebie do mieszkania. Dziwne, bardzo dziwne.

W samochodzie poczułem językiem brak podniebienia, czułem kawałeczki kości. Trochę jak po wyrwaniu zęba, tylko skala inna. Większe dziury, dużo więcej krwi, cieknącej bez końca, całą drogę. A w szpitalu rozebrali mnie do naga. Byłem w szoku, mogłem jakiejś rany nie czuć, obejrzeli mnie więc sobie całego. Powiedzieli, że trzeba czekać na chirurga twarzowo-szczękowego.

Czułem, jakby mnie ktoś przed chwilą uderzył młotkiem. Nie ból nawet, raczej tępota. Zemdliło mnie i zacząłem rzygać krwią do wiadra. Wyrzygałem litr, może półtora i poczułem, że zamarzam. Jak w hollywoodzkich filmach, w których ranni powtarzają w kółko: „Zimno mi, zimno". Zrozumiałem, że tracę za dużo krwi. Ale wtedy wydarzyło się coś takiego… Chodził po salach jeden brat protestant, niezbyt rozgarnięty, mało charyzmatyczny, kojarzyłem go. Łaził po szpitalu i się modlił. Zapytał, czy może też za mnie. Zgodziłem się i poczułem, że wszystko będzie dobrze. Mimo ran, mimo tego, że do tej pory nie widzę na lewe oko, że nie mogę spać na jednym boku, bo boli i się duszę.

Najpierw myślałem, że wojna ukazuje istotę człowieczeństwa. Być może. Na pewno prowadzi do rozczarowania człowiekiem. Raz za razem. Coraz głębszego.

Bardzo prosiłem, żeby mi uratowali nos, miałem nadzieję, że całego nie urwało. Obiecali, że coś z nosa zostanie. Został prawie cały!

Potem leżałem dwa miesiące z ludźmi zbędnymi, z narkomanami, alkoholikami, bezdomnymi. Umierali na sali. Pamiętam babcię, którą pobił wnuczek, bo nie chciała oddać emerytury. Odeszła przy mnie.

Nauczyłem się cieszyć z rzeczy najprostszych. Ot, na przykład: nie mogłem mówić, ale ciągle byłem w stanie pisać SMS-y. To jest dopiero szczęście! A wyciągnięcie cewnika? Samodzielna wizyta w toalecie? To jest dowód na Boże miłosierdzie.

Wypaliło mi drogi oddechowe, nie czułem żadnych zapachów. Nie wiedziałem, że w sali pachniało moczem i kałem, pacjenci robili pod siebie. Pamiętam dzień, kiedy wreszcie poczułem zapach fekaliów. Nie macie pojęcia, jak się z tego smrodu ucieszyłem. Dziękowałem Bogu, że nie odebrał mi na zawsze powonienia. Dziękowałem, że – wybaczcie, ale takie fakty – poczułem gówno.

eprasa.pl f748ab3a69

Teraz czuję nawet las i kwiaty. Co więcej, widzę je. Widzę też moją córkę. Bóg mógł mi zabrać dwoje oczu, a nie zrobił tego. To niewyobrażalna łaska.

Ja pojechałem na front nie z potrzeby serca, ale dla przygody i sławy. Nie będę tego ukrywać. Chciałem zobaczyć, jak to jest. Poczuć zapach wojny. No i poczułem. Tam wszystko jest inne, wszystko ocieka adrenaliną. Nawet powietrze jest inne. Pisał o tym Erich Maria Remarque w książce *Na Zachodzie bez zmian*. Wojna nie mija, ona pozostaje w sercach na zawsze. Tam jest strasznie, ale też tam ciągle walczysz ze strachem. To doświadczenie nieopisywalne. Tak samo jak okupacja. Poczucie klaustrofobii w wielkim mieście. Świadomość zamknięcia, uwięzienia. Świadomość, że ci na blokpostach widzą w tobie wroga.

Niewolę odczuwa się fizycznie. Wolność odczuwa się fizycznie.

Notatka 17B/2019

Historia od niej.

Wyobraźcie sobie tę scenę dokładnie. Druga strona frontu. Mam szesnaście lat. Mieszkam z ojczymem i mamą. Z kolei mój rodzony ojciec zaciągnął się do sił DNR. Ledwie go poznałam w tym mundurze, z plecakiem wyładowanym sprzętem, z granatem w ręce. Jak go ostatnio odwiedziłam, bałam się koło niego siedzieć. Niby tata, ale w rękach trzymał coś, co może mnie zabić. A że naprawdę może, to zdążyłam już zobaczyć.

No więc takie są nasze relacje rodzinne. Ale teraz nie o tym. Teraz uciekamy z Doniecka. Mama z ojczymem zostaje, bardzo się jednak zlękła, wypycha nas stąd jak najdalej. Ojciec rodzony wie o tej ucieczce. W dzień, w który mamy wsiąść do pociągu, dzwoni i mówi: „Nie jedźcie, na trasie zaczną się zaraz ostrzały". Ja odpowiadam: „Jesteśmy już na peronie, nie mamy drogi wstecz".

Podjeżdża kijowski pociąg. Z wagonów wychodzi czterdziestu–pięćdziesięciu deenerowców. Ustawiają się w szereg i zaczynają przeszukiwać wszystkich pasażerów. Jeden ze zbrojnych wsiada do naszego wagonu. Ruszamy. Pada na nas strach, bo siedzimy z uzbrojonym nieznajomym. Nie mamy pojęcia, kim jest, po co jest, co mu strzeli do głowy. Piszemy więc do rodziców SMS-y, prosimy o modlitwę. Ci od razu dzwonią. Wypytują, co się dzieje. Potem dzwoni znajomy pastor-kapelan, który siedzi w Sztabie Generalnym. Każe nam przyjrzeć się deenerowcowi, opisać go. Pyta, co trzyma w rękach, jak jest ubrany, czy ma szewron. Ja odpowiadam szeptem, w końcu słyszę: „Wysiądźcie na stacji w Dnieprze, tam będą na was czekać policjanci".

Dojeżdżamy do Dniepru. Wstajemy, podchodzimy do wyjścia. Kuszetkowy opuszcza schodki i nagle do wagonu wbiega chmara wojskowych z bronią. Wymachują automatami, rzucają nas wszystkich na podłogę. Nie widzimy szewronów, nie wi-

eprasa.pl f748ab3a69

dzimy nic. Leżymy, żegnam się z bratem, który jest obok mnie. Wiemy, że coś poszło bardzo nie tak, że telefon musiał być na podsłuchu. Tym bardziej, że wojskowi chodzą nad nami i powtarzają ciągle: „Szukamy dziewczyny, szukamy dziewczyny". Obok wrzeszczą i lamentują jakieś nastolatki, jedna dostaje spazmów, nie da się jej uspokoić. Ja mówię do brata: „Edik, kocham cię, wybacz mi wszystko, zaraz umrzemy". Rok ode mnie młodszy braciszek odpowiada: „Milcz i módl się, wszystko będzie dobrze". Tak mówi Edik, ale zaraz staje nade mną żołnierz, szturcha mnie lufą w ramię, przeładowuje automat. No więc to koniec. No więc wybacz, Edik.

Żołnierz podnosi mnie. Wpatruje się uważnie. Kręci głową. Wychodzi z innymi z wagonu.

My zostajemy. Nie rozumiemy nic. A potem dzwoni pastor. Pyta: „I jak? Byli już chłopcy?". „Jacy chłopcy?" „No nasi, ukraińscy. Mieli poszukać separatysty i sprawdzić, czy jesteś bezpieczna. Tylko dyskretnie, pod pozorem małej maskarady".

Całą dalszą drogę się trzęsłam. Ciągle jeszcze myślałam, że zaraz mnie wysadzą i rozstrzelają.

Ale tak miało właśnie być. Oni nie mogli po prostu podejść i spytać. Tak w każdym razie twierdzi pastor-kapelan. Mówi, że wtedy mogliby na nas donieść współpasażerowie. Gdyby donieśli, to nadszedłby prawdziwy koniec, nie ten udawany.

A wcześniej z kolei odprowadzałyśmy na pociąg starsze siostry. Wtedy zaczął się prawdziwy ostrzał. Myślałam, że mnie trafią w plecy. Do tej pory słyszę ten dźwięk, do tej pory mną telepie, wrze coś w środku, kipi. Do tej pory mam w sobie ostrzał z Doniecka i maskaradę z Dniepru.

Jak przy tobie strzelają, to głuchniesz. Dygoczesz. Ja mam to do teraz. Nawet podczas defilady.

No więc tak zaczęła się moja dorosłość.

A potem poznałam Oleksija. Walczył, został ranny, wyrwało podniebienie. Niby rany na wojnie to nie nowość. Powiedzieli jednak, że wszystko wisi na włosku, nie wiadomo, czy Losza przeżyje. W czasie wojny rozumiesz, jak bardzo ktoś jest ci drogi. Pół roku po tym wydarzeniu wzięliśmy ślub.

Nie zamierzałam wychodzić za mąż w wieku osiemnastu lat. Nie chciałam nigdy przenieść się do Kramatorska. Miałam plany na pracę i na życie. Dziennie studiowałam ekonomię, zaocznie – dziennikarstwo. Do tego pracowałam i angażowałam się w życie Kościoła. Świat był piękny. Donieck był piękny. Za czasów Janukowycza pompowano w niego wielkie pieniądze. Nazywano go miastem róż.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Kramatorsk, pomyślałam: „Boże, gdzie mnie przywiało. Cóż to za zasmucająca dziura". Jechałam autobusem, rzucało mną na wszystkie strony, drogi jak patchwork, ani metra równego asfaltu. Pewnie jestem zepsuta, bo ja przywykłam do galerii handlowych, do parków, aquaparku, teatru. Tymczasem

eprasa.pl f748ab3a69

w Kramatorsku wysiadłam na centralnym placu i pomyślałam, że pomyliłam przystanki. Nie wiedziałam, gdzie ten plac. I dokąd pójść. (…) Gdyby ktoś mi powiedział w 2013 roku, że za kilka lat będę tu żyć z mężem, zaśmiałabym mu się w twarz. No ale stało się. Zrozumiałam, że tu nie ma nawet gdzie wyjść na spacer z dzieckiem. Może na bazar? Ale bazar jest zamykany o trzynastej, w Doniecku stragany działały do dziewiętnastej. Sklepów całodobowych nie ma w Kramatorsku w ogóle.

Oleksij (obrusza się): Jak to nie ma?

Mariana: Może jakiś kiosk się znajdzie.

Oleksij: Co ty mówisz? Wyjdzie na to, że Kramatorsk to wioska.

Mariana: Bo to jest wioska.

Oleksij: Dwieście tysięcy mieszkańców. To prawdziwe miasto.

Mariana: Nie mogę się z tobą, Losza, zgodzić.

Oleksij: To jest przyzwoite miasto do życia.

Mariana: Po wojnie wylali tu przynajmniej trochę asfaltu. Powstało jedno centrum handlowe. Cóż to było za wydarzenie! Pamiętam, jak kiedyś przyjeżdżali do mnie do Doniecka ludzie z Kramatorska czy ze Słowiańska (to właściwie to samo, mieściny są praktycznie połączone), biegli od razu do McDonalda. Patrzyłam na nich jak na dzikich. Wkoło parki, muzea, a ci pielgrzymują do Maca? Teraz, po czterech latach, zakup cheesburgera stał się wielkim wydarzeniem również dla mnie.

Oleksij: Ależ mamy lokal z hamburgerami…

Mariana: Nie o to chodzi!

Notatka 17C/2019

Historia od nich.

Oleksij: Wcześniej byłem bardziej kompromisowy. Kiedyś istniały po prostu różnice poglądów politycznych, ale podczas wojny ludzie zmienili się we wrogów. Przestałem wierzyć, że znam sąsiadów. Nie wiedziałem, któremu ufać, a który mnie sprzeda i wrzuci *w podwał*, do piwnicy.

Coraz trudniej głosiło mi się kazania.

Przestałem współczuć ludziom. A potem zauważyłem, że nie współczuję również sobie. Traciłem stopniowo znajomych i przyjaciół, odsiewałem tych, którzy opowiedzieli się za drugą stroną. Poczułem, że dzień za dniem gubię cząstki samego siebie. Najpierw to bolało. A potem po prostu stwardniałem. Ktoś zaczynał podawać argumenty nie naszej strony, kiwałem głową, mówiłem: „Dobra, dobra" i przestawałem słuchać, nic już dla mnie nie znaczył.

Najpierw myślałem, że wojna ukazuje istotę człowieczeństwa. Być może. Na pewno prowadzi do rozczarowania człowiekiem. Raz za razem. Coraz głębszego.

eprasa.pl f748ab3a69

Ale religią i Bogiem mimo wszystko się nie rozczarowałem. Pomimo bardzo ciężkich sytuacji. Bo Bóg ma rację, a człowiek nie ma racji. Bo człowiek zdradza, Bóg nie zdradzi.

A może jednak… No jednak rozczarowałem się do Niego. Ale to nie przez wojnę. Widzicie… Utraciliśmy z żoną dziecko. Dlatego przyszliśmy razem na tę rozmowę z wami. Bo to jest nasza wspólna historia. Opowieść o tym, jak straciliśmy syna z winy naszego kraju. Sytuacji w naszym kraju. Bo tu bardzo mało ludzi jest na swoich miejscach. Niewielu zna się na tym, co robi. My tego doświadczyliśmy w szpitalu.

Mariana: Jak to nie przez wojnę straciliśmy dziecko? A niby dlaczego tu jesteśmy? Wychowałam się w cywilizowanym miejscu. W mieście z dobrymi lekarzami, prawdziwymi specjalistami, wszystko na poziomie. I byłam przekonana, że moje życie tak właśnie będzie wyglądać: na poziomie. A potem wyszłam za mąż i trafiłam tutaj.

Zaszłam w ciążę. A w Ukrainie: jeśli nie zapłacisz, to po ludzku nie urodzisz. Wszystko trzeba wcześniej planować, jeździć, dogadywać się z lekarzami. Ja całe życie byłam przekonana, że będę rodzić w Doniecku, w pierwszorzędnej klinice położniczej, do której zjeżdżali zewsząd, kto tylko mógł. Ale kiedy trafiłam do Kramatorska, to zorientowałam się, że tu jest jeden oddział położniczy na całe miasto. Warunki – paskudne. W dwudziestym tygodniu robi się test na downa. U mnie wyszło, że down, lekarze zaczęli mnie namawiać na aborcję. Ja jako człowiek wierzący kategorycznie odmówiłam. Tym bardziej, że podobno lekarze zachęcają do aborcji z powodu profitów. Pojechałam od razu do zaufanego lekarza, a on: „Nic podobnego, z dzieckiem wszystko jest w porządku, wręcz wyśmienicie". Uspokoiłam się. Ale postanowiłam, że będę nawet rodzić, gdyby miał być downem.

Mija ciąża, zbliża się termin, nie wiemy, gdzie rodzić. Czy w Kramatorsku, czy może szukać w pobliskich miastach. Objeżdżamy oddziały położnicze, trafiamy do Słowiańska. Lekarz budzi zaufanie, robi wszystko, żeby się spodobać. Zostajemy u niego. Rodzę trochę przed terminem. Dziecko waży cztery kilo, a ja przed ciążą ważyłam czterdzieści. Odebrali poród niezbyt sprawnie, nie wiem, jak to wyrazić kulturalnie… Rozerwało mnie i z zewnątrz, i od środka. Pozszywali mnie. Co dalej? Skończyłam dziewiętnaście lat, nie miałam o niczym pojęcia. Nie odpuściła jeszcze narkoza, byłam półprzytomna, przynieśli mi niemowlę, powiedzieli, że będę z nim spać. Ja w szwach, nie wolno mi było ani wstawać, ani siadać. Zaczęłam tłumaczyć, że nie zdołam dziecka nawet przewinąć. No to na pierwszą noc synek został u lekarzy. Przynieśli go rano, wydawało się, że wszystko jest w porządku. Nadal nie wolno było mi wstawać, Losza pomagał, w czym mógł. Na wieczór znów wzięli dziecko. Przynieśli je rano do karmienia. Nie miałam pojęcia, jak to się robi. Myślałam, że coś mi pokażą, wytłumaczą. Nic z tego. Powiedzieli tylko: „Masz, karm". Zaczęłam więc go karmić. Zasnął. I nagle zorientowałam się, że nie oddycha. Za-

eprasa.pl f748ab3a69

czynam nim potrząsać, wołam: „Losza, on nie ma oddechu". Losza wybiega na korytarz, próbuje kogoś wezwać…

Oleksij: „On nie oddycha" – krzyczy do mnie Mariana. Nikt nas nie uprzedził, co w takiej sytuacji trzeba robić. Wybiegam, mijam kolejne sale, docieram do dyżurki, ale w środku pusto. Cały oddział pusty, nie ma nikogo w gabinetach. Znajduję w końcu sprzątaczkę: „Dziecko nie oddycha". Ona: „Biegnij na intensywną terapię". Sto metrów. Docieram do lekarzy, ci biegną znów sto metrów po dziecko, zabierają je, znów pokonują sto metrów i dopiero wtedy przystępują do reanimacji.

Syn leżał na plecach, nie wiedzieliśmy, że tak nie można. Udławił się mlekiem matki. Przywrócili funkcje życiowe, ale zapadł w śpiączkę z powodu niedotlenienia mózgu. Po dwudziestu dniach umarł. A taki był mocny, wzorcowo przeszedł test, miał silne serce, silny organizm… Nie dał rady.

Kiedy byliśmy w szpitalu, widzieliśmy straszne sceny: rodzice porzucali swoje dzieci, kiedy lekarze mówili, że te nie przeżyją. Widzieliśmy dzieci, które umierały w samotności. Obok naszego syna leżał Matwiej. Odszedł na naszych oczach. Potem patrzyliśmy, jak umiera nasz syn.

Mariana: Miałam wrażenie, że ze szpitala jest tylko jedno wyjście – do psychiatryka. Słyszałam za ścianą płacz dzieci, słyszałam, jak mamy je kołyszą i uspokajają. Mijałam wszystkie te mamy i dzieci, docierałam do syna, nad którym dało się już tylko modlić. I to krótko, pięć–dziesięć minut. Po cichu. I w samotności, bo razem z mężem wejść zakazali. Lekarze dociskali mnie psychologicznie. Mówili straszne rzeczy. Mówili, że to już nie dziecko, że to tylko powłoka. Mówili: „Po co tu jeszcze przychodzicie, bierzcie swoje rzeczy, jedźcie stąd. I nie przyjeżdżajcie więcej". Zabraniali zbliżać się do dziecka. Ja podchodzę, modlę się: „Boże, błagam, uzdrów go, przecież możesz". A personel: „Wystarczy, to nie zbór, nie dom modlitewny. W szpitalu się nie modli". Zaczynam śpiewać, bo słyszałam wielokrotnie, że ludzie w śpiączce słyszą. A ci: „Nie czas na karaoke". Zaczynam opowiadać bajkę, oni: „Starczy tego przeszkadzactwa". Głaszczę go po głowie, trzymam za rękę, ci zaczynają krzyczeć, że sterylność, że jestem złą matką, że jak mogłam nie zauważyć, że dziecko przestaje oddychać, jak mogłam do tego dopuścić, jak mogłam nie wiedzieć, że dziecko się może udławić, jak mogłam nie wiedzieć, jak go samodzielnie reanimować.

W końcu zemdlałam.

Jak jeszcze żył Matwiej i żył nasz syn, powiedziałam Bogu, że jeśli obaj przetrwają, to ja wezmę do domu obu tych chłopców. Tym bardziej, że rodzice Matwieja znikli, nie pojawiali się już w szpitalu. Nie mam prawa ich oceniać. Wiem, że gdybym nie była wierząca, sama bym zrobiła jak oni.

A po śmierci Makara zaczęłam powoli odchodzić od zmysłów. Leżałam dalej w szpitalu, spędziłam tam dwa miesiące. Nie to, że przestałam wierzyć w Boga. Ale

eprasa.pl f748ab3a69

nie widziałam żadnego sensu w dalszym życiu. Nie wiem, co może być straszniejszego od wizyty w kostnicy i momentu, kiedy dociera do ciebie, że w środku pojemnika, który ci podają, jest twój synek. Na cmentarzu nie byłam w stanie podejść do grobu. Staliśmy z mężem z boku, a wszyscy czekali na nas, żeby rozpocząć ceremonię.

Mieszkaliśmy wtedy na siódmym piętrze. I już po pogrzebie stanęłam na balkonie: „Wiem, że Bóg istnieje. Wiem, że jak skoczę, trafię do piekła". Ta świadomość mnie jednak nie powstrzymała. Widziałam przede wszystkim obrazy. Syna w grobie. Syna w śpiączce. Syna ze zdeformowaną głową, bo od niedotlenienia jego głowa zaczęła pęcznieć, przyjmować inny kształt. Widziałam jeszcze plątaninę rurek i kabli. Nie potrafiłam tych obrazów odegnać. A oprócz obrazów przychodziły słowa. Słyszałam lekarzy, którzy mnie obwiniali. Ja sama zaczynałam się obwiniać, zastanawiałam się, czy go nie zadusiłam we śnie. Samobiczowałam się. Chciałam umrzeć. Chciałam nie wstać. Niczego nie chciałam. Tylko tego chciałam.

Czy tragedia może wzmocnić? W pewnym wymiarze. Ale tragedia to również rana, która zostaje na zawsze. Minęły już trzy lata. Za każdym razem, kiedy to wspominam: płaczę.

Jak się zebrałam do skoku, wszedł mąż. Nie chciałam, żeby patrzył. No więc wtedy nie skoczyłam. Ale potem przymierzałam się jeszcze kilka razy.

Po porodzie leczyłam się przez pół roku, bo w szpitalu wdała się infekcja. Po sześciu miesiącach zrobiłam badania kontrolne. Spojrzałam: wszystko OK, tylko jeden wynik pozytywny. Konsultacja z lekarzem dopiero za dwa dni, zaczęłam więc oczywiście szukać w internecie. Przeczytałam, że wynik pozytywny możliwy tylko jest w dwóch przypadkach: albo jesteś w ciąży, albo masz WZW. Zrozumiałam, że w szpitalu mogli mnie zarazić czymkolwiek. Właśnie wtedy zaczęłam krzyczeć. Właśnie wtedy krzyczałam: „Boże, za co to wszystko?". Właśnie wtedy byłam już całkowicie gotowa odejść.

A po dwóch dniach odwiedziłam lekarza, spojrzał na wyniki, nie chciał w nie uwierzyć. Mówił, że niemożliwe, że przecież poprzednio nic nie wyszło. Okazało się, że pomieszali badania.

Wtedy przeprosiłam Boga.

Kiedy tragedia cię łamie, zmienia zupełnie twoje wyobrażenie o świecie. Ona zawłaszcza i przekształca całą świadomość. Wywraca hierarchię wartości. Wszystko, co wydawało ci się ważne, w jednej chwili traci znaczenie. Dobrze, jeśli rozumiesz, że jest coś więcej, że jest jakaś wartość ponad. Wtedy jesteś w stanie współczuć ludziom, którzy znajdą się w podobnej sytuacji.

Wielu starało się nam pomóc, wielu próbowało mnie pocieszyć. Wypowiadali jednak frazy, które mnie zabijały: „Nie martw się, będziesz mieć następne dzie-

eprasa.pl f748ab3a69

ci", „To dopiero pierwsze, z kolejnym będzie lepiej", „Wszystko przed tobą". A ja nie chcę innych, ja nie chcę tego, co przede mną, ja chcę Makara, którego trzymałam już w objęciach. Widziałam go, karmiłam, przewijałam.

Zadzwoniła para znajomych, okazało się, że stracili dwójkę dzieci, nic o tym wcześniej nie wiedzieliśmy. Znajoma powiedziała: „Nie będziemy nic mówić, wiemy, że żadne słowa nie mają sensu. Wiedz tylko, że jeśli będziesz chciała przy mnie płakać, jestem. Zawsze możesz przyjechać".

Czy tragedia może wzmocnić? W pewnym wymiarze. Ale tragedia to również rana, która zostaje na zawsze. Minęły już trzy lata. Za każdym razem, kiedy to wspominam: płaczę. Ciągle boli. Tragedia to krzyż, który niesiesz i będziesz nieść do końca życia.

Oleksij: Bardzo ciężko było z przyjaciółmi. Krewnemu urodziła się córka. Obraził się, że nie cieszymy się jego szczęściem. A ja pragnąłem, żeby w każdej rodzinie umarło dziecko. Nie po złości. Chciałem po prostu, żeby ktoś nas zrozumiał. Dobrze w Biblii napisano: radujcie się z radującymi, płaczcie z płaczącymi. Należałoby jednak dodać, że płakać z płaczącymi jest łatwiej niż się radować z radującymi. Dzwoniła znajoma, płakała w słuchawkę szczerze, ale wiedziałem, że potem obejmie swoje dzieci, za dwa dni będzie szczęśliwa. A my wpadliśmy do czarnej jamy. Na długo.

Ludzie nas nie rozumieli. Mówili frazesy. Radzili, by się rozerwać, oglądać jakieś filmy… Filmy? O czym mowa?

Kiedy syn jeszcze żył, usłyszałem w szpitalu szloch piętro wyżej. Płakał mężczyzna. Był sam. Powiedział mi, że żona poroniła. Ja do niego, że go rozumiem, że mój syn jest w śpiączce. On wtedy na mnie tak popatrzył… Nie rozumiałem. Bo mój syn był jeszcze chociaż w śpiączce, jego dziecka nie było.

W Ukrainie jest taki dziwny zwyczaj, że pisze się na murach koło kliniki położniczej: „Dziękuję, najdroższa, za syna, za córkę" i tak dalej… Nikt jednak nie zauważa tych, którzy wychodzą bez dziecka. Opuszczają klinikę tylnymi drzwiami i idą w piekło. Ta droga jest nikomu nieznana i przez nikogo nienazwana.

Wiem, że to Bóg pomógł nam nie oszaleć. Pogrzeb dziecka to jedno. Pamiętam, jak przy każdym wbijanym gwoździu w trumienkę żonę przechodził dreszcz. Niemniej, tego dnia potrafiliśmy się nawet uśmiechnąć. Wydawało się, że się coś dopełnia, że najgorsze za nami. Ale czas depresji jest nieporównywalnie bardziej tragiczny.

Nie da się wytłumaczyć, co czujesz, kiedy będąc w tym stanie, słyszysz śmiech dzieci.

Podwoziliśmy wtedy do kościoła jedną rodzinę z trójką dzieci. Mariana poprosiła mnie: „Nie woź więcej tych ludzi". Mnie było niełatwo, ale ona nie była w stanie znieść słowa „mama" z ust dzieci. Dlatego naprawdę przestaliśmy tę rodzinę podwozić. Nie zrozumieli. Obrazili się.

eprasa.pl f748ab3a69

Mariana: Za każdym razem pytałam. Nie „za co?" nawet, ale „dlaczego?". Dlaczego nasz syn, dlaczego właśnie taki koniec, dlaczego z wszystkich klinik położniczych trafiliśmy właśnie do Słowiańska, dlaczego wybraliśmy tego doktora, dlaczego akurat ci lekarze mieli wtedy zmianę, dlaczego nikogo nie było na dyżurce, dlaczego stracili kluczowe sekundy i minuty, biegając w tę i z powrotem. Dlaczego nie wskrzesiłeś go, jak zrobiłeś to z Łazarzem.

Oleksij: Przecież mogłeś dokonać cudu dla tych ludzi, niechby cały szpital zrozumiał, że naprawdę istniejesz. A Bóg powiedział: „Nie". Bardzo nie spodobała mi się ta odpowiedź. Ale On jest suwerenny. Ja nadal wierzę w życie wieczne. Wiem, że syn czeka na mnie w niebiesiech. Tutaj szukamy wszyscy rzeczy ziemskich, majątku, nieruchomości, dobrego auta. Zakorzeniamy się w tym życiu najmocniej, jak się da. Sam taki byłem. Dużo pracowałem, chciałem zabezpieczyć nam byt, bo im mniej biedy, tym szczęśliwiej. Ale teraz wiem, że w niebie czeka ten, z którym naprawdę chciałbym porozmawiać. Nie pamiętam nawet jego głosu. Nie znam jego charakteru. Ale w Wieczności wszystkiego się dowiem. To daje nadzieję. Dzięki wierze wiem, że syn nie jest martwy. Chrystus zmartwychwstał. On pierwszy powiedział, że śmierć nie istnieje. To daje siłę iść dalej. Nadal wierzyć. Służyć ludziom, którzy nie wierzą.

Mariana: Tam była jedna bardzo szorstka lekarka, stuprocentowa ateistka. Od nikogo nie usłyszałam tylu słów nasyconych złością, nienawiścią. Mówiłam więc: „Boże, jak nie dla wszystkich, to dokonaj cudu choćby dla niej. Niech chociaż ona zrozumie, że istniejesz. Okaż swoją siłę. Ja naprawdę wierzę, że możesz go podnieść".

Nigdy wcześniej, przez całe dziewiętnaście lat swojego życia, nie miałam znaczących snów. A wtedy przyśnił mi się taki sen po raz pierwszy. To był piątek. Rozmawialiśmy o przewiezieniu naszego syna do Kijowa, że może tam jest szansa na pomoc. Transport miał być we wtorek, a w piątek usłyszałam w nocy wyraźnie: „Za trzy dni wszystko się rozstrzygnie". Obudziłam się z tym zdaniem w uszach. I żyłam przez trzy dni nadzieją, że chodzi o uzdrowienie, że za trzy dni go przewieziemy i wszystko będzie dobrze. We wtorek rano dowiedzieliśmy się, że nie żyje. Otrzymałam więc odpowiedź od Boga, ale nie taką.

Jakiś czas później pojechaliśmy do Kijowa. Szłam do metra koło Złotej Bramy, tłum ludzi. I w tym tłumie trafiłam na przechodnia. Nieznajomy starszy człowiek. Patrzył na mnie uporczywie, patrzył tak strasznie, że próbowałam go ominąć, uciec. Ten łapie mnie za rękę, zatrzymuje: „Powiem coś teraz pani, ale właściwie to nie ja, tylko Bóg. Widzę nieszczęście, łzy, widzę niemowlę, chyba chłopca. Przyjmij tę śmierć jako błogosławieństwo". Ja stoję, patrzę, zaczynam płakać. Dziadek patrzy na mnie, nic nie rozumie, pyta: „Ktoś naprawdę umarł?". „Mój syn". Wtedy on zaczyna płakać razem ze mną. Stoimy, nieznajomi sobie ludzie, w centrum Kijowa, milionowego miasta, i płaczemy. Najpierw mnie to przeraziło, potem zrozumiałam,

eprasa.pl f748ab3a69

że Bóg nie odpowiedział, co prawda, dlaczego to wszystko, ale powiedział przynajmniej, że jest przy mnie.

Tej odpowiedzi się trzymam.

Oleksij: Teraz widzimy, że modlitwy wymagają ostrożności. Że ludzie nie rozumieją, o co proszą. Bo jeśli proszą Boga, by dał im siły, to ich zrani, by tę siłę w sobie odkryli. Jeśli proszą o wiarę, to doprowadzi ich do stanu, w którym wiarę całkiem utracą bądź ją odzyskają.

Bóg działa przez nas. I potrafi wierzących w Niego straszliwie doświadczać. Jego wola jest niemożliwa do zrozumienia.

Notatka 17D/2019

Ja: Pytacie Go jeszcze o coś?

Oni: No jednak o to samo. Dlaczego odebrał nam syna. Dlaczego ludzie umierają. Dlaczego trwa wojna. Klasyczne pytania teologiczne.

Reportaż jest fragmentem z książki Szuga. Krajobraz po imperium *Jędrzeja Morawieckiego, która ukaże się w marcu 2022 roku nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik".*

Jedrzej Morawiecki jest pisarzem, publicystą. Doktor filologii słowiańskiej oraz socjologii. Adiunkt w Instytucie Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego.

eprasa.pl f748ab3a69

Memoriał
To prawdziwa wojna

Z Iriną Flige, dyrektorką Centrum Naukowo-Informacyjnego Memoriał w Petersburgu, rozmawia Anna Łazar

ANNA ŁAZAR: Władze Federacji Rosyjskiej zdelegalizowały Memoriał – organizację zajmującą się pamięcią o ofiarach represji w Związku Radzieckim i obroną praw człowieka. Prokuratura złożyła wniosek o likwidację Międzyregionalnej Organizacji Społecznej Centrum Obrony Praw Człowieka Memoriał oraz Międzynarodowego Centrum Memoriał w listopadzie 2021 roku, w grudniu wydano zgodny z tym wnioskiem wyrok, zaś prześladowanie organizacji zaczęło się jeszcze w roku 2015.

IRINA FLIGE: Prokuratura Generalna zażądała w Sądzie Najwyższym likwidacji międzynarodowego Memoriału, natomiast prokuratura moskiewska złożyła podobny wniosek do Miejskiego Sądu Moskwy (Gorsud Moskwy), domagała się likwidacji Centrum Obrony Praw Człowieka Memoriał. W obu wypadkach pretekstem jest fakt, że organizacje nie określają się mianem „Agent Obcego Wpływu". Inicjalny atak na społeczną organizację Memoriał ze strony państwa polegał na wpisaniu go do rejestru organizacji pełniących taką funkcję. Nastąpiło to w październiku 2016 roku. Pierwszy wariant ustawy o „Agentach Obcego Wpływu" Duma przyjęła jeszcze w 2012 roku. Pomysł był taki, żeby powstała lista organizacji pozarządowych otrzymujących granty z zagranicy. Stopniowo nowelizacje zapisów pozwalały zataczać obławie coraz szersze kręgi. W 2017 roku do rejestru trafiły nawet zagraniczne media działające w Rosji. Powód drugi, wymierzony już tylko w Centrum Obrony Praw Człowieka Memoriał, to według prokuratury usprawiedliwienie działalności międzynarodowych terrorystycznych i ekstremistycznych organizacji. O co chodzi? O nieustannie aktualizowany rejestr politycznych więźniarek i więźniów w Rosji. Ale zamknięcie Memoriału jest po prostu niemożliwe. Można zakazać działać organizacji. Można na nas napaść, ale zamknąć nas nie są w stanie, dlatego że nie oni go zakładali i nie oni w nim pracują. To jest potężny ruch społeczny i nie sposób go unieważnić.

Czego władze się obawiają? Co je tak rozjusza?

W ostatnich latach waga pracy z przeszłością stała się już jasna. Ogromnie wzrosła społeczna potrzeba zrozumie-

eprasa.pl f748ab3a69



Archiwum prywatne

Minęło już blisko osiemdziesiąt lat, a nadal nie możemy w swobodny sposób badać historii terroru i Gułagu. Są różne sposoby pracy z historią, można ją potraktować również jako dziedzictwo. I to dziedzictwo zostało przez Rosję przyjęte. Problem w tym, że nie zostało przyjęte zbiorowo, a każdy wziął sobie po części. Na przykład rosyjska władza przyjęła spadek po NKWD i KGB. A co leży w sercu tego dziedzictwa? Radykalne ignorowanie interesów i dobrostanu ludzi. Osią tej konstrukcji jest prawo do zabójstwa.

nia historii terroru, historii Gułagu. Przy czym wzmożenie zainteresowania radziecką przeszłością i historią bierze się nie tylko z chęci odczytania losów swoich przodkiń i przodków. To odpowiedź rosyjskiego społeczeństwa na bezprawie i falsyfikację dzisiejszej rzeczywistości. Beznadzieja teraźniejszości stawia pytanie: a jak to było wcześniej? Nie chodzi tylko o przeszłość. Owszem ludzie mają też potrzebę zrozumienia, co stało się z moimi krewnymi. Teraz szukają już nie dzieci, jak w latach osiemdziesiątych XX wieku, lecz wnuki, prawnuki. I to jest pokolenie, w którym wychodzi na jaw skala terroru. Bo nie ma w Rosji ani jednej rodziny, której nie dotknąłby terror. W poprzednim pokoleniu mogło być tak, że życie potoczyło się na tyle wyjątkowo, że ocalało pojedyncze ognisko domowe. Ale kiedy patrzymy na linię wnuków i prawnuków, to w każdej rodzinie znajduje się ofiara represji. Ci właśnie ludzie zwracają się do nas z prośbą o pomoc w odnalezieniu śladu dziadka, babci, prababci, pradziadka. Zacieranie owych śladów łą-

eprasa.pl f748ab3a69

czą z ograniczeniem praw i wolności we współczesnej Rosji. Mamy tu do czynienia z łańcuchem przestępstw: fałszowanie spraw sądowych, tortury w więzieniach, koloniach karnych, łagrach, tortury na komendach policji. Jesteśmy świadkami przestępstw politycznych, unieważnienia konstytucji. Łańcuch zbrodni jest dziedzictwem przeszłości.

Czyli budzi się szersza potrzeba zbudowania obywatelskiej pamięci o przeszłości?

Widzę to w całej Rosji. Kilka lat temu mówiłam, że w Rosji brakuje pamięci historycznej, jej miejsce zajęła atrapa. Nigdy nie mieliśmy prawdziwej ustawy o lustracji. Ustawa o rehabilitacji ofiar represji radzieckich ma charakter imitacji. Dotyczące upamiętnienia ofiar programy prezydenckie, początkowo Dmitrija Miedwiediewa, a potem Władimira Putina, są oparte na prymitywnym przekazie. Tak, były ofiary, ale ta zbiorowa ofiara miała sens. No tak, wielu zginęło, ale za to ile udało nam się zbudować, przecież w końcu jednak zwyciężyliśmy.

Minęło już blisko osiemdziesiąt lat, a nadal nie możemy w swobodny sposób badać historii terroru i Gułagu. Są różne sposoby pracy z historią, można ją potraktować również jako dziedzictwo. I to dziedzictwo zostało przez Rosję przyjęte. Problem w tym, że nie zostało przyjęte zbiorowo, a każdy wziął sobie po części. Na przykład rosyjska władza przyjęła spadek po NKWD i KGB. A co leży w sercu tego dziedzictwa? Radykalne ignorowanie interesów i dobrostanu ludzi. Osią tej konstrukcji jest prawo do zabójstwa. Władza ma prawo do zabicia każdego człowieka. I to przekonanie o prawie do unicestwienia osoby, wartości czy organizacji dotarło również do nas. Przy tym Rosja cierpi jednocześnie na potężny kompleks ofiary. Jest to zjawisko dziwaczne i groźne. Trudno z nim żyć, oczywiście nie tylko w naszym kraju, ale dla nas jest to szczególnie dojmujące. Memoriał w świadomy sposób przeciwstawia się historycznej mitologii, budowanej na zbiorowej podświadomości dotkniętej tym kompleksem, ale przede wszystkim przeciwstawia się odgórnie formowanej poprzez historyczno-kulturowe stereotypy nowej ideologii putinizmu. Brakuje nam nawet konkretnego chronologicznego punktu na osi czasu, gdzie moglibyśmy powiedzieć: „To jest przeszłość. A to jest dzień dzisiejszy".

Pamiętam nasze rozmowy o tym, że szczytowy moment działalności Memoriału przypadł na lata osiemdziesiąte XX wieku. Szukano śladów po bliskich osobach, dokumentów, miejsc pochówku. To był energiczny początek. Potem ludzie zajęli się czymś innym. Nastąpił odpływ, a zainteresowanie historią stało się punktowe. A teraz widzisz ogromną falę społeczną, która dąży do wyjaśnienia historii.

Memoriał powstał pod koniec lat osiemdziesiątych XX wieku, kiedy w kraju wszyscy mieli poczucie nieodwracal-

eprasa.pl f748ab3a69

nych zmian. Zmian nie tylko w stosunku do przeszłości, ale również w sferze gospodarki, kultury, polityki. Nie chodziło o ideologię, ustrój państwa, a nawet nie o „kwestię gospodarczą". Pod koniec lat osiemdziesiątych komunistyczna doktryna przestała być podstawą „ustroju socjalistycznego", miała jedynie funkcje rytualno-dekoracyjne. Bitwa o historię, która rozegrała się w latach 1986–1991 nie była drugorzędnym komponentem pierestrojki, a jej kręgosłupem. Pojawiło się wiele partii, komitetów ochrony i budowy pomników, ruchów ekologicznych. Jednak przy całej różnorodności ówczesnego życia dla wszystkich było jasne, że praca z przeszłością, przepracowanie doświadczeń terroru i Gułagu jest gwarancją nieodwracalności zmian. Odczuwali to wszyscy i w polityce, i w kulturze. To miał być kamień węgielny nowego społecznego porządku, to dlatego w latach dziewięćdziesiątych Memoriał był ruchem masowym. W wielu miastach ówczesnego ZSRR odbywały się wielotysięczne mityngi z żądaniem ujawnienia wszystkich nazwisk ofiar. Skandowano pytanie: „Gdzie są groby naszych ojców?". Potężna, tłumiona strachem i represjami zbiorowa potrzeba znalazła wreszcie ujście.

Potem nastąpiły dwa istotne wydarzenia: sierpniowy pucz Gienadija Ziuganowa i zwycięstwo nad nim. Wtedy jeszcze Borys Jelcyn (kierując się strachem) przyjął ustawę o delegalizacji Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i o przekazaniu archiwów KGB pod ochronę państwa. Dużo się wtedy wydarzyło. Nic nie zostało dokończone i ostatecznie wszystko się posypało. Po zwycięstwie nad puczem u władz opadło zainteresowanie wyjaśnieniem przeszłości. Wojna pamięci toczy się w Rosji od połowy 2010 roku. Twórcy nowej ideologii państwowej są energiczni, agresywni, mają potężne środki propagandowe, oświatowe i oczywiście prawne. Są ambitni i zdeterminowani do wprowadzenia totalnej kontroli państwa nad historią. To prawdziwa wojna. Mamy ofiary, jeńców, oczyszczanie podbitego terytorium. Natomiast obecna fala zwrotu do historii jest motywowana dniem dzisiejszym. Krąg się zamknął.

Mówiłaś zawsze, że Memoriał rozumiał, że trzeba być jednocześnie w kilku miejscach i w różnych hipostazach. Czy patrzysz też na życie innych organizacji społecznych?

To samo dzieje się ze wszystkimi organizacjami obywatelskimi, a szczególnie zajmującymi się prawami człowieka. Jeszcze w 2013 roku było jasne, że przyjęto linię czystki społeczeństwa obywatelskiego. Odbywało się to stopniowo, najpierw była wspominana ustawa o „Agentach Obcego Wpływu", która, co zabawne, sporo czerpała z amerykańskich pomysłów lat pięćdziesiątych na przeciwdziałanie infiltracji rządowych instytucji przez członków Komunistycznej Partii Stanów Zjednoczonych. Niezależne życie obywatelskie jest obecnie znacznie żywsze, niż było na przykład w 2010 roku. To są nieformalne grupy ludzi niemających statusu prawnego. Nie ma w nich członko-

eprasa.pl f748ab3a69

stwa. Myślę, że to nie tyle jest zejście do podziemia, ile rozwój inicjatyw obywatelskich w uchodźctwie.

Tak, to zupełnie inny typ życia instytucjonalnego. Organizacje pozarządowe w Polsce budowane były na podstawie zasady transparentności, ale wariant, o którym opowiadasz, posługuje się hasłem: „Nie poddamy się kontroli, bo prowadzona jest w złej wierze".

Tak, bo tutejsza kontrola nie służy przejrzystości, a temu, żeby łatwiej było organizację zniszczyć. Inna rzecz, że nawet jeśli jakaś grupa ludzi chciałaby uzyskać status organizacji, to nie mogą tego zrobić, bo wszelkie wnioski i próby rejestracji są odrzucane. W Rosji coraz większe znaczenie ma pojedynczy człowiek. Ufasz konkretnym ludziom, a nie organizacji z pewną nazwą. To ludzie otwierają swoje kanały w Telegramie i innych komunikatorach, realizują reportaże – sami je piszą i sami wydają. I to jest wszystko piękne. Jak wiesz, mam upodobania anarchistyczne, więc taki typ działania jest mi bliski. Za Memoriałem stoją też ludzie, chociaż nazwa ma znaczenie. Nie jesteśmy dużą organizacją, ale w sumie blisko siedemdziesiąt organizacji jest zrzeszonych w międzynarodowym Memoriale. Moskiewski Memoriał ma wielu współpracowników oraz muzeum i kolekcję. Podobnie jest w Petersburgu, chociaż na znacznie mniejszą skalę. Nasze organizacje działają w Permie, Riazaniu, Jekaterynburgu i innych miastach. W Rosji nie ma ani jednego człowieka, który nie znałby Memoriału. O ile w latach dziewięćdziesiątych czy dwutysięcznych byli ludzie, którzy nie słyszeli nazwy organizacji, to teraz jest to niemożliwe. Wszyscy wiedzą też, że Memoriał zajmuje się pamięcią, prawami człowieka. I dlatego nie można Memoriału po prostu zamknąć.

Jak ta sytuacja wpływa na osobiste życie ludzi pracujących w Memoriale?

W Rosji jest duży poziom strachu. Zarówno wśród ludzi, którzy znajdują się w strefie bezpośredniego zagrożenia, jak i u tych, którzy niby jeszcze w niej nie są.

Jak ostatnio wyglądały kontakty z europejskimi, polskimi i międzynarodowymi współpracownikami Memoriału. Instytucjonalnymi, państwowymi i indywidualnymi. Coś się zmieniło?

Jak tylko się dowiedzieliśmy o działaniach prokuratury, wszyscy zrozumieli, że rozkaz idzie z samej góry i że decyzja została już przyjęta, a sąd, który nas zlikwidował, pełnił jedynie funkcję „dekoracyjną". Walczyć trzeba jednak do końca. Poziom wsparcia z Europy jest ogromny. Mnóstwo deklaracji płynie od polityków, uczonych, dostajemy listy poparcia. W Rosji także poparcie jest masowe. Memoriał to element społeczeństwa rosyjskiego. Z kim bowiem jeszcze można w Rosji prowadzić konstruktywną rozmowę w dziedzinie historii, pamięci, praw człowieka? Jesteśmy bardzo

eprasa.pl f748ab3a69

wdzięczni za okazywane nam wsparcie. Pismo wysłane przez Komisję Europejską do Putina to potężny kaliber. Nawet pisarka Ludmiła Pietruszewska zrezygnowała z przyjęcia państwowej nagrody, chcąc w ten sposób wyrazić poparcie dla Memoriału.

Memoriał to jest też składowa materialna – archiwa, obiekty muzealne, badania. Co się stanie z tym dziedzictwem? Czy macie scenariusze, jak je zachować? Zamkną biura i archiwa przepadną. Pewnie byliście przygotowani na taki wariant?

Mamy kilka scenariuszy. Powiem to, co możemy ujawnić. Bez wątpienia będziemy kontynuować pracę. Poza tym z pewnością zadbamy o wszystko, o co dbamy dotychczas. Jest taka historia w bajce o Buratino (radzieckiej wersji Pinokia). Malwina uczy Buratino liczyć i mówi do niego: „Popatrz: masz trzy jabłka, ale ktoś przyszedł i zabrał Ci jedno jabłko. Ile jabłek zostanie?" A Buratino mówi , że trzy. Malwina rozkładając ręce, pyta, a dlaczego trzy, przecież przyszedł ktoś i jedno ci zabrał. A Buratino na to: „Ja nie dam ktosiowi jabłka". Nie oni zakładali Memoriał i nie oni będą go zamykać.

Irina Flige jest dyrektorką Centrum Naukowo-Informacyjnego Memoriał w Petersburgu. Specjalizuje się w badaniach historii radzieckiego terroru, pamięci o Gułagu we współczesnej kulturze materialnej, nekropolityki terroru i Gułagu. Współrealizowała wiele projektów dotyczących upamiętnienia Polaków tragicznie zmarłych na terenie byłego ZSRR.

eprasa.pl f748ab3a69

Wybieranie rodzynek z ciasta

Z Piotrem Oleksym, autorem książki *Wyspy odzyskane. Wolin i nieznany archipelag*, rozmawia Kamil Całus

KAMIL CAŁUS: Dorastając na naszych wyspach – bo nie ma chyba sensu ukrywać przed czytelnikami, że obaj pochodzimy z wyspy Wolin – przez długi czas żyłeś w przekonaniu, że mieszkasz w pięknym miejscu bez historii. Tym stwierdzeniem zaczynasz zresztą swoje *Wyspy odzyskane*. Kiedy uznałeś, że historia lokalna jest jednak czymś ważnym? Czymś wartym poznania?

PIOTR OLEKSY: Gdzieś pod koniec studiów. Wtedy już dość intensywnie podróżowaliśmy po Europie Wschodniej i Rosji. Przyglądałem się tam z rosnącą uwagą procesom powstawania różnych tożsamości i narracji historycznych, o które przecież ludzie potrafili zupełnie na poważnie spierać się, a nawet walczyć. W jakimś sensie zostałem więc ukształtowany, a może wprost „skrzywiony" przez tę wschodnioeuropejską perspektywę, gdzie historia ma tak ogromne znaczenie. W dużej mierze temu poświęcona jest moja książka *Naddniestrze. Terror tożsamości*. Bo faktycznie, nadmierne przywiązanie do historii, etniczności i wyobrażenia o tym, „kim jesteśmy", może być formą terroru. Ale równocześnie zupełny brak tożsamości zbiorowej w danym regionie powoduje, że traci on podmiotowość w relacjach z centrum lub innymi regionami. I taki problem dostrzegam w przypadku Pomorza Zachodniego i naszych wysp.

Na czym ten brak podmiotowości miałby polegać?

Na przykład na przyzwoleniu, by deweloperzy, stawiając wielkie hotele i apartamentowce, mogli robić z naszą przestrzenią, co tylko im się podoba. Lokalna społeczność wcale na tym nie zyskuje, traci krajobraz kulturowy, niszczona jest przyroda. Czyli cała regionalna specyfika zostaje przykryta betonem. Ma to również wymiar polityczny, czego przykładem jest budowa tunelu łączącego Świnoujście z wyspą Wolin. Jest to projekt finansowany w 85 procentach z funduszy Unii Europejskiej, a w 15 procentach z budżetu miasta. Moglibyśmy wokół tego zbudować piękną opowieść o lokalnej europejskości, Świnoujściu jako miejscu, w którym regionalizm łączy się ze swoistym kosmopolityzmem. Tymczasem na tunelu „pasą się" politycy obozu rządzącego, którzy obudowują projekt narracją o racji stanu.

eprasa.pl f748ab3a69

A może uwiera to tylko Ciebie i grupkę podobnych pasjonatów? Przeszłość jest dla mieszkańców regionu czymś ważnym?

Mam taką tezę, może nieco śmiałą, trochę publicystyczną, że społeczeństwo na „Ziemiach Odzyskanych", a szczególnie na Pomorzu Zachodnim, które znam najlepiej, jest – w porównaniu z resztą polskiego społeczeństwa – znacznie bardziej zorientowane na teraźniejszość i przyszłość, a nie na przeszłość. W swoim myśleniu o własnym miejscu w czasie i przestrzeni zastanawia się raczej nad tym, co jest teraz i co będzie, niż na aspektach historycznych. Widać to na przykład w wynikach wyborów – ugrupowania prawicowe, które zwykle bazują na sentymentach historycznych, uzyskują tu w skali kraju najgorsze rezultaty. Bierze się to przede wszystkim ze specyficznej struktury społecznej – tutejszy elektorat stanowią ludzie, którzy przybyli na te tereny po 1945 roku, oraz ich potomkowie. Lokalną społeczność tworzyli więc osadnicy przybywający tu z terenów centralnej Polski, Wielkopolski czy Kresów. Ludzie ci żywili ogromny sentyment do swoich małych ojczyzn, które przyszło im porzucić, ale jednocześnie chcąc wrosnąć w tę nową społeczność, nową wspólnotę, musieli zrezygnować z rozpamiętywania przeszłości, zepchnąć ją na drugi plan. To był bardzo powolny proces, zachodzący czasem w drugim lub trzecim pokoleniu.

Władze w tym czasie promowały narrację o „Ziemiach Odzyskanych" i powrocie na ziemie piastowskie. I jasne, wielu ludziom dawała ona poczucie sensu, tłumaczyła ich obecność na tym akurat kawałku ziemi, ale nie wydaje mi się, by była ona dla osadników szczególnie istotna w dłuższej perspektywie. Dla tego, kto decydował się pozostać na Pomorzu Zachodnim na całe życie, opowieść o „odzyskiwaniu ziem piastowskich" nie mogła stanowić punktu odniesienia. Ziemie te były im tak naprawdę obce zarówno w wymiarze rodzinnym, jak i kulturowym. Pomorze Zachodnie nie było areną ważnych dla Polski wydarzeń historycznych, wojen czy powstań, nie było tu liczących się z polskiego punktu widzenia ośrodków kultury i sztuki, nie można było o tym regionie przeczytać zbyt wiele u Sienkiewicza czy Prusa. Nie był on obecny ani w kulturze, ani w edukacji.

To skupienie się na teraźniejszości nie jest czymś jednoznacznie negatywnym. Sprawia, że społeczność lokalna jest dynamiczna, bardzo przedsiębiorcza i śmiało realizująca różne projekty, w tym biznesowe. Mimo to pewne zakorzenienie w historii lokalnej jest konieczne, by poza gospodarką móc budować także społeczność, wspólnotę. I to taką, która będzie miała poczucie własnej podmiotowości, szczególnie w relacji z „centrum".

Z czego wynika ten brak zrozumienia, a może wprost – brak szacunku „centrum" dla dziedzictwa „Ziem Odzyskanych"?

Między innymi z tego, że wyobrażenie wielu Polaków o kształcie terytorium narodowego nie pokrywa się ze współczes-

eprasa.pl f748ab3a69

nymi granicami naszego kraju. Ta mentalna mapa Polski – szczególnie dla mieszkańców Warszawy czy Krakowa – jest przesunięta na wschód. W pamięci historycznej, a nawet w historiach rodzinnych mieszkańców Mazowsza czy Małopolski, istnieje Lwów, Truskawiec i Grodno, ale już nie Szczecin czy Wrocław. Dla mnie to element szerszej narracji o tym, „gdzie leży Polska". Obecnie zdominowana jest ona przez przedstawicieli osi Kraków–Warszawa–Gdańsk. Zbyszek Rokita nazywa to po prostu „narracją wiślaną". W tej wizji obecne są również „Kresy", które pełnią funkcję duchowo-kulturowego fundamentu. Dla Ziem Zachodnich nie ma tu specjalnie miejsca. Wyjątkiem od tej reguły do pewnego stopnia jest Wrocław, który zdołał przebić się do świadomości „wiślan" i jest dziś dostrzegany. Pytanie, na ile wynika to z faktu, że Wrocław został zasiedlony w dużym stopniu przez Lwowian.

Ale czym właściwie jest to regionalne dziedzictwo Pomorza Zachodniego?

Nasze regionalne dziedzictwo jest w znacznej mierze dziedzictwem niematerialnym, mentalnym. To zbiór ludzkich historii, których wartości często sobie nie uświadamiamy, bo często uważamy je za coś zwykłego. Ale kiedy wsłuchamy się w te rodzinne opowieści, to dostrzeżemy, jak bardzo są niezwykłe, poruszające, działające na wyobraźnię. Znajdziemy opowieści w stylu Dzikiego Zachodu, o osadnikach, którzy przybywali na te ziemie, o słabości administracji publicznej, o rządach silniejszego, o procederze szabru i wszystkim tym, co znamy chociażby ze znakomitego filmu *Prawo i pięść*. Ale jest to też historia trudnej, codziennej walki o normalność, która stoi w pewnej sprzeczności z dominującym w Polsce dyskursem historycznym, w którego centrum znajduje się heroizm, a szczególnie heroiczna walka z bronią w ręku. „Ziemie Odzyskane" nie wpisują się w tę narrację heroiczną, ponieważ ludzie, którzy przybyli tu po wojnie, w znakomitej większości nie zrobili tego, by walczyć z władzą ludową, lecz by walczyć o normalność, o spokój i dobrobyt dla swojej rodziny. Walka ta nierzadko miała wymiar nie mniej heroiczny, bo wymagała stawienia czoła bandytom, Armii Radzieckiej czy niedoborom żywności. Często przecież ludzie tracili w niej życie. Właśnie ten proces różnorodnego oswajania tych ziem, udomawiania ich, jest dla mnie niezwykle fascynujący. Niestety nie zapisał on się istotnie w naszej kulturze pamięci.

Przecież o „odzyskiwaniu" ziem piastowskich słyszeliśmy przez całe dekady.

I na tym właśnie polega problem. Tamta opowieść była silnie zideologizowana oraz przekazywana w sposób dość toporny. Z tego może wynikać współczesna niechęć do opowieści o zasiedlaniu. Można to przewalczyć, pokazując ludzką, a nie ideologiczną stronę tych historii. Nie da się przy tym jednak nie zauważyć, że to dziedzictwo, te opowieści – czy się to ko-

eprasa.pl f748ab3a69

muś podoba, czy nie – były nierozerwalnie związane z PRL. Innej Polski niż ta PRL-owska wcześniej nigdy tu nie było.

Wreszcie, nie zapominajmy, naszym dziedzictwem jest także historia stacjonujących na tych terenach żołnierzy Armii Radzieckiej, którzy przez kilka pierwszych powojennych lat byli faktycznymi panami życia i śmierci…

Ich obecność wpływała na kształt i specyfikę budowanej przez osadników społeczności?

Jasne. Wydaje mi się, że nie ma drugiego regionu w Polsce ukształtowanego tak mocno przez ZSRR, jak wyspy Wolin i Uznam. Zacznijmy od samego kształtu granic. Przecież już sam fakt przyłączenia do Polski tych wysp wynikał w znacznym stopniu z tego, że ZSRR chciał zapewnić sobie (poprzez swojego satelitę) kontrolę nad portem w Szczecinie oraz stanowiącym wyjście z niego Świnoujściem. Dlatego też zresztą Świnoujście jeszcze długo po wojnie, bo aż do 1956 roku, było w znacznym stopniu niedostępne dla ludności cywilnej. Cała dzielnica Nadmorska oraz przygraniczna, a nawet plaża, była dla Polaków zamknięta. Armia Radziecka niechętnie oddawała kontrolę nad tym terenem administracji polskiej. Nawet gdy formalnie proces ten się już dokonał, lokalne dowództwo radzieckie wciąż czuło się tu głównym decydentem. Co ciekawe, obecne tu wojska ZSRR nie podlegały zwierzchnictwu marszałka Rokossowskiego, jak pozostałe jednostki obecne na terytorium Polski, ale dowództwu odpowiedzialnemu za okupację terytorium Niemiec Wschodnich, a więc bezpośrednio marszałkowi Żukowowi, który nie musiał liczyć się z nowymi władzami polskimi.

Dowody na to znajdujemy chociażby w archiwach, które są pełne skarg sołtysów na współpracę z reprezentantami sił radzieckich. A także we wspomnieniach osadników, którym żołnierz radziecki kojarzy się ze strachem. Doświadczeniem lokalnym związanym z obecnością tu wojsk radzieckich – szczególnie bezpośrednio po wojnie – była kwestia przemocy seksualnej, której doświadczały miejscowe kobiety ze strony żołnierzy. Dotykało to przede wszystkim Niemek, ale ofiarą takich zachowań padały również Polki. Z czasem jednak relacje między ludnością polską a Armią Radziecką zaczęły się zmieniać. Mimo że formalnie obowiązywał zakaz fraternizacji, obydwie grupy nawiązywały ze sobą kontakty. Dochodziło do wymiany towarów, zawierania znajomości, zdarzały się nawet przypadki mieszanych małżeństw.

Ale wpływy radzieckie nie mogą chyba konkurować z innym elementem dziedzictwa lokalnego: niemieckością, czy raczej „poniemieckością", która choćby architekturą i urbanistycznymi rozwiązaniami otacza tam nas ze wszystkich stron? Da się je włączyć we współczesną lokalną polskość?

Przez lata dominowało w tej kwestii podejście PRL-owskie, które zresztą na-

eprasa.pl f748ab3a69

dal obecne jest (paradoksalnie!) w części środowisk prawicowych mówiących w uproszczeniu, że „wszystko co niemieckie jest złe". Jednocześnie widoczna jest też pewna fascynacja niemiecką przeszłością, bo była ona zwyczajnie bogatsza niż przeszłość, którą sami tam do tej pory zbudowaliśmy. Często przejawia się to zainteresowaniem najmniejszymi nawet detalami tej minionej rzeczywistości. Ot, tu była taka a taka kawiarnia, tu stał taki a taki pomnik itd. Podejście do dziedzictwa poniemieckiego i poniemieckiej historii jest oczywiście wielkim wyzwaniem. Trzeba podchodzić do niej z ogromnym szacunkiem, ale jednocześnie nie udawać, że jest bezpośrednio naszym dziedzictwem. Nie jesteśmy przecież potomkami ludzi, którzy żyli tu do 1945 roku. Artur Liskowacki, szczeciński pisarz, kiedyś w naszej rozmowie użył celnego sformułowania. Powiedział, że powinniśmy czuć się raczej spadkobiercami, a nie kontynuatorami tego dziedzictwa. Jako spadkobiercy musimy sami zastanowić się nad tym, jak będziemy o nie dbać i jak będziemy o nim mówić.

Jeszcze ciekawsze zjawisko dotyczy sposobu postrzegania zamierzchłej, słowiańskiej historii tych ziem, przede wszystkim historii Księstwa Pomorskiego. Niektórzy pasjonaci historię niemiecką po prostu odrzucają albo spychają na margines, wyciągając na pierwszy plan dziedzictwo słowiańskie: bogatą historię wczesnośredniowiecznego Wolina lub Księstwa Pomorskiego, które istniało od XII do XVII wieku. Z tych opowieści wynika, że to jest właśnie nasza rodzima historia.

Co jest, mówiąc łagodnie, naciągane...

I to jak. Przecież ludzie, którzy tu przyjechali po wojnie, nie byli potomkami mieszkańców Księstwa Pomorskiego. I to z prostej przyczyny. Średniowieczni Pomorzanie swojej ojczyzny nigdy fizycznie nie opuścili, lecz stopniowo ulegali kulturowej oraz językowej germanizacji. Była ona związana również z osadnictwem niemieckim. Tak naprawdę „w krwi" Niemców, którzy wyjeżdżali z Pomorza Zachodniego po 1945 roku, znaleźlibyśmy pewnie więcej śladów słowiańskich Pomorzan niż wśród osadników, którzy przybywali tu z Wielkopolski, Mazowsza czy Wileńszczyzny.

Nie przeszkadzało to jednak próbie pewnego włączania elementów tej dawnej historii regionu do, nazwijmy to w ten sposób, współczesnego folkloru. Ot, na Pomorzu Zachodnim leżą dziś dwie miejscowości – Świdwin i Białogard. W XV wieku znajdowały się one odpowiednio w Brandenburgii i Księstwie Pomorskim, między którymi relacje były napięte. W rezultacie w 1469 roku między mieszkańcami tych dwóch miasteczek doszło do „bitwy o krowę". Jakkolwiek może to na pierwszy rzut oka brzmieć zabawnie, to wspomniane starcie pochłonęło życie kilkuset osób. Historia ta jest fascynująca sama w sobie, ale co interesujące z punktu widzenia naszej rozmowy, od lat sześćdziesiątych XX wieku na pamiątkę tej

eprasa.pl f748ab3a69

bitwy między mieszkańcami Świdwina i Białogardu odbywają się co roku zawody, w których mierzą się oni w tradycyjnych średniowiecznych dyscyplinach sportowych, takich jak chociażby rzut toporem. Zwróć uwagę, że zwyczaj ten zaczął się wcześniej, niż w Polsce zapanowała moda na rekonstrukcje historyczne. Jest to więc ciekawy przejaw zaadaptowania historii lokalnej przez osadników, którzy przybyli tu po wojnie. Uczynili oni z tego wydarzenia część swojego dziedzictwa, mimo że przecież nie była to historia ich przodków.

To źle?

Bardzo dobrze! O ile oczywiście w takich praktykach szukamy sposobu na zakorzenienie się w miejscu, w którym przyszło nam żyć. I faktycznie Księstwo Pomorskie ma tu ogromny potencjał mitotwórczy. Ważne jednak, byśmy nie przesadzali i nie próbowali za wszelką cenę przekonać siebie i innych, że to nasza historia i odwiecznie nasze są lokalne zwyczaje czy sposób życia. Prawda jest bowiem taka, że my tych zwyczajów uczyliśmy się, czy wręcz wciąż uczymy, od czasów powojennych.

Jednocześnie warunki przyrodnicze, geografia często wymuszają od nowych mieszkańców funkcjonowanie wedle podobnych zasad, zgodnie z którymi żyli tu nasi poprzednicy…

Co ciekawe, jest to jedna z tych kilku nici, które mimo wszystko wiążą przybyłych na Pomorze Zachodnie Polaków z niemiecką przeszłością, a nawet z częścią lokalnej niemieckiej społeczności. Przykład? Rybołówstwo, o którym osadnicy nie mieli pojęcia, ale którym musieli się tu zająć, by rozwiązać problem niedoborów żywności. Niektórzy mieli pewne doświadczenie w rybaczeniu, ale na zdecydowanie mniejszych akwenach, małych rzeczkach czy jeziorach. Tymczasem Morze Bałtyckie czy Zalew Szczeciński to zupełnie inna „para kaloszy". Dlatego też na początku ta garstka wciąż obecnych na tych terenach Niemców uczyła nowych przybyszów trudnej sztuki łowienia ryb na tutejszych wodach. Jest to więc jeden z niewielu przypadków, gdy nie doszło do zupełnego przerwania „transmisji kulturowej" między ludnością odchodzącą i napływającą. W ogóle proces „oswajania" Bałtyku dla polskiej gospodarki i kultury to temat na odrębną, fascynującą opowieść.

A co ze współczesnymi Niemcami? Po akcesji do Unii Europejskiej i faktycznym zniknięciu granicy związanym z wejściem naszego kraju do strefy Schengen nie zaczęli oni brać udziału w procesie kształtowania się lokalności na północno-zachodnich rubieżach naszego kraju. Polacy (w tym polskie państwo) w pewnym sensie robią to przecież na terenach zachodniej Ukrainy, Białorusi czy Litwy…

Niemcy – i mam tu na myśli zarówno obywateli tego kraju, jak i samo państwo – są elementem współtworzącym

eprasa.pl f748ab3a69

specyfikę tego regionu i to w różnoraki sposób. Spójrz, ile robi sama granica, o którą opiera się Pomorze Zachodnie. Granica, która najpierw pozostawała *de facto* zamknięta, a potem stopniowo się otwierała, szczególnie w latach dziewięćdziesiątych XX wieku, co w ciekawy sposób kształtowało lokalną społeczność. Z jednej strony dawała ona szybki dostęp do produktów spotykanych rzadziej lub nieosiągalnych w innych częściach kraju. Z drugiej – pewne mody pojawiały się u nas znacznie szybciej niż nawet w centralnej Polsce. Nie można też nie wspomnieć negatywnego, ale będącego doświadczeniem pokoleniowym zjawiska „jumy", o którym świetnie opowiada polski film pod tym samym tytułem nakręcony w 2012 roku. Niemcy kształtują też specyfikę lokalną, masowo przybywając na Pomorze Zachodnie jako turyści. Niekiedy w sezonie letnim język niemiecki słychać w nadmorskich kurortach czy na wyspach Wolin i Uznam częściej niż polski. Wpływa to także na pewne procesy kulturowo-gospodarcze, czego przykładem jest zlokalizowany w Świnoujściu nieopodal granicy „rynek niemiecki". To w praktyce szereg bud wykonanych z blachy falistej i plastiku ciągnący się przez mniej więcej 3 kilometry od granicy w stronę centrum miasta. Można tam kupić niemiecką muzykę disco – zwykle piracką – ubrania, których w Polsce nikt raczej nie nosi, a także polską kiełbasę, sery i papierosy. Wszystko to poprzetykane jest stoiskami z szaszłykiem. Odwiedzający ten rynek Niemiec może pomyśleć, że tak właśnie wygląda Polska, a przecież doskonale wiemy, że takich miejsc w naszym kraju już właściwie nie ma, że ta prząśność i bałagan istnieje tam właśnie po to, by „sprostać" oczekiwaniom naszych zachodnich sąsiadów.

Nie trzeba szukać daleko, by się o tym przekonać. Ledwie kilometr dalej mieści się stworzony kilka lat temu miejski „zielony rynek" – przeznaczony głównie dla mieszkańców – na którym handel prowadzony jest z nowoczesnych i estetycznych stoisk. Co więcej, to właśnie obecność turystów niemieckich sprawia, że w mieście do tej pory można przejechać się… bryczką.

Dokładnie. Tak więc kształtowanie lokalności przez Niemców trwa cały czas. Inaczej wygląda jednak sprawa świadomego i aktywnego włączania się Niemców w budowę tożsamości lokalnej i pamięci niemieckiego dziedzictwa. Od czasu do czasu pojawiają się pewne inicjatywy. Niedawno na przykład prowadzono projekt poświęcony upamiętnieniu postaci Sydonii von Borck – szlachcianki pomorskiej, która skazana została za czary i spalona na stosie w Szczecinie w 1620 roku. Realizowały to wspólnie strona polska i niemiecka. Organizowane są też wymiany młodzieży. Tego typu transgraniczna współpraca zdarza się, ale nie jest intensywna.

Z czego to wynika?

Z dwóch przyczyn. Niemcy są bardzo ostrożni w podejmowaniu współpracy

eprasa.pl f748ab3a69

na tym obszarze, bo obawiają się możliwych polskich oskarżeń o rewizjonizm. Wiele szkody wyrządziła w tej kwestii Erika Steinbach i Związek Wypędzonych z jej czasów. W efekcie Niemcy stali się ostrożni. Drugim powodem niskiej intensywności tego typu relacji – szczególnie w porównaniu na przykład ze współpracą polsko-ukraińską czy polsko-litewską – jest fakt, że Pomorze nigdy nie było dla Niemców tak ważne pod względem kulturowym czy cywilizacyjnym, jak Lwów czy Wilno w przypadku Polski. Pomorze było w okresie przedwojennym głęboką prowincją państwa niemieckiego, szczególnie pod względem kulturalnym. W Niemczech nie ma więc szczególnego sentymentu do Szczecina i jego okolic.

Czyli – mówiąc żartem – wbrew obawom pokolenia naszych dziadków zostaniemy z tym polskim Pomorzem Zachodnim na dłużej. Jaka jest więc Twoja recepta na współczesny, polski, zachodniopomorski regionalizm? Więcej historii współczesnej, pomorskiej, niemieckiej czy tej prasłowiańskiej?

Regionalizmy zawsze potrzebują pewnego sięgnięcia w przeszłość. Dlatego też zachodniopomorski regionalizm będzie sięgał do przeszłości przed 1945 rokiem. I tej niemieckiej, i tej z okresu Księstwa Pomorskiego, i tej z czasów jeszcze bardziej zamierzchłych. To swoisty rodzaj historycznej, pamięciotwórczej zabawy przypominającej wybieranie rodzynek z ciasta. Z jednej strony należy mieć świadomość, że jest to nieco sztuczne, ale z drugiej zdawać sobie sprawę, że nie ma w tym nic dziwnego ani złego. Wszelkie konstruowanie pamięci zbiorowej polega właśnie na wybieraniu tych najsmaczniejszych rodzynek, które będą odpowiadały gustom i potrzebom epoki. Dzieje się to zawsze i wszędzie, tyle że w regionach, w których istnieje ciągłość historyczna, proces ten jest znacznie mniej widoczny, wydaje się czymś zupełnie naturalnym. Tymczasem na „Ziemiach Odzyskanych" możemy go obserwować gołym okiem na co dzień. Uważam, że musimy przy tym jednak pamiętać, że nasza historia tutaj zaczęła się w 1945 roku. Ze wszystkimi cieniami, półcieniami i nikłymi blaskami tej epoki.

Piotr Oleksy jest historykiem i publicystą, od ponad dekady podróżuje po Europie Środkowej i Wschodniej, obserwując, jak tworzą się nowe tożsamości. Pracuje na Wydziale Historii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Od kilku lat bada, opisuje i promuje powojenną historię wysp Wolin, Uznam i Karsibór, rozwijając platformę Archipelag Pamięci (archipelag.edu.pl). Autor książek *Naddniestrze. Terror tożsamości*, za którą otrzymał nominację w konkursie Ambasador Nowej Europy, oraz *Wyspy odzyskane. Wolin i nieznany archipelag*.

eprasa.pl f748ab3a69

Recenzje

Kultura bata



Borys Kierżencew, *Zniewolona Rosja. Historia poddaństwa*, tłum. Aleksandra Okuniewska-Stronka, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021

Polskę i Rosję łączy niechlubne doświadczenie pańszczyzny, systemowego niewolnictwa, urządzonego przez oligarchów chłopom, zdecydowanej większości społeczeństwa, ponoszącej koszt utrzymania państwa. Borys Kierżencew opisał pańszczyznę w wydaniu rosyjskim, jak się wydaje, dużo bardziej rozbudowanym i zdegenerowanym w stosunku do odmiany polskiej.

Rosja połowy XIX wieku była państwem wyczerpanym niewolnictwem, ze znacząco zmniejszoną liczbą chłopów i upadłą gospodarką pańszczyźnianą. Mimo to właściciele ziemscy kurczowo trzymali się prawa pańszczyźnianego, nie ustępując na krok propozycjom zmian, wciąż zwiększali katalog powinności chłopskich.

Borys Kierżencew – historyk Uniwersytetu Moskiewskiego, autor wielu publikacji, między innymi o schizmie prawosławnej, przyczynach upadku Imperium Rosyjskiego czy protestach antykomunistycznych podczas II wojny światowej – zaproponował czytelnikom książkę o dawnym poddaństwie, czyli o prawie pańszczyźnianym w Rosji.

Zniewolona Rosja. Historia poddaństwa ukazała się w języku polskim nakładem Wydawnictwa Poznańskiego w drugiej połowie 2021 roku w przekładzie Aleksandry Okuniewskiej-Stronki. Polskim odpowiednikiem popularnonaukowej książki Kierżencewa jest *Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa* autorstwa Kamila Janickiego (Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2021). Książka wpisuje się w nurt pisarstwa historyczno-antropologicznego nazywany historią ludową, opisującą dzieje innych niż elity warstw społecznych, między innymi chłopów.

Rosyjskie prawo pańszczyźniane było systemem państwowego ucisku „dusz" chłopskich, w którym szlachcic był nie tyle panem feudalnym, ile nadzorcą policyjnym, z przyzwolenia państwa uciskającym zniewolony naród. Chłop pańszczyźniany stanowił prywatną własność swojego zarządcy. Pańszczyzna nierozerwalnie łączy się z historią imperium, wpływając także na dalsze epoki, choć znalazła się w sferze tematów tabu, wypartych z dyskursu historyczno-społecznego. Lata wielkiego ucisku mniejszości nad większością zostały wymazane z pamięci o historii narodu, a nawet jeśli temat

eprasa.pl f748ab3a69

pojawia się sporadycznie, to z pewnością nie został oceniony moralnie i przepracowany przez kolejne pokolenia obywateli rosyjskich.

Opowieść o pańszczyźnie zazwyczaj tkana jest w kontrze historii klasy niższej do klasy wyższej. Podręczniki przez dziesięciolecia opowiadały o barwnych i bohaterskich losach szlachciców, podobnie w przypadku historii Polski, spychając na margines chłopów, czyli zdecydowaną większość narodu.

Kierżencew pokazał kulturę rosyjskich posiadaczy ziemskich przepełnioną agresją, okrucieństwem, bezkarnością i ekstrawagancją. Poruszające w książce są opisy sadystycznych zachowań szlachty, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, w stosunku do poddanych. Bestialstwo właścicieli ziemskich nie należało do jednostkowych przypadków, codziennością była wszechobecna agresja, wymyślne i bolesne łajanie za drobne uchybienia i bezsilność chłopów wobec bezkarnych szlachciców. Nazwisko Darii Sałtykowej przeszło do historii jako symbol okrucieństwa pańszczyźnianego. Osiemnastowieczna arystokratka o sadystycznych skłonnościach była seryjną morderczynią, wymyślnie znęcającą się nad poddanymi, głównie kobietami pracującymi na jej dworze. Wiele ofiar Sałtykowej nie przeżyło drastycznych tortur, przypisuje się jej odpowiedzialność za śmierć ponad siedemdziesięciu osób. Zastraszeni chłopi po wielokrotnych próbach interwencji w końcu złożyli skargę do caryca Katarzyny II. Śledztwo doprowadziło do skazania arystokratki. To tylko jeden z nielicznych przypadków okrucieństwa właścicieli ziemskich, który zakończył się wyrokiem.

Profesor Andrzej Chwalba w książce-wywiadzie *Polska–Rosja. Historia obsesji, obsesja historii* pisze, że rosyjska kultura spleciona jest z tatarską obyczajowością, zwłaszcza w kwestii okrucieństwa, Rosjanie przejęli praktyki od swoich najeźdźców, a potem stosowali je wobec swoich poddanych, żeby utrzymać władzę, co potwierdzają przytoczone przykłady.

Do połowy XVI wieku rosyjscy chłopi cieszyli się wolnością osobistą, ale kolejne dwa wieki doprowadziły do całkowitego uprzedmiotowienia tej warstwy społecznej. Podczas gdy narody europejskie poszerzały wolności osobiste, Imperium Rosyjskie zaciskało coraz ciaśniej pętle na chłopach dźwigających koszt utrzymania rozbuchanego państwa i całej chmary szlachciców, urzędników i wojskowych.

Wschodnia odmiana pańszczyzny miała swoją specyfikę. Elity przekazywały sobie żywe prezenty, czyli podarki w postaci grupy kilkudziesięciu lub kilkuset chłopów pańszczyźnianych, co w Rosji XVII i XVIII wieku nie budziło większego zaskoczenia. Chłopów sprzedawano, odrywając ich od rodzin, przegrywano w karty. Dopiero w 1801 roku car Aleksander I zakazał druku ogłoszeń o sprzedaży chłopów w prasie, co nie było jednoznaczne z zakończeniem procederu handlu ludźmi, kontynuowanego przez kolejne dziesięciolecia. Mikołaj I wyrażał wielkie zaniepokojenie losem czarnoskó-

eprasa.pl f748ab3a69

rych niewolników w Ameryce Północnej, zapominając o milionach własnych uciskanych poddanych.

Wyjątkowa pozycja szlachty, usankcjonowana kolejnymi dekretami caratu, pozwalała na ingerencję w życie prywatne chłopów. Właściciel decydował o ślubach, o rozdzielaniu rodzin, niektórzy próbowali nawet regulacji urodzeń. Szlachta porywała żony chłopów jako swoje nałożnice. Przemoc seksualna była wszechobecna. Gwałty na chłopkach, a nawet na nieletnich dzieciach, są przykładem głębokiego wynaturzenia i demoralizacji w ramach zależności pańszczyźnianej. Chłopów sprzedawano także jako rekrutów do wojska na dwadzieścia pięć lat.

Czy chłopów uważano za ludzi? Jak wobec rozszerzającego się okrucieństwa pańszczyzny zachowywali się kolejni carowie? Jak na praktyki szlachty patrzyli europejscy podróżnicy? Dlaczego chłopi byli ważni w teatrze? I najważniejsze, czy chłopi pańszczyźniani wyrwali się z apatii i podjęli odwet wobec swoich ciemiężycieli? Na te i na wiele innych pytań w przystępny sposób odpowiada Kierżencew na kartach książki.

Pańszczyznę w Rosji zniesiono w 1861 roku, przez wielu badaczy uznawana jest za europejską odmianę kolonializmu, zapomniane i czarne dziedzictwo splatające historie Rosji i Polski. Konwencja genewska z 1956 roku uznaje pańszczyznę za instytucję i praktyki zbliżone do niewolnictwa. *Zniewolona Rosja* daje czytelnikowi możliwość zdystansowanego, ale wnikliwego spojrzenia na niewolniczy system stojący u podstaw funkcjonowania Imperium Rosyjskiego, podpartego cytatami ze źródeł. Zrozumienie ciemnych kart historii Rosji daje także krytyczne spojrzenie na historię własnej ojczyzny.

Sonia Knapczyk

Anatomia wojny



Tomáš Forró, *Apartament w hotelu Wojna. Reportaż z Donbasu*, tłum. Andrzej S. Jagodziński, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2021

Na wstępie bez ogródek. Słowacki reporter Tomáš Forró napisał wybitną książkę o wojnie w Donbasie. W efekcie trzyletniej pracy, setek rozmów i długiego czasu spędzonego po obu stronach linii frontu powstał swoisty dokument spisany przez naocznego świadka konfliktu, który próbuje zrozumieć jego istotę, dochodząc do wniosku o jego całkowitej sztuczności i bezsensowności. Książka jest jednak daleka od banalnych czarno-białych opisów. Na korzyść autora działa nie tylko wydany zakaz wjazdu do obu separatystycznych „republik" w Donbasie, ale także „różne zarzuty ze strony ukraińskich obywateli i aktywistów obywatelskich", którzy niekoniecznie zgadzają się z jego diagnozą sytuacji.

Narracja zaczyna się nieoczekiwanie, bo w 1993 roku w Abchazji. W tym parapaństwie, które z pomocą rosyjską oddzieliło się od Gruzji, autor widzi po-

eprasa.pl f748ab3a69

czątek tej samej wojny, która po ponad dwóch dekadach doprowadziła do konfliktu na wschodzie Ukrainy. Bohaterem rozdziału otwierającego czterystustronicową książkę jest Gruzin Mamuka, postać o filmowej biografii, który będzie przewijać się na wielu jej kartach. Odwołanie do Abchazji służy zobrazowaniu jednej z pierwszych na obszarze poradzieckim wojen hybrydowych. Forró definiuje ją jako „zdolność do prowadzenia i koordynowania działań bojowych w taki sposób, żeby nie dało się łatwo rozpoznać ich prawdziwego charakteru ani odpowiednio na nie zareagować".

Pierwsze rozdziały książki to coś, co autor nazywa „anatomią wojny". Dowiadujemy się, jak doszło do wybuchu konfliktu w Donbasie, który zaczynał się niewinnie od protestów antykijowskich, aby wkrótce skończyć się przejęciem kontroli nad regionem przez Rosję. Doszło bowiem do „reakcji łańcuchowej z udziałem wielu aktorów": agentów Rosji, części donbaskich elit politycznych, niektórych oligarchów na czele z Rinatem Achmetowem, prowadzących własną grę, nad którą stracili kontrolę. Forró przekonująco tłumaczy, że w wojnie na wschodzie Ukrainy – choć nie jest wojną domową, ale zewnętrzną agresją – Rosja szeroko wykorzystuje miejscowych obywateli ukraińskich. Autor pokazuje, jak stali się oni instrumentem w rękach Moskwy skierowanym przeciwko ich własnemu państwu.

Mieszkańcy Donbasu, którzy sięgnęli po broń w 2014 roku, na niezorientowanym obserwatorze mogli wywrzeć wrażenie pospolitego ruszenia. W istocie w regionie miała miejsce rosyjska operacja specjalna, która wpisała się w klasyczny *modus operandi* Rosji na obszarze poradzieckim po 1991 roku. Rosyjskie siły zbrojne w takich hybrydowych konfliktach używane są w ostateczności, zaś operacje prowadzone są poprzez miejscowych, często wykreowanych przez Moskwę aktorów, którzy w ostateczności wspierają jednostki regularnej armii rosyjskiej. Celem Kremla na wschodzie Ukrainy nie była aneksja, ale przejęcie kontroli nad regionem pod przykryciem rzekomej miejscowej rebelii, aby posłużyć się nim jako narzędziem wymuszenia na Kijowie federalizacji państwa.

Forró spotyka też Czechów, członków Brygady Międzynarodowej tworzonej na początku konfliktu przez przedstawicieli wielu narodów, którzy uwierzyli, że przyjechali wesprzeć separatystyczny Donbas i bronić sprawiedliwości. Stają się oni jednymi z bohaterów książki, a zarazem jego ważnymi przewodnikami po lokalnych układach.

Kolejną cenną częścią książki jest pokazanie mechanizmu działania rosyjskiej dezinformacji, która sprawiła, że część mieszkańców Donbasu zaczęła nienawidzić swojego kraju. Choć siły ukraińskie nie popełniły masowych zbrodni, to „wystarczyło przekonanie miejscowych o tym, że je popełniono". A zajęły się tym w zmasowanym ataku media rosyjskie rozpowszechniające fałszywe informacje, które w Donbasie wywoływały strach.

eprasa.pl f748ab3a69

Opis tego zjawiska ma poniekąd charakter uniwersalny i potencjalnie można go odnieść nie tylko do sytuacji na wschodzie Ukrainy. Autor tak ujmuje efekty rosyjskiej propagandy: „To jak jakaś gigantyczna kampania marketingowa. Zwykły człowiek, żyjący w swoim mikroświecie, nie miał szans się przed tym obronić. To po prostu działało na każdego". Ale zarazem konstatuje, że sama tylko sprawna propaganda by nie wystarczyła i musiała paść na podatny grunt, czyli istniejące różnice między Donbasem a resztą Ukrainy. Specyfika tego regionu – pozbawionego ukształtowanej tożsamości, a więc podatnego na manipulacje – zajmuje ważne miejsce w jego opowieści.

Zachodni dziennikarze rzadko docierają do separatystycznego Donbasu. Nie jest to bezpieczne, a separatystyczne reżimy niechętnie wydają akredytacje. Autor opowiada, jak powstała donbaska „państwowość" i jak funkcjonuje. Widzimy region pogrążony w marazmie, zapaści gospodarczej i społecznej, skąd uciekła połowa mieszkańców, gdzie upadła służba zdrowia, szerzy się ideologizacja, istnieje godzina policyjna, słabo działają sieci komórkowe, a miejscowi muszą przeżyć czasami za 30 euro miesięcznie. Poznajemy historie ludzi, którzy musieli opuścić własne domy, szukając schronienia w innych częściach Ukrainy, gdzie nie zawsze zostali życzliwie przyjęci. Widzimy chaos w administrowaniu, anarchię prawną, regularne bandyckie przetasowania na szczytach władzy. To wszystko sprawia, że „różnica między państwem a złodziejem zaczyna się zacierać". Towarzyszy temu refleksja, że nie ma szans na poprawę sytuacji, gdyż – jak pokazuje na przykładzie Ługańska: „oprócz garstki szaleńców cała reszta wie, że tu nie jest normalnie i nigdy nie będzie". Widoczne jest rosnące rozczarowanie mieszkańców, którzy od początkowego zachwytu ideą Noworosji stopniowo zaczęli przechodzić na pozycje sceptyczne. A jednak to nie oni będą decydować o przyszłości regionu, w którym przyszło im żyć. Szkoda tylko, że władze ukraińskie nie potrafią prowadzić skutecznej polityki mającej pozyskać ich dla Ukrainy.

Tomáš Forró kończy książkę rozterkami. Spędził w regionie dużo czasu i początkowo wiedział, „po czyjej stronie była racja, kto w tym konflikcie jest ofiarą, a kto agresorem". Im jednak więcej widział, tym jego wątpliwości rosły, co głównie spowodowane było barbarzyństwami popełnianymi przez obie strony. Choć rachunek krzywd nie jest równy, to demoralizacja niektórych członków formacji ukraińskich obciąża państwo. Doprowadziło to autora do wniosku, że sytuacji w tej części świata „nie da się ocenić według standardów zachodniej hemisfery". Niech to będzie podsumowanie tej ważnej książki o konflikcie w Donbasie, napisanej przez uczciwego obserwatora, który zobaczył wystarczająco dużo, aby dać rzetelny obraz sytuacji (dodajmy, że świetną pracę wykonał też tłumacz Andrzej S. Jagodziński). Obok *Wojny, która nas zmieniła* Pawła Pieniążka (2017) i *Czarnego złota. Wojny o węgiel z Donbasu* Karoliny Bacy-

eprasa.pl f748ab3a69

-Pogorzelskiej i Michała Potockiego (2020) jest to lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy chcą zrozumieć trwający od ponad siedmiu lat konflikt na wschodzie Ukrainy. Co gorsza, konflikt bez szans na szybkie rozwiązanie.

Wojciech Konończuk

To nie jest kraj dla uczciwych ludzi



Michal Sýkora, *Człowiek pana ministra*, tłum. Martyna M. Lemańczyk, Afera, Wrocław 2021

Nastały dobre czasy dla czeskiego kryminału. W kraju naszych południowych sąsiadów opowieści ze zbrodnią w tle pisze się coraz więcej, są coraz bardziej różnorodne, ciekawią nie tylko intrygą, ale i rozbudowanym tłem. Radością napawa więc fakt, że także coraz więcej nowych czeskich *detektivek* trafia w ręce polskich czytelników.

„Dzisiejsze czeskie kryminały pod pewnymi względami, zwłaszcza jeśli chodzi o rozmaitość gatunkową, bliskie są europejskim standardom (…). Następne pokolenia będą być może nazywać obecne czasy złotym wiekiem czeskiego kryminału" – mówi w jednym z wywiadów Michal Sýkora, autor powieści *Człowiek pana ministra*, która (w przekładzie Martyny M. Lemańczyk) ukazała się właśnie po polsku. Z przekonaniem można stwierdzić, że jego własny kryminał jest doskonałym potwierdzeniem tych słów.

Na co dzień Sýkora pracuje jako teoretyk literatury i wykładowca na Uniwersytecie Palackiego w Ołomuńcu. I właśnie Ołomuniec uczynił scenerią swojej powieści – kreśląc zresztą przy okazji barwny i czuły portret miasta (i zwracając uwagę na to, że wbrew przekonaniu niektórych, Czechy wcale nie kończą się na Pradze).

Miejscem zbrodni jest zresztą także ołomuniecki uniwersytet. Jej ofiarą pada jeden z zatrudnionych na uczelni literaturoznawców, docent Ondřej Chalupa. Dość szybko wychodzi na jaw, że niedługo przed śmiercią próbował on zdyskredytować uczelnianego kwestora – gromadził materiały mające dowieść, że nadzorując remont konwiktu, kwestor Jonáš zdefraudował część środków. Sprawę komplikuje fakt, że Jonáš, na którego pada tym samym podejrzenie, lada dzień ma odejść z uczelni i objąć wysokie stanowisko w ministerstwie.

Sýkora opisuje powieściowe wydarzenia z wielu różnych perspektyw, oddając głos prawie wszystkim ich uczestnikom – od członków zespołu rozpracowującego sprawę aż po osoby podejrzane. Wchodzimy między innymi do głowy kwestora Jonáša, kierującej śledztwem podinspektor Marie Výrovej, jej niegrzeszącego intelektem, za to ogarniętego manią wielkości podwładnego, komisarza Barana, młodej policjantki Krystýny, jej żonatego kochanka i zarazem przyjaciela ofiary Lukáša Termera, a nawet samego zamor-

eprasa.pl f748ab3a69

dowanego (na kilka tygodni i dni przed jego śmiercią).

Najciekawiej jest w głowie podinspektor Výrovej. Mimo wielu lat pracy w wydziale zabójstw kobieta nie może sobie poradzić z brutalnością, okrucieństwem i śmiercią, z którymi obcuje na co dzień. Niepokoje leczy muzyką Boba Dylana oraz długimi wieczorami w towarzystwie swojej psychoterapeutki i butelki wina. W dodatku sprawa Chalupy okazuje się trudniejsza niż inne, ponieważ rzuca cień na wysoko postawionych polityków i ich współpracowników. Výrová snuje więc niewesołe refleksje o kondycji świata i daje upust bezsilności względem ludzi, którzy mimo swojej arogancji i braku moralności wciąż znajdują poparcie i wszystko uchodzi im płazem. Siły odbiera jej świadomość, że toczy walkę z wiatrakami. „Wraz z wiekiem w jej hierarchii wartości ochota na pogoń za kolejnym zbrodniarzem spadała coraz niżej i niżej" – pisze o niej Sýkora. W tej smutnej rezygnacji Výrová wydaje się jakimś kobiecym odpowiednikiem szeryfa Bella z *To nie jest kraj dla starych ludzi* Cormaca McCarthy'ego.

Przygnębiający świat odmalowany w powieści Sýkory nie jest zresztą odległy od prawdziwych współczesnych Czech i ich problemów, a pisząc o nieczystych posunięciach w wyższych sferach, autor zdaje się wręcz robić subtelne aluzje do aktualnej czeskiej polityki. Posługując się przypadkiem inspektora Vitouša i jego esbeckiej przeszłości, pokazuje też, jak duże emocje budzi dziś wciąż wspomnienie epoki przedrewolucyjnej i działalność ówczesnych służb bezpieczeństwa oraz jak różne są postawy względem nich. Walka między nieuczciwymi obłudnikami a „prawdomiłośnikami", wyznawcami idei Václava Havla, w powieści Sýkory wciąż trwa.

Bardzo wiarygodnie – choć zarazem przerażająco – wypada tu również obraz czeskiego środowiska akademickiego. Trudno oprzeć się wrażeniu, że autor chciał w powieści przemycić problemy, z którymi jako pracownik uniwersytecki musi mierzyć się na co dzień. Zawiść, osobiste antypatie i zatargi, celowe działanie na czyjąś szkodę, a do tego pozbawiona sensu biurokracja i bezduszna drobiazgowość – to wszystko zostało w sposób dobitny zaprezentowane już w scenie otwierającej powieść. Oddanej swojej pracy naukowej, ograniczanej jednak przez swoją niepełnosprawność i konieczność opieki nad mężem doktor Macharáčkovej, nie zostaje przyznana habilitacja, ponieważ nie zanotowano jej obecności na zagranicznych konferencjach, a w trakcie egzaminu – ku oburzeniu grona profesorskiego – nie stała, a siedziała. „Chalupa rozglądał się po obecnych, starając się dociec, co też zachodzi w ich skomplikowanych mózgach, nierzadko przepełnionych zawiścią, skłonnością do wiecznej rywalizacji i sekciarską nieomal wrogością" – pisze Sýkora.

W dalszej części powieści autor rozwija temat środowiska akademickiego. Pokazuje je jako sprzyjające pozbawionym skrupułów karierowiczom i kombi-

eprasa.pl f748ab3a69

natorom oraz sugeruje, że nie ma w nim miejsca dla ludzi honorowych i skupionych przede wszystkim na dobru nauki. I choć nie jest to główny wątek powieści, a jedynie lekko zarysowane tło, obraz ten robi wrażenie na czytelniku jako wyjątkowo ponury i gorzki.

By zrównoważyć mroczny nastrój, autor ze swadą opisuje perypetie sercowe policjantów, wprowadza elementy humorystyczne, barwne i ironiczne opisy. „Pacák nosił dłuższe, tłustawe włosy oraz wąs, jakiego nie powstydziłby się bawarski aktor porno" – pisze o jednym z bohaterów, innego zaś podsumowuje krótkim, acz treściwym: „Był to łysy jak kolano mruk".

To jak do tej pory jedyna powieść Michala Sýkory dostępna w polskim przekładzie. Pozostaje jednak zwrócić uwagę na innych czeskich przedstawicieli gatunku. Czeski kryminał ma wiele do zaoferowania.

Anna Maślanka

Piwo, pociągi i śmierć



Jaroslav Rudiš, *Ostatnia podróż Winterberga*, tłum. Małgorzata Gralińska, Książkowe Klimaty, Wrocław 2021

Fakt, że na początku października 2021 roku czeski pisarz Jaroslav Rudiš otrzymał Order Zasługi Republiki Federalnej Niemiec za aktywne budowanie mostów między Niemcami a Czechami, to nie przypadek. Dowodem jest najnowsza dostępna po polsku (a zarazem chyba najlepsza, najbogatsza w wątki i metafory, najbardziej wielowarstwowa) powieść autora, przełożona z niemieckiego. *Ostatnia podróż Winterberga* to bowiem pierwsza książka Rudiša, której nie napisał w swoim rodzimym języku. I już samo to wydaje się silnym gestem nawiązującym do niezwykle ważnego, choć przez Czechów usilnie wypieranego, niemieckojęzycznego składnika ich tożsamości i kultury.

Również w płaszczyźnie tematycznej czesko-niemieckie relacje odgrywają w powieści bardzo ważną rolę. Rudiš podchodzi jednak do tematu w sposób świeży i oryginalny, nie poruszając tak chętnie eksploatowanego ostatnio w czeskiej literaturze (z tekstów dostępnych w polskim przekładzie można tu wspomnieć choćby *Pieniądze od Hitlera* Radki Denemarkovej, *Wypędzenie Gerty Schnirch* Kateřiny Tučkovej czy *Przedawnienie* Jiřiego Březiny) wypędzenia Niemców sudeckich. Zamiast wyliczać wzajemne krzywdy, kładzie nacisk na to, co pozytywne – bliskie związki obu kultur i wspólną przeszłość.

Już tytułowa postać to amalgamat, w którym czeskość i niemieckość stapia się w jedno. Wenzel Winterberg – urodzony w Reichenbergu (czyli czeskim Libercu), w tym samym roku co Republika Czechosłowacka, z czeskiego ojca i niemieckiej matki. Imię otrzymał „na cześć Świętego Wacława, patrona Czech, który łączy nas i jednoczy, tak jak topielec Nepomucen, knedle, piwo czy Wełtawa,

eprasa.pl f748ab3a69

nieważne, czy mówimy po czesku, czy po niemiecku". Czech mówiący po niemiecku, z ducha Środkowoeuropejczyk. A może wręcz obywatel Austro-Węgier – nieistniejącej od ponad wieku monarchii, do której ochoczo wraca za sprawą swojego bedekera. Ten nietypowy przewodnik towarzyszy mu na niemal wszystkich etapach jego ostatniej wyprawy. I choć można by pomyśleć, że nic już nie jest w nim aktualne, w trakcie podróży okazuje się, że jest wręcz przeciwnie. Hotele i restauracje zdążyły zmienić nazwy, lecz wciąż stoją tam, gdzie sto lat temu.

Wiekowy Winterberg wyrusza w drogę śladami swojej pierwszej miłości Lenki Morgenstern (która imię otrzymała na cześć Lenki Reinerovej – ostatniej czeskiej niemieckojęzycznej pisarki). Bohater wierzy, że Lenka zginęła w Sarajewie, w trakcie swojej ucieczki do Palestyny, i pragnie podjąć ostatnią próbę znalezienia jej mordercy. W podróży towarzyszy mu niejaki Kraus – Czech, żyjący od wielu lat w Niemczech opiekun osób umierających, który najpierw przywrócił Winterberga do życia, a następnie (choć nie bez oporu) rusza wraz z nim w długą drogę. Na barkach dźwiga własne traumy, lęki i złe wspomnienia – zabitą przez radzieckich żołnierzy siostrę, zamęczonych po jego ucieczce z kraju rodziców, a także ukochaną. Jedną z podopiecznych, utraconą, podobnie jak miłość Winterberga. Być może i w tych tragicznych miłosnych historiach obu bohaterów można się doszukiwać nawiązania do czesko-niemieckich relacji. Wypierana wina, wyrzuty sumienia, poczucie straty – wszystko to wszak zapisane jest w splątanych losach Czechów i Niemców.

„*You Czechs are more Germans than Germans are Germans. You are the worst* (…). *You are like Germans. You just drink and make this stupid jokes all the time*" – mówi w powieści Rudiša chorwacki kierowca autobusu. Niewprawną angielszczyzną potwierdza, że Czechom jest zdecydowanie bliżej do Niemców, niżby sobie życzyli, ale i krytykuje czeski humor, o którym Winterberg też nie ma dobrego zdania. Według niego czeski śmiech to rozpaczliwa obrona przed smutkiem, melancholią, myślami samobójczymi. „Mieszkaniec Czech nie jest zabawny, jest melancholijny, często rozmyśla o śmierci, tak, tak, również o śmierci z własnej ręki, ponieważ mieszkaniec Czech wszędzie jest odrzucany, z powodu swej melancholii i tego okropnego czeskiego humoru, który jest niczym innym jak tylko smutkiem" – mówi Winterberg.

I tak jakby Jaroslav Rudiš na chwilę chciał zrzucić swoją czeską maskę, sama powieść, o której tu mowa, należy do zdecydowanie najmniej zabawnych jego dzieł. Przesycona mrokiem i beznadzieją, za centralny temat obiera sobie śmierć. Śmierć w wymiarze bardzo namacalnym i cielesnym – pod postacią ciał ofiar wielkich europejskich bitew, zwłok wypluwanych przez ziemię, która nie jest w stanie ich strawić, ciał zmarłych trafiających na stół i do pieca ojca Winterberga, kierującego libereckim krematorium, czy ciał podopiecznych Krausa, bladych i bez-

eprasa.pl f748ab3a69

władnych. Ale również śmierć w sensie znikania i odchodzenia, przybliżana czytelnikowi poprzez liczne kolejowe metafory Winterberga i żeglarskie metafory Krausa, wpisana w ludzki los od samych narodzin – co pięknie oddaje opowieść o dziecięcych zabawkach, produkowanych w Semil z resztek trumien.

Mroczne przesłanie niemal na równi ze specyfiką pisarskiego stylu zbliża *Ostatnią podróż Winterberga* do twórczości Bohumila Hrabala (będącą zresztą najlepszą możliwą ilustracją tezy o czeskim ratowaniu się przed rozpaczą śmiechem). Obok sławnego bajarza i wagabundy Jaroslava Haška to właśnie ten autor jest najczęściej przywoływany w czeskich recenzjach powieści Rudiša, zaś przez niektórych krytyków Winterberg z jego niekończącymi się monologami został już okrzyknięty kolejnym wcieleniem hrabalowskiego stryja Pepina. Mimo niemieckiego języka oryginału nie sposób więc nie zauważyć, że dzieło ma w sobie wciąż silnego czeskiego ducha. Te dwa żywioły, niemiecki i czeski, łączy zresztą finalna wielka metafora, w której zasadniczą rolę odgrywa… piwo.

Na koniec kilka słów należy się bohaterce powieści, jaką niewątpliwie jest kolej. O *Ostatniej podróży Winterberga* pisze się niekiedy jako o pochwale podróżowania w wersji *slow*. I słusznie, bo romantyczny sposób, w jaki Rudiš – prywatnie również wielki fascynat kolei – pisze o podróżach tą formą transportu, sprawia, że ma się ochotę z miejsca popędzić na najbliższy dworzec i wsiąść do pociągu byle jakiego. Należy jednak pamiętać, że ta akurat podróż wcale nie będzie wesoła. A na końcu trasy czeka nas przepaść.

Anna Maślanka

Ludowa historia Estonii

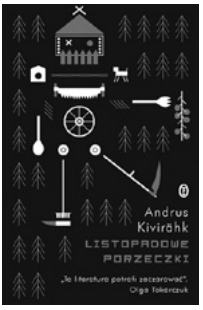

Andrus Kivirähk, *Listopadowe porzeczki*, tłum. Anna Michalczuk-Podlecki, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2021

Czy ktoś z Państwa czytał książkę przetłumaczoną z języka estońskiego, ale w modnym ostatnio nurcie ludowej historii? Ja czytałam i bardzo polecam. Andrus Kivirähk urodził się w 1970 roku, pisze też książki dla dzieci i jest w Estonii prawdziwą literacką gwiazdą. To niewiarygodne, że taką książkę napisał Estończyk, bo wygląda jak szalona literacka jazda po lekturze eseistycznego *Upiora* Łukasza Kozaka, *Chamstwa* Kacpra Pobłockiego, *Śladami Szeli* Andrzeja Korczyńskiego i *Ludowej historii Polski* Adama Leszczyńskiego.

Od razu wpadamy w sam środek akcji rozgrywającej się w ciągu jednego miesiąca – listopada. Dziady w Estonii nie odbywają się na grobach, bo jest zimno. Gospodarze zapraszają duchy swoich przodków do nagrzanej sauny, w której nakrywają dla nich stół. Błąkające się dusze bezpotomnych przypominają nam bardziej chyba znany w naszej części Europy folklor meksykański, spopularyzo-

eprasa.pl f748ab3a69

wany przez amerykańskie filmy. Ale jest też mały realizm: parobek najadł się mydła z pańskiej spiżarni i ledwo przeżył. Ludzie bez ziemi najmują się za parobków u bogatszych chłopów, i to jest na wsi najgorsze życie, takie, jakie znamy z *Chamstwa* Kacpra Pobłockiego. Widzimy świat u progu rozpadu, który jednakowoż dalej się kręci.

Baron z dworu – baron niemiecki, nie estoński – sprowadza towary od Niemca, a jego źródło nigdy nie wysycha – i karmi nimi całą okolicę, świat ludzi i ten nadprzyrodzony. Chłopi służą panu, jednak też mają swoich podwładnych, to kraty – ożywione stwory, których dusze bierze się od Starego Piekielnika (diabła) – oczywiście w zamian za własną duszę. Na szczęście większość ludzi jest mądrzejsza niż te wszystkie diabelskie stwory i umie je przechytrzyć. Tylko zaraza jest panią samej siebie, nawet diabeł się jej boi.

I ludzie, i kraty lekceważą święte prawo własności, traktując okradanie dworu jako największą atrakcję. Okradają się też nawzajem, ze złości zabijają zwierzęta sąsiadów, a po niedzielnej mszy i komunii wypluwają opłatek i używają go do polowań na zwierzęta. Przedmioty wirują w nieustannym barterze, są kradzione i wymieniane na inne pochodzące z kradzieży – przez duchy i ludzi ze wsi. A to tylko przedsmak opowieści i część z atrakcji fabuły. Mamy jeszcze czarodziejską kaszę, która czyni niewidzialnym. I maść, która zamienia w wilka.

Główna cecha bohaterów to chciwość. Mamy także specyficzną ludową moralność: „Co jedzenie temu winne, że ugotowano je w tak parszywym domu" – wzdycha jeden z bohaterów, wybierając się na stypę mężczyzny, do którego śmierci się przyczynił. Choroby nachodzą człowieka, gdy ten odpowie na ich wołanie, dlatego nie wolno reagować na swoje imię w lesie czy na polu. Czasem zdarza się, że w ten sposób naprawdę zignoruje się wołanie żywego bliskiego człowieka, ale trudno.

A skąd się bierze chłopski alkoholizm? Choroby biorą takich, co nie śmierdzą wódką, więc lepiej pić na umór. Bóg i jego reprezentant na ziemi, pastor, są jedynie jakimiś figurantami, z którymi nie sposób się porozumieć: „Ale Bóg nie zważał na te modlitwy, bo i on był przecież panem, a Ziemia jego włościami, i czym dla niego skargi takiego golca!".

Dlatego ludzie dogadują się z diabłem. Żeby załatwić różne swoje porachunki, opuszczają własne ciała. Ale jeśli obrócić śpiącego, niby martwego o 180 stopni, to dusza upiora czy innego stwora nie da rady wrócić do siebie – te porady znam już z *Upiora* Łukasza Kozaka. Czasem nie da się uratować ciała umierającego, ale dzięki zabiegom stodolnika – wiejskiego mędrca – da się uratować duszę. Diabeł zamiast duszy zabierze sobie ostatniego… „pierda", a dusza trafi szczęśliwie do nieba.

Osią opowieści jest niespełniona miłość karbowego do pięknej baronówny. Młody mężczyzna wzdycha do niej pod oknami, ale nie umie pójść za radami innych chłopów, żeby ją sobie przy pomocy krata przynieść nocą do chaty. „Wczo-

eprasa.pl f748ab3a69

rajsze spotkanie na schodach zdarzyło się przez czysty przypadek – zazwyczaj drogi karbowych i córek baronów się nie krzyżują". Miłość romantyczna to zaburzenie naturalnego porządku. W tej wsi brało się kobiety za żony, ale dotąd nie znano miłości. A teraz nagle karbowy zakochuje się w baronównie, a w nim – romantycznym bohaterze cierpiącym z miłości – zakochuje się wilkołaczka Liina. Ale nawet wiejska wiedźma nie ma lekarstwa na miłość… bo nigdy jej jeszcze o to nie proszono.

Mądrość chłopska jest tu przeciwstawiona logice miłości dworskiej i etosowi rycerskiemu, o których opowiada bohaterom… krat – śniegowy bałwan. Dla równowagi mamy też protorasistowską opowieść o dzielnym rdzennym królu Lembicie, od którego pochodzą silni i cwani estońscy chłopi.

Narrator wie więcej niż bohaterowie i pochodzi z dzisiejszych czasów, bo mówi nam na przykład, że suknia baronowej wydawała się staromodna, z czego wiejskie bohaterki nie zdawały sobie sprawy. Nie jest jednak tak, że chłopi są przedstawieni jako bezmyślna czerń, po prostu brakuje im języka do własnej opowieści – a to przecież ilustracja głównej tezy z książek wpisywanych w nurt ludowej historii. „Mamy tylko tyle, ile nam samym uda się zgarnąć. I jeszcze samo życie, które i tak wisi wciąż na nici cienkiej jak pajęczyna" – mówi najmądrzejszy z bohaterów. Dwuręczna piła też pojawia się jako srogie memento – chłopi nie mają litości nad nikim, nawet nad staruszkiem mrozem, bo „skrzywdzeni mają kamienne serca" – jak pisał Adam Leszczyński.

Nie chcę psuć zabawy, dlatego nie będę zbyt wiele zdradzać z samej fabuły. Powiem tylko, że to idealna lektura na długą zimę, późną wiosnę, deszczowe lato i wczesną jesień. Szkoda tylko, że tę bogatą, bajkową i intrygującą opowieść trzeba kiedyś zakończyć, i urwano ją tak *deus ex machina*, trochę bez finezji. Rewelacyjny odbiór tej powieści zepsuła mi scena brutalnego gwałtu w finale – nie zdradzam tu zakończenia, bo przemoc wisiała w powietrzu. Szkoda, że zawsze cierpią najsłabsi – służące ze dworu i niepełnosprawni umysłowo bezrolni parobkowie.

Magdalena Moskal

Sputnik nad Słowacją



Łukasz Lewkowicz, *Federacja Rosyjska w polityce wewnętrznej i zagranicznej Republiki Słowackiej (1993–2020)*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2020

Półki w polskich księgarniach nie uginają się od słowackich książek, słowackie tematy nie zalewają szpalt naszych gazet. Polacy raczej nie interesują się swoim południowym sąsiadem. Piszę te słowa, kiedy Wydawnictwo Czarne zapowiada książkę Weroniki Gogoli o Słowacji, co – miejmy nadzieję – może odwróci ten trend. Na razie jednak polskie media

eprasa.pl f748ab3a69

spoglądają w tamtą stronę, kiedy mogą nas uraczyć clickbaitowym tytułem o Słowaku, który zgwałcił barana, lub doniesieniem o śmiertelnym wypadku po słowackiej stronie Tatr. Na kilkuzdaniową analizę na temat słowackiej sceny politycznej starcza miejsca przy okazji doniesienia o polskim turyście z wytatuowaną na plecach swastyką, który został zatrzymany podczas pijackiej rozróby w aquaparku w Liptowskim Mikułaszu. Niech nie zwiedzie nas, że w ostatnim czasie media przez wszystkie przypadki odmieniały nazwisko słowackiej prezydentki Zuzany Čaputovej. W tych polskich publikacjach nie sposób znaleźć autentycznego zainteresowania słowacką sceną polityczną. Więcej było w nich nawoływań do polskiej opozycji o zjednoczenie w walce przeciw PiS i poszukiwań kandydatki (a czasem kandydata, wszak polską Čaputovą miał być także Szymon Hołownia), która da szansę na zwycięstwo opozycji.

Dlatego każda nowa publikacja o Słowacji cieszy i warta jest zwrócenia uwagi. Zwłaszcza, gdy jej autorem jest autor żywo Słowacją zainteresowany, obecnie – jeśli wolno mi wyrazić taki pogląd – jeden z najlepiej poinformowanych polskich ekspertów od jej polityki. Doktor Łukasz Lewkowicz to politolog związany z Instytutem Nauk o Polityce i Administracji Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Lewkowicz jest także ekspertem ds. Słowacji w Instytucie Europy Środkowej, a jego przygotowywane na bieżąco analizy regularnie dostarczają – pewnie nie tylko mnie – wiedzy na temat dynamicznej sytuacji politycznej na Słowacji. Pozwolę sobie dodać, że nawet jego niepodzielana przeze mnie pasja do eksploracji jaskiń i wiara – czemu daje też wyraz w zakończeniu opisywanej tu książki – w projekt Trójmorza nie przeszkadza mi, by publikacje Lewkowicza czytać z uznaniem i nieskrywaną zazdrością.

Federacja Rosyjska w polityce wewnętrznej i zagranicznej Republiki Słowackiej (1993–2020) to książka niewielkich rozmiarów, licząca niecałe sto stron, w której autor za zadanie stawia sobie – co wskazuje zresztą sam tytuł – określenie, jakie miejsce zajmuje Rosja w polityce wewnętrznej i zagranicznej Słowacji, a także – jaki wpływ sami Rosjanie próbowali wywrzeć na młody kraj, który – nie licząc krótkiego wstydliwego epizodu państwowości jako satelicka wobec Hitlera republika księdza Józefa Tisy – jako samodzielne państwo powstał w 1993 roku. Pomysł, by na Słowację spojrzeć właśnie z perspektywy jej stosunków z Rosją, okazał się nie tylko naukowo płodny, ale w jakimś sensie proroczy i dający szansę na lepsze zrozumienie wydarzeń politycznych, które obserwowaliśmy na Słowacji na kilka miesięcy po wydaniu publikacji. W Bratysławie doszło wówczas do ogromnego kryzysu politycznego w kontekście zakupu od Rosjan szczepionki Sputnik V, w wyniku którego z funkcją premiera musiał pożegnać się lider największego ugrupowania parlamentarnego Igor Matovič.

eprasa.pl f748ab3a69

Słowacja to niezwykle interesujący przykład kraju Europy Środkowej, który po upadku bloku sowieckiego zszedł za sprawą Vladimíra Mečiara z drogi westernizacji, by bez przeszkód na nią powrócić, dołączając do NATO (pięć lat po innych krajach Grupy Wyszehradzkiej) i Unii Europejskiej (w tym samym czasie co pozostałe państwa V4) i zostając w 2009 roku pierwszym i jak dotąd jedynym państwem Grupy Wyszehradzkiej, które przyjęło euro.

Lewkowicz wyróżnia trzy etapy w relacjach między Słowacją a Rosją, które nazywa: (1) „ślepy" pragmatyzm w polityce wschodniej (1993–1998), (2) partnerzy odwróceni plecami (1998–2006), (3) nowe otwarcie na Wschód (2006–2020). O ile w pierwszym okresie Słowacja była kuszona przez Rosjan gwarancją bezpieczeństwa w zamian za ogłoszenie neutralności, o tyle po wyborach w 1998 roku, po których premierem został Mikuláš Dzurinda, obrała zdecydowany kurs proatlantycki i prounijny. Zastanawiający jest ten – wyodrębniony przez Lewkowicza – trzeci etap w relacjach Słowacja–Rosja. Warto zaznaczyć, że nie jest on jednorodny, obejmuje bowiem aż piętnaście lat. Choć – jak tłumaczy obranie takiej cezury czasowej sam autor – w większości przypada na rządy socjaldemokratyczno-populistycznego Smeru, to w znacznej części po zwycięstwie w wyborach prezydenckich w 2014 roku Andreja Kiski, a pięć lat później Zuzany Čaputovej, możemy zaobserwować swoisty dwugłos w słowackiej polityce, nie tylko zresztą w przypadku stosunku do Rosji. Warto także odnotować, że to za rządów Roberta Ficy i jego Smeru Słowacy 1 stycznia 2009 roku weszli do strefy euro.

Zresztą Lewkowicz jest świadomy tego problemu. W swojej książce przytacza opis obchodów Dnia Zwycięstwa nad Faszyzmem, które miały miejsce 8 maja 2018 roku. Andrej Kiska podczas uroczystości koło Żyliny mówił o europejskim wymiarze zwycięstwa nad faszyzmem, a Robert Fico w Bratysławie zapowiadał, że nie chce brać udziału w „antyrosyjskim szaleństwie, które bez żadnych dowodów rozprzestrzenia się jak rak na całym świecie". Zresztą bardzo podobny dwugłos obserwowaliśmy niedawno w przypadku wspomnianego już w tym tekście zakupu przez Słowację szczepionek Sputnik V.

Autor wychodzi poza opis relacji politycznych. Lewkowicz zwraca uwagę na słowackie uzależnienie energetyczne od Rosji, także w przypadku paliwa jądrowego dla słowackich elektrowni atomowych. Te – jak właśnie zapowiedziały władze – mają sprawiać, że za dwa lata Słowacja będzie się cieszyć praktycznie bezemisyjną energetyką. Autor pisze także o wpływie rosyjskiego embarga na słowacki eksport, infiltrację Słowacji przez rosyjskich szpiegów (Słowacy szacują, że co trzeci dyplomata w rosyjskiej ambasadzie w Bratysławie jest szpiegiem, na podobny problem w swoim kraju wskazywali Czesi). Z ogromnym zainteresowaniem i uznaniem czytałem fragment

eprasa.pl f748ab3a69

książki, w której Lewkowicz mapuje słowacką – powiązaną z Rosjanami – scenę dezinformacyjną i słowackie organizacje paramilitarne współpracujące z Rosją.

Warto dodać, że nie jest to jedynie specjalistyczna publikacja dla osób zainteresowanych współczesnymi relacjami słowacko-rosyjskimi. W książce Lewkowicza znajdziemy też podstawowe informacje na temat słowianofilstwa na Słowacji, dowiemy się, jak na Rosję patrzyli przedstawiciele słowackiego odrodzenia narodowego. Lewkowicz pisze także o skomplikowanych relacjach Czechosłowacji i ZSRR. Przypomina, że Związek Radziecki był jedynym państwem, które oferowało pomoc Czechosłowacji w 1938 roku.

To pouczająca książka, która może przynieść rozwiązanie wszystkim poszukującym odpowiedzi, skąd różnice między stosunkiem do Rosji w takich krajach jak Polska z jednej strony i Słowacja czy Czechy z drugiej.

Łukasz Grzesiczak

eprasa.pl f748ab3a69

REKLAMA

WROMIGRANT

miejski punkt informacji i aktywności migrantów i migrantek we Wrocławiu

• **KONSULTACJE DLA MIGRANTÓW**
w zakresie legalizacji pobytu i pracy, spraw urzędowych, edukacji, opieki medycznej, bezpieczeństwa i innych.

• Od 2020, konsultanci/tki udzielili porad migrantom/kom **z ponad 60 krajów świata z 6 kontynentów.**

• **WIELOJĘZYCZNA OFERTA**
Konsultacje prowadzone są w języku **angielskim, ukraińskim, rosyjskim i polskim.**

• **WSPARCIE INFORMACYJNE**
WroMigrant wydaje własne materiały informacyjne, m.in. kompleksowy „Przewodnik WroMigrant dla migrantów/ek i konsultantów/ek międzykulturowych" i „Mapa Wrocławia dla nowych mieszkańców/ek".





WroMigrant to projekt **Wrocławskiego Centrum Rozwoju Społecznego** realizowanego w ramach **Wrocławskiej Strategii Dialogu Międzykulturowego (2018-2022)**.

WroMigrant jest przykładem projektu międzysektorowego, budującego współpracę pomiędzy instytucjami miejskimi, a organizacjami pozarządowymi, uczelniami i lokalnym biznesem.

Zapraszamy do współpracy! Więcej informacji:
www.wielokultury.wroclaw.pl wromigrant
wielokultury_wrocław wromigrant@wcrs.pl

Projekt jest finansowany ze środków Gminy Wrocław

Wrocław miasto spotkań

wrocławskie centrum rozwoju społecznego

Wrocławska Strategia Dialogu Międzykulturowego

eprasa.pl f748ab3a69

W numerze między innymi:

W psychologii znany jest mechanizm habituacji, gdy przyzwyczajamy się do bodźca, który ciągle pojawia się w naszym otoczeniu. Tak jest z zagrożeniem wojną w Ukrainie. W Warszawie, w telewizji oglądamy zdjęcia z Zagłębia Donieckiego, rosyjskie czołgi i kompleksy rakietowe. I mamy wrażenie, że w Ukrainie jedyne, co się odbywa, to właśnie przygotowania do wojny. Zapominamy, że ludzie tam żyją tym od niemal ośmiu lat – pisze w korespondencji z Kijowa **Piotr Pogorzelski**.

Kiedyś, po *exposé* ówczesnej premier Beaty Szydło w sejmie, padło ze studia Polsat News pytanie: „Co na to Kreml?". Odpowiedziałem, że reakcja Kremla jest mniej więcej taka sama, jak reakcja polskich władz na *exposé* premiera Słowenii, czyli nie ma żadnej reakcji. Nad Wisłą wydaje się nam, że jesteśmy przynajmniej regionalnym graczem, z którym Moskwa musi się liczyć – o pracy korespondenta w Moskwie opowiada **Tomasz Kułakowski**.

Nie ma drugiego regionu w Polsce ukształtowanego tak mocno przez ZSRR, jak wyspy Wolin i Uznam. Armia Radziecka niechętnie oddawała kontrolę nad tym terenem administracji polskiej. Nawet gdy proces ten się już dokonał, dowództwo radzieckie wciąż czuło się tu głównym decydentem – o swojej książce Wyspy odzyskane opowiada w wywiadzie dla NEW **Piotr Oleksy**.

20 LAT
Kolegium Europy Wschodniej
im. Jana Nowaka-Jeziorańskiego we Wrocławiu

eprasa.pl f748ab3a69